

PODGLĄD

Kwartalnik literacki Oddziału Warszawskiego

Stowarzyszenia Pisarzy Polskich

ISSN 2392-2753

Rok V • Nr 2 (21)

2020



J. Andrzejczak
A. Bańkowska
A. Bernat
J. Binkowski
T. Bołdak-Janowska
K. Boruń-Jagodzińska
R. Brooke
W. Chmielewski
K. Choiński
R. Dilong
J. Drzewucki
A. Dutka-Mańkowska
A. Frajlich
D. Gałęcka-Krajewska
G. Gortat
J.P. Grabowski
A.M. Grabowski
J. Haszek
M. Iwanowska-Ludwińska
ks. J.A. Kobierski
K.A. Jeżewski
B. Kasprowicz
A. Książek
G. Kurylewicz
K. Lenkowska
W. Mandryka-Bukowiński
J. Marciniak

P. Müldner-Nieckowski
P. Nepveu
W. Neumann
M. Olbromski
W. Oramus
A. Patey-Grabowska
M. Pękała
M.J. Piasecka
J.K. Piasecki
M.K. Piekarska
A. Pieńkowski
Baśka eR
K. Rodowska
K. Rudziński
K.S. Schreyer
W. Shakespeare
I. Smolka
E. Stachura
J. Strękowski
A. Szymańska
J. Śleszyński
K. Świegocki
G. Walczak
A.W. Wodziński
P. Wojciechowski
Z. Zbikowski



Zygmunt Jan Rumel, 1941



Stowarzyszenie
Pisarzy Polskich
Oddział Warszawa

<http://sppwarszawa.pl>

**POD
GLĄD**

Kwartalnik literacki

ISSN 2392-2753

Rok IV Nr 2 (21) 2020

Adres Redakcji

<http://podglad.com.pl>

e-mail: redakcja@podglad.com.pl

00-079 Warszawa

ul. Krakowskie Przedmieście 87/89

tel. +48 22 826 31 78, +48 22 826 05 89

Konto: 06 1020 1156 0000 7602 0058 1520

Redaktor naczelna

Małgorzata Karolina Piekarska, Prezes
OW SPP

Zastępca redaktora naczelnego

Piotr Müldner-Nieckowski

Sekretarz redakcji

Katarzyna Boruń-Jagodzińska

Kolegium

Krzysztof Beśka, Krzysztof Bielecki,

Michał Dąbrowski, Manula Kalicka,

Małgorzata Strękowska-Zaremba,

Zbigniew Zbikowski

Korekta

Małgorzata Strękowska-Zaremba,

Krzysztof Bielecki, Zbigniew Zbikowski

Typografia i skład

Piotr Müldner-Nieckowski

Wydawca

Zarząd Oddziału Warszawskiego

Stowarzyszenia Pisarzy Polskich

Druk Mazowieckie Centrum Poligrafii

05-270 Marki, ul. Duża 1, www.c-p.com.pl

Z ŻYCIA OW SPP

Małgorzata Karolina Piekarska

Czas dobry, czas niedobry? 3

Iwona Smolka

Anna Kamieńska. Z całą jasnością
świata 5

Małgorzata Karolina Piekarska

Barbara Rosiek (1959-2020) 11

Wojciech Chmielewski

Stanisław Murzański (1923-2020) ... 14

Bogdan Kasprzowicz

Janusz Wasylkowski (1933-2020) ... 17

Mariusz Olbromski

Pożegnanie J. Wasylkowskiego 21

Janusz Drzewucki – Laureat

Nagrody im. Kazimierza Wyki ... 24

Mural Edwarda Stachury 26

WIELKANOC 2020

Anna Bernat (Droga Krzyżowa), **Jerzy Bin-**

kowski, **Katarzyna Boruń-Jagodzińska**,

Anna Dutka-Mańkowska, **Małgorzata**

Iwanowska-Ludwińska, **Krystyna Lenkow-**

ska, **Alicja Patey-Grabowska**, **Marek**

Pękala, **Małgorzata Karolina Piekarska**,

Krzysztof Saturnin Schreyer, **Grzegorz**

Walczak, **Piotr Wojciechowski**

KRYTYKA–ESEJ–FELIETON

Jerzy Binkowski

„Legiony”... 56

Grzegorz Gortat

Literaci na ring!, Renciści... 60

Jan P. Grabowski

Literackie i filmowe zapiski... 63

Krystyna Lenkowska

Pokolenie fantomów 79

Adriana Szymańska

Niech żywi nie tracą nadziei 86

DLA DZIECI – MŁODZIEŻY

Kazimierz Świegocki

Bajka..., Baśń... 95

POEZJA

Janusz Andrzejczak

I tylko, Serce dzwonu, Jeszcze
będziemy, Na epidemii 100

Jerzy Binkowski		Tamara Bóldak-Janowska	
Nocą, Sepi..., Taniec	104	Znaki wodne.....	154
Anna Dutka-Mańkowska		Krzysztof Choiński	
Ścieżka, Mapa pamięci, Biegiem ..	106	Sierpniowy dzień	159
Anna Fajlich		Grzegorz Gortat	
Ankieta	107	Pan Rasmussen.....	164
Danuta Gałęcka-Krajewska		Wiesław Mandryka-Bukowiński	
Bezokoliczniki..., W pogoni..., Jazdy, Zawłaszczenia	108	Szpieg na obcasach.....	168
Krzysztof Andrzej Jeżewski		Piotr Müldner-Nieckowski	
Poetyckie portrety malarzy	112	Libertà delle signore!	172
ks. Janusz Adam Kobierski		Wiesława Oramus	
Pytanie, Czas zarazy, Odchodzą ..	122	Koncertowo.....	177
Andrzej Książek		Antoni Pieńkowski	
Czas teraźniejszy i inne wiersze ..	125	Kłosa, słupy soli i inne prozy	182
Gabriela Kurylewicz		Alicja Patey-Grabowska	
Iluminacja.....	128	Pożółkła fotografia	193
Krystyna Lenkowska		Krzysztof Rudziński	
Kiedy byłam rybą.....	129	Wuj Tadeusz	196
Wiesław Mandryka-Bukowiński		Jan Strękowski	
Wspomnienie, Wspomnienie lata, Ora pro nobis	130	Ma pan orzech?	202
Jerzy Marciniak		Andrzej W. Wodziński	
Rozstaje	132	Honor albo życie	208
Piotr Müldner-Nieckowski		Piotr Wojciechowski	
Taki sen, Chyba się nie zgubię....	134	Miękkie serce	215
Alicja Patey-Grabowska		Zbigniew Zbikowski	
Zło otwiera oko i inne wiersze....	135	Mała litera.....	219
Maria Jolanta Piasecka			
Haiku.....	140	PRZEKŁADY	
Jan Krzysztof Piasecki		Alicja Patey-Grabowska	
Trzy wiersze do syna	141	Walter Neumann	224
Baśka eR		Anna Bańkowska	
Nadchodzi.....	143	Rupert Brooke	227
Krzysztof Saturnin Schreyer		Katarzyna Boruń-Jagodzińska	
Słowo jak skarb i inne wiersze....	144	Rudolf Dilong.....	229
Jerzy Śleszyński		Andrzej Marek Grabowski	
Żałuję, Vito	148	Jarosław Haszek	132
Grzegorz Walczak		Gabriela Kurylewicz	
Cierniowa korona.....	149	William Shakespeare.....	240
Andrzej Władysław Wodziński		Krystyna Rodowska	
Ja PESEL 49062704... ..	150	Pierre Nepveu.....	242

PROZA

Janusz Andrzejczak	
Nowe	152



Małgorzata Karolina Piekarska

Czas dobry, czas niedobry?

Pandemia to dla pisarza i dobry, i niedobry czas. Dobry, bo w izolacji świetnie się pisze – nigdzie nie trzeba iść, nie ma żadnych spotkań, premier, wernisaży, koncertów itd. Niedobry, bo gdy perspektywa zarobkowa słaba, wtedy o spokojnym pisaniu mowy nie ma, choć z drugiej strony... Kazik Staszewski na płycie *Las Maquinas de la Muerte* śpiewał:

*Artysta syty nie ma nic do powiedzenia
Chce picia i jedzenia, nie chce nic zmieniać
Artysta głodny jest o wiele bardziej płodny.*

Jak to z tym jest?

Ten numer „Podglądu” powstawał w okresie izolacji z powodu zarazy koronawirusa. Znalazły się w nim więc także teksty, które nawiązują do ostatnich wydarzeń. Do kwarantanny, pandemii i Wielkanocy w odosobnieniu.



Koniec świata. Rys. Krzysztof Boruń

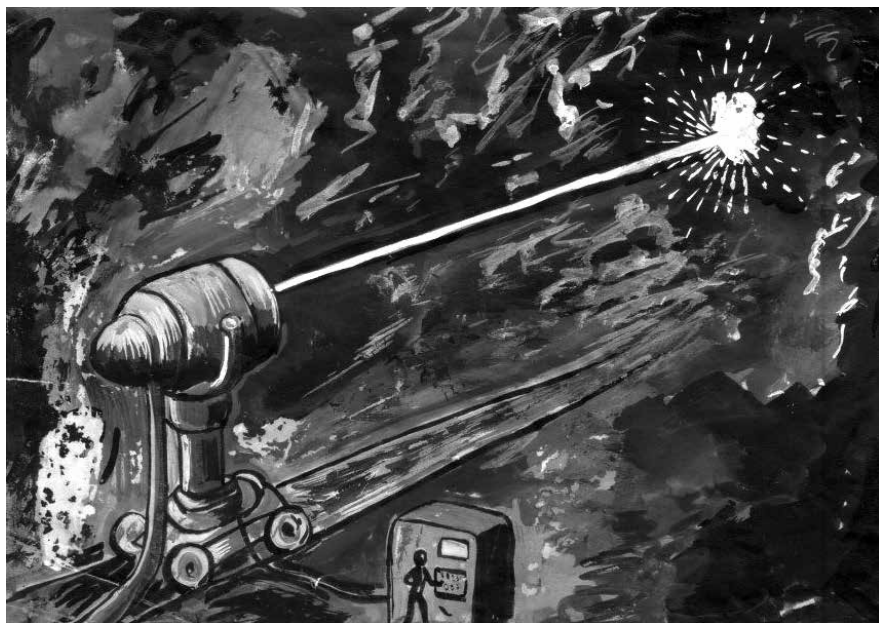
Izolacja to także dla czytelnika czas dobry i niedobry. Dobry, bo ma więcej czasu na czytanie, ale w momencie, gdy traci środki do życia, często trudno mu skupić się na lekturze.

Wisława Szymborska pisała:

*Czemu ty się, zła godzino,
z niepotrzebnym mieszasz lękiem?
Jesteś – a więc musisz minąć.
Miniesz – a więc to jest piękne.*

Czekając, by to, co złe, minęło, zachęcam do lektury. Kto może – niech czyta. Słowo jest najważniejsze i od zawsze ma wielką moc.

Małgorzata Karolina Piekarska



Miotacz promienia. Rys. Krzysztof Boruń, lata 60. XX w.

Iwona Smolka

Anna Kamieńska. Z całą jasnością świata



Anna Kamieńska, ok. 1980 r.

Wspomnienie

Był rok 1967. Miałam 23 lata, Anna Kamieńska 47¹. Wydała mi się starszą panią. Siedziała przy stole obok Jana Śpiewaka, wpatrzona w swojego męża, zasluchana. On mówił, opowiadał, ona milczała. Była w jego cieniu. On wyglądał tak, jak „powinien wyglądać poeta”. Była w nim siła, namiętność w głosie i jakaś pochmurność. Ona była gruba, zbyt niska, zbyt wypłowiała. Włosy tak jasne, że wydawały się siwe, oczy jasno niebieskie czasami były szare.

1 Anna Kamieńska, ur. 12 kwietnia 1920 r. w Krasnymstawie, zm. 10 maja 1986 r. w Warszawie.

Zaproszona przez nią, znalazłam się w redakcji „Twórczości”. Wtedy zobaczyłam jej uśmiech, odczułam jej ciepłą życzliwość. Stała się dla mnie uosobieniem mądrej poetki.

Byłam po studiach u Artura Sandauera. Liczyła się Awangarda. I tylko Awangarda. W kręgu poetów godnych uwagi znalazł się Przyboś, Białoszewski, Miłosz, Leśmian i z trudem wepchnął się Grochowiak. Reszta nie miała znaczenia. Pejzaż współczesnej poezji polskiej był niemal bezludny. Nie było w nim miejsca ani dla Śpiewaka, ani dla Anny Kamieńskiej.

Anna, wtedy pani Anna, dała mi do zrecenzowania dwa tomiki poezji – Jerzego Górzeńskiego i Krzysztofa Gąsiorowskiego. Były to ich drugie zbiorki wierszy, niemal debiuty. Była przekonana, że młodzi poeci są bardzo ważni, że należy ich wspierać, zwracać na nich uwagę. Ważni byli dla niej również poeci z tak zwanego środka i poeci wsi. Dzięki niej poznałam twórczość między innymi Tadeusza Nowaka i Jana Bolesława Ożoga. Dwa najbardziej oryginalne, osobne głosy poetyckie tamtego czasu.

Nie pamiętam, czy rozmawialiśmy o wsi, ale na pewno pojawił się w rozmowie pejzaż Lubelszczyzny, bo wraz z jej wierszami ujawniały się strzępki jej życiorysu. Odkrywałam jej twórczość zafascynowana rozległością jej zainteresowań. Budowała przestrzeń, w której mieściły się francuskie i włoskie katedry, cerkwie znad Morza Czarnego, krzeselko Pascala stojące nad przepaścią, i *niedziela miodowego odpustu, / serca sera białego, / lilii spryskanej mlekiem Kaliny*. W naturalny sposób, tak to pamiętam, rozmowy zataczały krąg od pieczenia chleba, gdy na *kociubie rusza w ogień, a na liściach kapusty / miękko osiadają bochny, / polane wodą świecą ich razowe zbroje*, po przywołanie historii Anaksymandra, od chwili, gdy *Związana powrośłem pierwsza przygarść żyta, aż po czas psalmów Dawidowych i Trenów Kochanowskiego*.

Jej erudycja była głęboka, nie na pokaz. Była ogromną wiedzą, której nigdy nie manifestowała.

To, co było w niej najprawdziwsze, to zachwyt czyjąś poezją. Pamiętam, jak czytała mi wiersz Tadeusza Nowaka i jej zafascynowanie obrazem wołu, który siada za stołem. Lubiła soczyste porównania. Kochała konkret. I kiedy myślę o niej, przypomina mi się zdanie z wiersza *Ciężko*, gdy idzie *jak baba z płachtą pokrzyw pod ulewą*. Wówczas, w latach 1968-1974, zaraz po śmierci męża, pisała o sobie, ale też mówiła o sobie (jeśli w ogóle o sobie mówiła) jak o starej kobiecie. Pięćdziesięcioletnia poetka ukryła się w wierszach, przybierając postać starej baby. Nie kobiety, ale baby, która musi z mozołem dźwigać siebie i swój los.

Nie pamiętam Anny z czasów bezpośrednio po śmierci męża. Był rok 1968 i 1969, i wyjeżdżali na zawsze z Polski nasi przyjaciele. Anna bardzo mocno przeżyła wyjazd poety Arnolda Śluckiego. Rozmawialiśmy o tym, jak można, a raczej jak nie można, to wszystko wytrzymać, to całe plugaństwo, które nas zalało. I oczywiście o wyjazdach. I o tym, że dla twórcy jego ojczyzną jest język.

W tomie *Rękopis znaleziony we śnie*, który dostałam wraz z czułą dedykacją, są dwa wiersze, a nad nimi Anna dopisała długopisem dwie wyrzuczone przez cenzurę dedykacje. Jedna jest *Pamięci Arnolda Śluckiego*, druga, nad wierszem zaczynającym się *Nie wiem czy starczy nam milczenia / na te odjazdy niepowrotne zdrady przyjaciół / rozstania na dwóch krańcach pustyni*, brzmi: *Stanisławowi Wygodzkiemu*. Nazwiska tych dwóch twórców, którzy wyjechali wypędzeni z Polski, objęte były zakazem cenzury. Dla Anny to wykreślenie dedykacji było jakby symbolicznym uśmierceniem jej przyjaciół.

Myślę, że właśnie wtedy, po 1968 roku uwydatnia się w jej twórczości problematyka Zagłady. Wiersze poświęcone Simone Weil, *Kłamstwo doktora Korczaka*, *Orkiestra janowska*. *Imiona*, wiersze sięgające po sceny z Biblii, nawiązujące do biblijnych Proroków, do Księgi Hioba i Koheleta. Jakby ten polski zalew antysemityzmu, nienawiści, musiał znaleźć odpór poprzez przywołanie wielkiej tradycji kultury żydowskiej. Była to również, tak sądzę, obrona ukochanego, zmarłego męża, który sam cudem ocalał z Holocaustu, gdy zginęła cała jego rodzina.

Dla jej wrażliwości czas Zagłady był w niej obecny jak nieustanny ból po śmierci męża.

Właściwie to nie wiem, dopiero teraz, po ponownym przeczytaniu jej *Notatnika*, jak mogła przyjmować nas, nieopierzonych twórców, w domu, gościć herbatą pitą z porcelanowych, pięknych filiżanek, prowadzić rozmowy o poezji i filozofii. Być pogodną, prawdziwie zainteresowaną nieporadną niekiedy pisaniną młodych. Notatnik jest zapisem najgłębszej rozpacz, prawowaniem się ze śmiercią, notowaniem snów o traconym i we śnie odzyskiwanym mężu.

Przychodziliśmy do niej ja i mój mąż Emanuel Łastik, który mógł publikować wiersze wyłącznie pod pseudonimem Emil Laine, Piotr Müldner-Nieckowski – nie tylko początkujący wówczas poeta, ale i lekarz, Teresa Ferenc i jej mąż Zbigniew Jankowski. Poeci czytali swoje wiersze, Anna słuchała uważnie, rozmowy toczyły się nie tylko wokół poezji.

Autorka *Białego rękopisu* nikogo nie onieśmiewała. Była w niej naturalna dobroć i potrzeba otoczenia opieką potrzebujących. Owe spotkania

w jej mieszkaniu na Jotejki były takim dyskretnym, bardzo ważnym, psychicznym wsparciem dla debiutujących w trudnym czasie. I nie bez znaczenia był fakt, że była ona bardzo przenikliwym krytykiem. Anna jednym celnym zdaniem potrafiła określić czyjaś twórczość, przeanalizować wiersz, pokazując jego słabości, ale i dobre strony. Dwa tomy *Od Czarnolasu* i *Od Leśmiana*, w których zawarte są krótkie, niezwykle syntetyczne analizy utworów, pokazują klasę jej pracy krytycznoliterackiej.

Starala się być obiektywna, nie lubiła zajmować się kiepskimi wierszami, sądząc, że szkoda czasu, a już na pewno szkoda papieru na pisanie o złej twórczości. Istotne było, aby wydobyć to, co wartościowe, a nie potępiać tego, co marne i złe. Siłą rzeczy pisanie wyłącznie o dobrych tomach też, jak dziś sędzę, wypaczało obraz współczesnej liryki. Nie pamiętam, żeby kiedykolwiek w rozmowie była złośliwa, czy ironiczna. Bywała zagniewana, pełna niepokoju, zrozpaczona, ale nie złośliwa.

Jej intelekt i ogromna wrażliwość szły w parze z rodzajem nieśmiałości, gdy musiała czytać swoje wiersze na większych spotkaniach, np. w kościele, w Tygodniu Kultury Chrześcijańskiej.

Pamiętam, jak na samym początku naszej znajomości Anna proponowała mi, żebym przeprowadziła z nią wywiad dla Programu III PR. Oczywiście ten wywiad zamówiła jej przyjaciółka, poetka Ludmiła Marjańska. Wywiad musiał być napisany i nie wolno było w nim niczego zmienić. Anna w studio wyglądała jakby miała ją zjeść trema, czytała własne słowa myśląc się, powtarzając na prośbę Ludmiły całe zdania. Wyszliśmy obie z gmachu na Myśliwieckiej półżywe, aby pełzną pod górę, wejść na kawę do Czytelnika. Po pięćdziesięciu latach nie wiem ani o co pytałam, ani co powiedziała poetka, kartki wywiadu dawno się zapodziały, zostało wspomnienie tej tremy i zasapania się w czasie wchodzenia pod górę.

Wtedy, zanim napisała, że trzeba *Przemienić się / wyrzucić się jak rękawica / okręcić jak planeta / przewlec siebie przez siebie*, Anna lubiła w wierszach soczyste owoce, lepkie garnki, ludowe świątki. Kochała rzeczy prawdziwe i namacalne.

W jej pokoju na ścianie, nad sekretarzykiem, stały i wisiały drewniane świątki, a ona dziękowała wszystkim drobnym rzeczom, krzesłom i stołom, na których został odcisk rąk ludzkich. Ceniła dobre rzemiosło i o tym pisała, podziwiała tę umiejętność utrwalenia trudu pracy w poezji tzw. twórców ludowych. Jej pokój wypełniony książkami i wieloma przedmiotami był przytulny, były w nim zgromadzone owe rzeczy drobne i one stanowiły o zupełnie wyjątkowym charakterze tego domowego pejzażu.

Ciepło, jakim promieniowała, odnalazłam dopiero w jej powieściach dla dzieci. Literatura dziecięca była dla niej niezwykle ważna i pamiętam rodzaj gniewu, gdy mówiła o tym, jak krytyka literacka lekceważy ten gatunek. Książki dla dzieci powinny, jak sądziła, stanowić jedną z podstaw wychowania i budzenia wrażliwości. W jej zaangażowaniu w obronę tego pisarstwa było coś z pasji nauczycielki czasów Pozytywizmu. Lubiłam *Rozalkę Olaboga* i *W Nieparzyżu i gdzie indziej*, pisałam o tych książkach i wiem, sądząc po dedykacjach, że Anna była mi naprawdę wdzięczna.



Anna Kamińska, 1969

Nie ceniła retoryki, ponieważ w niej samej, poetce piszącej o wygnaniu, był *głód ziemskich pokarmów*. Był również głód wiary i poszukiwania języka mogącego ją wyrazić. Wyraźnie objawiało się to podczas czytania wierszy przez Zbigniewa Jankowskiego. Jego szukanie właściwego języka, którym można było by oddać akt wiary, zwątpień i zaufania, prowadziło go w stronę symboli, rozległej metafory morza, które miało upostaciwić Boga. Anna wyraźnie szła w innym kierunku.

Jej poszukiwanie nowej dykcji poetyckiej zaprowadziło ją w stronę *Dwóch ciemności*, aktów wiary i pytań o Nieskończoność i obecność Boga w świecie. I im więcej było Boga w jej wierszach, a przecież i w życiu, tym wyraźniejszy, poprzez zanegowanie, uczynienie mało ważnym, stawał się obszar „rzeczy małych”, z których układa się, (jak niegdyś sądziła) sens życia.

Oddalałyśmy się od siebie, miałam wrażenie, że ona w jakiś sposób pielęgnuje w sobie rozpacz, że nie chce, nie potrafi wyjść ze smutku, że okazywanie przy niej radości, czy choćby zadowolenia z życia, było czymś niestosownym.

W latach osiemdziesiątych, kiedy żyliśmy w ogromnym napięciu czasu Solidarności, a potem stanu wojennego, rzadko do niej przychodziłam. Anna uczyła się hebrajskiego. Pamiętam, jak na moje głupie pytanie „po co ci to?”, nie zirytowała się, tylko wytłumaczyła, że jest to najpiękniejszy język, bo w nim napisana została Biblia, a ona chce i będzie tłumaczyć Psalmy. Miałam wrażenie, że żyjemy w różnych czasach.

Ostatni mój pobyt w jej domu. Siedziałam na fotelu, przy stole, na którym Anna rozłożyła wspinały album Moniki Krajewskiej *Czas kamieni* z fotografiami zrujnowanych, zarośniętych, zdewastowanych cmentarzy żydowskich. To były macewy, które stały się budulcem wiejskich podwórek, stanowiły jakąś koślawą część drogi, były, tak to pamiętam, obramowaniem studni. Wstrząśnięte, oglądałyśmy to świadectwo bezmyślnego bestialstwa i profanacji. Anna myślała o napisaniu wstępu, opatrzenia tych zdjęć jakimś komentarzem. I wtedy znów była Anna, która nie potrafiła nie zareagować na podłość, przemoc i prymitywną głupotę.

Mój ostatni telefon do niej z przeprosinami, że tak długo się nie odzywałam, był dwa, może trzy dni po katastrofie 26 kwietnia 1986 w Czarnobylu.

Prosiłam ją, żeby uważała, nie wychodziła z domu. Anna roześmiała się. Powiedziała, że właśnie wróciły z Ludmiłą z jej działki. Było przepięknie, ciepło, leżała w słońcu, na trawie i czuła się absolutnie szczęśliwą.

Zmarła na niewydolność serca kilka dni po tej rozmowie.

Był 10 maja 1986.

Iwona Smolka

Małgorzata Karolina Piekarska

Barbara Rosiek (1959-2020)

Wrażliwa poetka, świetny psycholog

Barbara Rosiek (ur. 25 czerwca 1959 – zm. 27 kwietnia 2020), z wykształcenia psycholog, była autorką bestsellerowych powieści, w których poruszała trudne tematy. Popularność przyniósł jej *Pamiętnik narkomanki*, w którym pokazała piekło walki z nałogiem. Była to jedyna jej autobiograficzna powieść. Pozostałe, choć często pisane w pierwszej osobie, opierała na doświadczeniach swoich pacjentów. Świetnie wiedziała o czym pisze, gdyż po wyjściu z nałogu ukończyła psychologię na Uniwersytecie Śląskim w Katowicach i zaczęła pracować jako psycholog kliniczny w szpitalach w Lublińcu i Częstochowie oraz w Towarzystwie Rodzin i Przyjaciół Dzieci Uzależnionych *Powrót z U*.



Barbara Rosiek w czasie spotkania autorskiego w Stowarzyszeniu Pisarzy Polskich

Znałyśmy się. Wielokrotnie rozmawiałyśmy o literaturze i poezji, a przede wszystkim o życiu. Barbara była silną osobowością, obdarzoną wielką wrażliwością i empatią. Kto raz ją poznał, zapamiętywał to spotkanie. Wielokrotnie rozmowy z nią pomagały mi zrozumieć samą siebie, a co za tym idzie, podejmować właściwe życiowe decyzje. Barbara bezbłędnie rozpoznawała toksyczne układy między ludźmi, a także to, kto jak wampir energetyczny mnie ssie. O! Jakie to było ważne dla mnie, osoby której matka wdrukowała, że trzeba ciągle służyć innym i poświęcać się dla nich.



Barbara Rosiek (z prawej) i Małgorzata Karolina Piekarska
prezentują wywiad-rzekę Joanny Polis z poetką
pt. *Barbara Rosiek: Inna perspektywa* (wyd. Mawit Druk, 2016)

Barbara mówiła: „Nie można aż tyle. Trzeba uczyć się zdrowego egoizmu dla własnego bezpieczeństwa”.

Jako Baśka eR pisała niezwykle przejmujące wiersze. Niektórzy mówili, że ponure, smutne, dołujące. Ale Barbara zawsze podkreślała, że życie nigdy nie jest usłane różami. A ona, jako psycholog, pomaga to właśnie zrozumieć.

Swoje wiersze przysyłała do prawie każdego numeru naszego Kwartalnika. W poprzednim numerze opublikowany został jej wiersz pt. *Oplatek na SOR-ze*. W tym publikujemy ostatni nadesłany do naszej redakcji. Tytuł: *Nadchodzi*. Wiersz jest tak proroczy, że aż mnie ciarki przeszły, gdy przeczytałam go po jej śmierci. Ale czyż mieszanek psychologa i poety nie daje w rezultacie proroka?

W 2002 został Barbarze przyznany srebrny medal przez International Biographical Centre w Cambridge za całokształt twórczości literackiej.

Na 25-lecie twórczości w 2010 otrzymała Nagrodę Prezydenta Miasta Częstochowy, a na 30-lecie swojej pracy twórczej Nagrodę Ministra Kultury

i Dziedzictwa Narodowego. W maju 2016 Minister Kultury i Dziedzictwa Narodowego na wniosek Zarządu Oddziału Warszawskiego Stowarzyszenia Pisarzy Polskich przyznał Barbarze Rosiek brązowy Medal „Zasłużony Kulturze Gloria Artis”.

Gdy na naszym portalu na FB poinformowaliśmy o jej śmierci, post udostępniło natychmiast kilkadziesiąt osób. Chochlik kulturalny, czyli portal zajmujący się krytyką napisał:

Kiedy w 1985 r. wydała autobiograficzny „Pamiętnik narkomanki”, stała się pisarką kultową dla mojego i kolejnych pokoleń. Nie trzeba mieć za sobą narkotykowych doświadczeń, żeby w „Pamiętniku...” odnaleźć dobrze sobie znane problemy dorastania i te wielkie emocje, które czasem rozrywają duszę. (...) To jest śmierć, z którą pokolenia czytelników „Pamiętnika narkomanki” nie będą chciały się pogodzić. Bo za wcześniej, bo to ona... Mało komu zawsze życzyło się wszystkiego, co najlepsze...

Ale cóż... Barbara z pełnym przekonaniem napisała słowa: *Śmierć kolejne wcielenie życia*. Odeszła, jednak zostały i książki, i wiersze.

Małgorzata Karolina Piekarska

Wojciech Chmielewski

Stanisław Murzański (1923-2020)

Wspomnienie

Stanisław Murzański był artystą malarzem, prozaikiem i publicystą, członkiem Związku Literatów Polskich, do którego wstąpił w 1970 roku, a od 1989 roku Stowarzyszenia Pisarzy Polskich. Nie mogło być inaczej, bo człowiek, który przez całe swoje życie nie podał ręki komunie, nie mógłby przecież przystąpić do neozwiązku utworzonego w stanie wojennym na gruzach dawnego ZLP.

Poznałem Stanisława Murzańskiego w 1996 roku, kiedy wydał książkę pt. *PRL – zbrodnia niedoskonała*. Ze zdjęcia na czwartej stronie okładki autor spoglądał groźnym, marsowym wzrokiem, ale kiedy poznałem go osobiście, to wrażenie okazało się mylne. Murzański okazał się być pełnym pogody ducha facetem, niemal bez przerwy się uśmiechał. Chętnie zgodził się na rozmowę o swojej książce. Był to zbiór artykułów z jednej strony przypominający o komunistycznych zbrodniach, z drugiej – podejmujący polemikę z publicystami i politykami starającymi się komunizm w PRL-u pozbawić skandaliczności i zbrodniczości, sprowadzić do „normalnego” doświadczenia w życiu Polaków, a zwłaszcza tych, którzy podjęli z nim flirt, a w III RP starali się unieważnić „hańbę domową”. Chyba nie muszę wyjaśniać dlaczego książka Murzańskiego – a także jego wcześniejsza praca *Między kompromisem a zdradą. Intelktualiści wobec przemocy 1945–1956*, za którą otrzymał w 1994 roku Nagrodę im. Jerzego Łojka – została przez dominujący wówczas nurt publicystyki pominięta wzgardliwym milczeniem?

Stanisław Murzański urodził się w 1923 roku w Nowym Sączu. W 1942 roku wstąpił do Armii Krajowej, w 1944 roku poszedł do lasu, był żołnierzem oddziału „Wilki”, a później 1. Pułku Strzelców Podhalańskich AK formowanego w ramach przygotowań do Akcji „Burza”. Nosił pseudonimy „Olesza” i „Zawrat”. Po zajęciu Polski przez Sowiety i zakończeniu II wojny światowej, Murzański pozostał w konspiracji, od października 1945 do

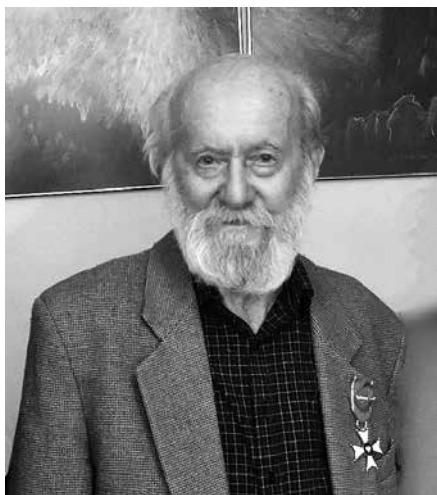
sierpnia 1946 roku kierując Radą Powiatową WiN w Nowym Sączu. Zagrożony dekonspiracją, wyjechał do Warszawy, gdzie podjął studia na Akademii Sztuk Pięknych.

Jednak w 1948 r. został aresztowany, a następnie wyrokiem z 1949 skazany na siedem lat więzienia. Od sierpnia 1949 przebywał w zakładzie karnym we Wronkach, a od 1952 w Potulicach. Wyszedł w 1955 roku, w 1960 udało mu się skończyć studia.

W latach 60. ubiegłego wieku Stanisław Murzański próbował swoich sił w prozie, wydał cztery powieści. Kiedy dwa lata po naszym poznaniu się, w 1998 roku, rozmawialiśmy ponownie w jego mikroskopijnej pracowni przy rynku Starego Miasta, wspominał, że przez jakiś czas zajmował się także wyrobem biżuterii. Było to przy okazji rozmowy, która miała ukazać się w dodatku „Rzeczpospolita i Książki”, a dotyczyć kolejnej książki Murzańskiego, zatytułowanej *Wśród łopotu sztandarów rewolucji. Rzecz o „katolewicy”. 1945–1989*, będącej krytycznym spojrzeniem na działalność tzw. lewicowych katolików z Koła Poselskiego Znak i „Tygodnika Powszechnego” w epoce PRL-u. I choć była to praca podejmująca polemicznie pewne wątki zaangażowania w komunizm i zapraszająca do debaty, spotkała się z jednoznacznie negatywną reakcją środowiska, a Jerzy Turowicz określił ją jako „chamską”. Takie podejście do merytorycznej dyskusji, do tego nad książką, wytworem bądź co bądź dociekań i przemyśleń, było wtedy normą, bo ówcześni władcy naszej nieoświeconej monarchii zwanej III RP i wspierające ich „autorytety moralne” rościli sobie prawo do wygłaszania jedynek i niepodważalnych prawd. Kto myślał inaczej, wiadomo – oszołom.

W wywiadzie tym Stanisław Murzański przyznawał:

„Podjąłem próbę ukazania, dlaczego – między innymi, oczywiście – nie udało się w Polsce po upadku systemu narzuconego przez komunistów zbudować, jak to ujął Havel, «zdrowych fundamentów dla przyszłych zachowań politycznych» [...] Chodzi o to, żebyśmy wreszcie zaczęli ze sobą rozmawiać. Wiedząc, iż powrót do tamtych spraw, uwikłanych



Stanisław Murzański

w dramatyczną historię Polski poddanej obcej dominacji, musi być trudny. I że może być bolesny” („Rzeczpospolita i Książki” 1999, nr 48, s. 3).

Dodać należy, że w latach 90. Stanisław Murzański publikował na łamach „Tygodnika Solidarność”, a jego ostatnią książką był *Sojusz nieczystych sumień. Inteligencja polska i jej elity na przełomie XX i XXI wieku* z 2010 roku. W 2006 roku został odznaczony Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski.

Drogi Kolego, dziś już na niebieskiej emeryturze, jak dobrze się dzieje, że w ostatnich latach Rzeczpospolita zaczęła upominać się o osoby z podobnymi do Twego życiorysami, walczące o wolną Polskę z dwoma wrogami. Wreszcie mówi pełnym głosem o tym, że zachowaliście się jak trzeba.

W Twoim przypadku koniecznie należy dodać:

– Ty także pisałeś jak trzeba.

Wojciech Chmielewski

Bogdan Kasprowicz

Janusz Wasylkowski (1933-2020)

Żegnaj przyjacielu¹

Odszedł poeta.

Odszedł poeta lwowski
– i nie biją dzisiaj dzwony
wszystkich lwowskich ko-
ściołów, a ulicą Piekarską nie
sunie w rytmie żałobnego
marsza nieprzebrana rzesza
lwowiaków w kierunku Łycz-
kowskiej nekropolii.

Nic to, nawet tu, w War-
szawie, staje nas u trumny
tylko pięć osób, choć przecież
wiemy, że bólem i smutkiem
ściśnięte są serca lwowiaków
w całej Polsce, za granicą
i w samym Lwowie.

O tempora!

Odszedł lwowski poeta, jakżeż w takiej chwili nie zawołać słowami
Pieśni żałobnej ormiańskiego poety:

*Głęboki serca lament
zanoszę ku Tobie, Panie,
wejrzyj i nie odtrącaj,
miłosierny Panie.*



Janusz Wasylkowski

¹ Janusz Wasylkowski urodził się 2 sierpnia 1933 r. we Lwowie, a zmarł 14 kwietnia 2020 r. w Warszawie. Niniejszy tekst jest mową pożegnalną wygłoszoną przez Bogdana Kasprowicza w kaplicy kościoła pw. Matki Bożej Loretańskiej przy trumnie Janusza Wasylkowskiego w imieniu tam zebranych.

Odszedł lwowski poeta, który całe swoje życie i mienie poświęcił realizacji zadania, jakie wyznaczył inny lwowski poeta – *A o Lwowie pamiętać, pamiętać, pamiętać...*

Jakżeż nie przypomnieć w tej chwili tegoż poety *Strof lwowskich*:

*Śmierć na obczyźnie nas wymiata
jak pajęczyny w kącie.
Coraz nas mniej z tamtego świata,
co się oddala i odlata
i tylko po nas dzwony dzwońcie.
Coraz to ktoś upada obok,
coraz topnieją nasze rzędy
i dawnej słyszać krzyk komendy
„Szlusuj!”
I ścieśnia się czworobok
i zamykają się szeregi,
bez przyjaciela,
bez kolegi...*

Drogi Przyjacielu – jako wiatyk na tę Twoją ostatnią drogę przyjmij wiersz innej lwowskiej poetki, której wiersze drukowałeś, o której pisałeś, a która krótko przed swoją śmiercią napisała:

*Idę w nieogarnione
w świetlistą jasność gwiazd,
idę w nieogarnione
dokąd odpływa czas.
Wszystko
każde słowo i gest,
wszystko co było i będzie
tam jest...*

Wierzymy – Januszu – że wszystko tam jest, wierzymy, że Aniołowie Boży już prowadzą Twoją duszę ku łyżczakowskim kwaterom w raju, gdzie już z powitaniem w lwowskim bałaku czekają Twoi przyjaciele – Szolgina, Janicki, Michotek i Szczepko, i Tońko, i dawny Lwów cały...

Kochany Januszu – całe życie byłeś facecjonistą, nie opuszczał Cię lwowski humor, a Twoje aforyzmy, limeryki i fraszki stale krążą wśród nas.

Pozwól więc, że na ostatnią drogę wraz z niebiesko-czerwonym bukietem dodamy to, co sam napisałeś:

*Powłóczysz się po świecie
mój panku,
z tęsknotą wierną kochanką
powłóczysz, powłóczysz
a na końcu zamarzysz
o łyczakowskim cmentarzu...*

Żegnaj Przyjacielu...

* * *

Po wygłoszeniu tego pożegnania ciało śp. Janusza Wasylkowskiego zostało skremowane, a urna z prochami złożona w kaplicy kościoła Matki Boskiej Loretańskiej, gdzie z powodu trwającej epidemii koronawirusa ma się znajdować do czasu, kiedy będzie możliwe zorganizowanie właściwych uroczystości żałobnych z pełną Mszą Świętą i odprowadzeniem prochów w kondukcje żałobnym na warszawski cmentarz „Na Wólce”.

Bogdan Kasprowicz

Mariusz Olbromski

Pożegnanie Janusza Wasylkowskiego

16 kwietnia w kaplicy kościoła pw. Matki Bożej Loretańskiej w Warszawie odbyło się nabożeństwo przy trumnie Janusza Wasylkowskiego z udziałem nielicznych – z powodu pandemii – najbliższych współpracowników i przyjaciół Zmarłego: Bogdana Kasprowicza, Mariusza Olbromskiego, Krzysztofa Smolany z Instytutu Lwowskiego oraz przedstawiciela rodziny Zmarłego – Pawła Wasylkowskiego. Modlitwę przy trumnie poprowadził ks. prof. Józef Naumowicz. W imieniu zebranych przemówił Jan Kasprowicz (tekst mowy drukujemy obok). Msza św. żałobna i uroczystości pożegnalne – jak zostało uzgodnione z rodziną Zmarłego – odbędą się w Warszawie po odwołaniu stanu epidemii, kiedy możliwy będzie udział w uroczystościach przedstawicieli władz, delegacji ze Lwowa, przyjaciół z zagranicy (USA, Kanada, Wielka Brytania, Dania), przedstawicieli organizacji kresowych, w tym przede wszystkim Oddziałów Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Wschodnich z całej Polski.

Janusz Wasylkowski, wybitnie zasłużony dla Lwowa, założyciel i prezes Instytutu Lwowskiego – Fundacji Ochrony Dziedzictwa Kulturowego Kresów Wschodnich, redaktor naczelny „Rocznika Lwowskiego”, poeta, pisarz, dramaturg, aforysta, publicysta, redaktor programów telewizyjnych, edytor, znakomity bibliofil i kolekcjoner, zmarł 14 kwietnia w Zakładzie Opiekuńczo-Leczniczym w Radości koło Warszawy. Wcześniej przebył operację i był leczony w Wojskowym Instytucie Medycznym w Warszawie przez ponad miesiąc, gdzie stan jego zdrowia, dzięki świetnej opiece lekarskiej, znacznie się poprawił. Kiedy przewoziłem go do Radości, lekarze dawali nadzieję na długie jeszcze lata życia i sądziliśmy, że z tego właśnie Zakładu, gdzie przebywa w dobrych warunkach wielu podopiecznych, będzie nadal kierował pracami Instytutu Lwowskiego i zespołu redakcyjnego Rocznika Lwowskiego. Niestety, stało się inaczej.

Przyszedł na świat 2 sierpnia 1933 roku w szpitalu przy ul. Kurkowej we Lwowie, mieście, któremu poświęcił swą twórczość, różnorodne prace, całe życie. Ochrzczony został w kościele pw. św. Marii Magdaleny. Jego ojciec, Marian, był kolejarzem. Matka – Maria, z domu Nahorny, zajmowała

się domem. We Lwowie rodzina Wasylkowskich przeżyła hitlerowskie oblężenie miasta w 1939 roku, a później kolejne okupacje: pierwszą sowiecką, niemiecką i ponowne wkroczenie w 1944 Armii Czerwonej do miasta, po czym matka z małym Januszem wyjechali do Zakopanego. Jak opowiadał, rok później, w Krakowie, w obozie dla Polaków wysiedlonych ze Lwowa, spotkał przypadkowo, jakimś cudem, ojca. Rodzina wyruszyła, jak większość wypędzonych, na Ziemię Zachodnie. Chodził do szkoły i zdał maturę w Zielonej Górze, gdzie – jak wspominał – układał satyryczne wiersze antystalinowskie, które budziły śmiech wśród kolegów i grozę nauczycieli.

Był polonistą, ukończył studia na Uniwersytecie Wrocławskim, nieprzypadkowo właśnie w mieście, gdzie zręby uczelni po wojnie tworzyło głównie środowisko akademickie Lwowa i gdzie przesiedliło się tysiące mieszkańców miasta znad Pełtwi. Jego poczucie humoru, jakże typowe dla rodowitych lwowian, zapewne sprawiło, że założył we Wrocławiu Studencki Teatrzyk Satyry „Ponuracy” (1955), a także reżyserował tam kilka programów Teatrzyków „Szubak” i „Bleff” (1958-1960). We Wrocławiu rozpoczął twórczość literacką, debiutował i napisał, między innymi, komedię *Wszystko przepadło* (1957), którą wystawił po latach Teatr Fredreum. Po jednym spektaklu sztukę zdjęła ze sceny cenzura. Był też, po „polskim październiku”, współzałożycielem i współpracownikiem tygodnika „Poglądy” we Wrocławiu (1956-1957). W 1961 r. zamieszkał w Warszawie i zajęł się dziennikarstwem, a także wrócił do swych zamiłowań teatralnych; pracował w tygodniku harcerskim „Drużyna” (1964-1966) oraz w „Życiu Gospodarczym” (1966), w latach 1972-1974 był kierownikiem artystycznym Teatru Rozrywki, gdzie zrealizował 45 spektakli. W latach 1987-1988 kierował teatrem „Buffo”. Równocześnie rozwijał swą różnorodną twórczość. W Warszawie powstało jego kilkanaście sztuk teatralnych, m.in.: *Węzeł rodzinny* i *Upalny dzień* (1963), *Ten trzeci* (1965), *Dyptyk katastroficzny* (1975), *Królewski błazen* (1984), *Trzasnęło nas po fajrancie* (1985). Jego sztuki były prezentowane nie tylko na scenach teatrów polskich, ale i zagranicznych, m.in. czechosłowackich, a także w telewizji i w radiu: w zachodnoniemieckiej telewizji w Mainz, w Telewizji BBC w Londynie, telewizji w Ostrawie i w radiu w Bratysławie. Jego dramaty tłumaczone były na język angielski, niemiecki, serbski, chorwacki i duński.

Najważniejszą jednak i najbardziej owocną sferą działania Janusza Wasylkowskiego były sprawy Lwowa i Kresów Wschodnich. Od 1982 r. uczestniczył w pracach i był jednym z organizatorów podziemnego zespołu

Historii Lwowa, który działał przy parafii św. Trójcy na Solcu w Warszawie, pod opieką ks. prof. Marka Kiliszka. W 1990 r. założył Instytut Lwowski jako prywatne przedsięwzięcie wydawnicze, które w dużej mierze sam, w miarę swoich skromnych możliwości, finansował. W 1991 r. ukazał się pierwszy tom „Rocznika Lwowskiego” pod jego redakcją. Dotychczas ukazało się 21 tomów „Rocznika”, w druku jest następny. Na łamach tego wydawnictwa ukazują się teksty nie tylko autorów krajowych, ale i w znacznym stopniu autorów polskich zamieszkających na Ukrainie. W roku 2010, wspierany przez grupę przyjaciół, przekształcił wydawnictwo w fundację „Instytut Lwowski – Fundacja Ochrony Dziedzictwa Kulturowego Kresów Wschodnich”. Był też wielokrotnym uczestnikiem Dialogu Dwóch Kultur – spotkań intelektualistów, pisarzy polskich i ukraińskich w Krzemieńcu i innych miastach. Przyczynił się do ocalenia i popularyzacji folkloru i kultury muzycznej Lwowa, redagując i publikując między innymi takie książki, jak *Piosenki lwowskiej ulicy*, *Nie ma jak Lwów*, *Śpiewnik lwowski do 1939*, *Lwowska piosenka na wojennym szlaku*. Jest też autorem cennej monografii *Teatr z ulicy Kopernika. Polski Teatr Ludowy we Lwowie 1958-2008* (2008). Pisał też wiersze o Lwowie, które zostały zebrane między innymi w zbiorze *Są słowa. Wiersze o Mieście, które samo się nie obroni* (2002).

Był członkiem warszawskiego oddziału Stowarzyszenia Pisarzy Polskich, a jego twórczość literacka znalazła uznanie zarówno wśród pisarzy, krytyków, jaki i czytelników. Można to było odczuć na spotkaniu zorganizowanym z okazji jego Jubileuszu 65-lecia pracy twórczej, które odbyło się 12 lutego 2019 roku w siedzibie Zarządu Głównego Stowarzyszenia Pisarzy Polskich w Warszawie, a które miałem zaszczyt prowadzić. Był laureatem wielu nagród, m.in. został wyróżniony drugą nagrodą (przy pierwszej nieprzyznanej) w konkursie Opery Narodowej na libretto dla Opery Kameralnej (1985). Otrzymał też wyróżnienie honorowe Nagrody Literackiej im. Władysława Reymonta za *wszelkie zasługi dla ocalenia pamięci Lwowa* (2008). Jego twórczość i działalność na rzecz Lwowa i Kresów z latami była coraz bardziej znana i ceniona, co znalazło odzwierciedlenie także w przyznawanych mu przez różne gremia odznaczeniach i nagrodach. Został uhonorowany m.in. Złotą Odznaką Związku Ziem Wschodnich w Londynie (1993), Medalem „Pro memoria” (2005), Nagrodą specjalną Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego (2008), Złotym Medalem „Zasłużony Kulturze Gloria Artis” (2011), Orderem „Polonia Mater nostra est” (2012) oraz wyjątkowym wyróżnieniem – tytułem Kustosza Pamięci Narodowej IPN (2017), wręczonym na Zamku Królewskim w Warszawie.

Janusz Wasylkowki był człowiekiem dobrym, pełnym błyskotliwego humoru, ciekawych, niekiedy zaskakujących pomysłów, chęci pomocy potrzebującym, życzliwym ludziom i światu; wytwarzał wokół siebie pogodną i przyjazną atmosferę. Był – jak wspomniałem – wybitnym i nieustrudzonym kolekcjonerem, zbieraczem różnych pamiątek ze Lwowa, dokumentów, książek, map, obrazów, sztychów. Także kolekcji grafik, chyba największej, jaka istnieje w kraju, która ostatnio była prezentowana – w części – na wystawach w Pałacu w Wilanowie oraz w Senacie RP. Do ostatnich dni życia pracował nad monumentalnym dziełem *Encyklopedia Lwowa* oraz nad słownikiem *Bałak Lwowski*, a także nad dalszą częścią monografii o dziejach Polskiego Teatru Ludowego we Lwowie. Miał rozliczne kontakty we Lwowie, w kraju, Europie. Jego różnorodne badania nad kulturą i dziejami Lwowa, mądrze prowadzone przez lat dziesiątki z miłością i bezgranicznym poświęceniem, są wielkim i trwałym jego wkładem w ocalenie pamięci i budowanie narodowej świadomości o mieście „Semper Fidelis”.

Cześć Jego Pamięci!

Mariusz Olbromski

Janusz Drzewucki

Laureat Nagrody im. Kazimierza Wyki



Kraków, piątek 24 stycznia 2020 r. Janusz Drzewucki z dyplomem

Janusz Drzewucki – krytyk literacki, poeta, dziennikarz, wydawca, członek Oddziału Warszawskiego SPP – został 35. laureatem Nagrody im. Kazimierza Wyki.

Wyróżnienie to jest przyznawane wspólnie przez marszałka województwa małopolskiego oraz prezydenta Krakowa. Tegoroczna nagroda jest wyróżnieniem za całokształt dokonań w dziedzinie eseistyki oraz krytyki literackiej, ze szczególnym uwzględnieniem książki pt. *Lekcje u Różewicza*.

Podczas uroczystości w Teatrze im. Juliusza Słowackiego laureat otrzymał symboliczny czek z informacją o przelewie w wysokości 40 000 zł oraz pamiątkowy dyplom. Wydarzenie przyciągnęło wielu miłośników literatury oraz osoby pracujące w branży. Sala pękała w szwach. Swoją obecnością zaszczylił Dariusz Jaworski, dyrektor Instytutu Książki oraz Jolanta Korcuć, redaktor naczelna Wydawnictwa Literackiego.

„To ogromny powód do dumy, że tu – w Małopolsce – wręczana jest tak prestiżowa nagroda. Jej wagę docenili już dawno zarówno teoretycy literatury i sztuki, jak i sami autorzy. Warto dodać, że to jedno z niewielu wyróżnień w tej dziedzinie literatury” – podkreślił marszałek Witold Kozłowski.

Nagrodę w imieniu Marszałka wręczyła Pani Monika Gubała, dyrektor Departamentu Kultury, Dziedzictwa Narodowego i Promocji Urzędu Marszałkowskiego.

Nagroda im. Kazimierza Wyki to wyróżnienie, które otrzymują krytycy literaccy, eseiści i badacze historii literatury. Jest wręczana od 1975 r. twórcom, którzy w swoich dokonaniach literackich i artystycznych nawiązują do badań prof. Wyki, a także są kontynuatorami jego wyjątkowego spojrzenia na świat sztuki. Od 15 lat tę nadzwyczaj cenną nagrodę krytyków literatury i sztuki przyznają wspólnie marszałek województwa i prezydent Krakowa. Wśród dotychczas wyróżnionych znaleźli się m.in. prof. Jerzy Kwiatkowski, Zbigniew Herbert, prof. Maria Janion, prof. Marian Stala, prof. Jerzy Jarzębski, prof. Teresa Walas, prof. Krzysztof Uniłowski, prof. Stanisław Balbus, prof. Franciszek Ziejka, prof. Stanisław Burkot, prof. Włodzimierz Maciąg, prof. Mieczysław Porębski, prof. Michał Paweł Markowski, prof. Przemysław Czapliński.

Autor *Lekcji Różewicza* od niemal czterech dekad zajmuje się twórczością Tadeusza Różewicza, omówił wszystkie ukazujące się tomy i nadal pisze opracowania krytyczne o pisarzu. W narodzonej książce zawarł 37 tekstów publikowanych m.in. w miesięczniku „Twórczość”, ale także specjalnie napisanych do tego tomu. Są to zarówno krytyki, jak i rzeczy bardziej osobiste, wspomnienia ze spotkań z wybitnym poetą.

W wiadomościach prasowych na temat konkursu zwracano uwagę na to, że w *Lekcjach u Różewicza* Drzewucki połączył wieloletnie doświadczenie redaktorskie z subiektywnym, pełnym pasji spojrzeniem czytelnika zafascynowanego zarówno całym dziełem, jak i osobowością Tadeusza Różewicza. Na tle bogatej literatury krytycznej o wielkim poecie, książka Drzewuckiego wyróżnia się bezpretensjonalnym tonem szczerości i osobistego świadectwa. W *Lekcjach u Różewicza* autor kilkakrotnie odniósł się do poświęconych Tadeuszowi Różewiczowi książek i artykułów Kazimierza Wyki.

Gratulujemy z całego serca!

P.M.N.



Mural Edwarda Stachury na budynku przy ul. Rębkowskiej 4 w Warszawie

**„...bo już nie jestem z tego świata i może
nigdy z niego nie byłem...”**
(„List do pozostałych” 1979)

Mural „Sted” poświęcony Edwardowi Stachurze (1937 - 1979),
poecie, pisarzowi, wielkiemu artyście i mieszkańcowi
Pragi Południe, powstał z inicjatywy



TVP 3
WARSZAWA

Autorka - Anna Szejdek „Coxie”
Warszawa, 11 maja 2020 roku



Mural Edwarda Stachury

Niedziela, 17 maja 2020. Ulica Rębkowska 4. Budynek idealnie nadający się do umieszczenia muralu. Edward Stachura, słynny Sted, mieszkał na Pradze Południe przy Rębkowskiej 1 m. 15. „To właśnie tutaj po śmierci Steda odnaleziono w rękopisie ostatni wiersz poety *List do pozostałych*” – mówił Rafał Kotomski, dyrektor TVP3 Warszawa i pomysłodawca akcji.

Przy obrazie Anny Szejdewik zebrała się niewielka grupka miłośników poezji i prozy Edwarda Stachury, jego przyjaciół. Był to sam środek pandemii koronawirusa, dlatego większość warszawiaków, pomna higienicznych przykazań władz, nie wyściubiała nosa z domu, na ulicach było pusto.

Porośniętą bluszczem ścianę murowanego budynku zajął kolorowy portret Stachury, są tam też symbole jego myśli.

Telewizja TVP3 relacjonowała zdarzenie z ziemi i powietrza. Do pałatkowej fotografii zdjęto na chwilę przeciwpandemiczne maski.

Jeden z wielbicieli poety, ubrany w czarny skórzany płaszcz, także spodnie i kapelusz, od stóp do głów umalowany szwarcem z pozłotką, na zakończenie uroczystości mocnym głosem odśpiewał słynną Stachurową piosenkę w wersji oryginalnej, wbrew aktorom i piosenkarzom, którzy bezprawnie używają słowa „stary” zamiast słowa „Bruno”, czyli pseudonimu przyjaciela Steda, poety Ryszarda Milczewskiego. Oto ta pieśń w formie klasycznie prawdziwej:



Uczestnicy inauguracji muralu Edwarda Stachury w Warszawie, 17.05.2020

Edward Stachura

Nie rozdziobią nas kruki

Nie rozdziobią nas kruki
ni wrony, ani nic!
Nie rozszarpią na sztuki
Poezji wściekle kły!

Ruszał się, Bruno, idziemy na piwo;
niechybnie brakuje tam nas!
Od stania w miejscu niejeden już zginął,
Niejeden zginął już kwiat!

Nie omami nas forsa
ni sławy pusty dźwięk!
Inną ścigamy postać:
Realnej zjawy tren!

Ruszał się, Bruno, idziemy na piwo;
niechybnie brakuje tam nas!
Od stania w miejscu niejeden już zginął,
Niejeden zginął już kwiat!

Nie zdechniemy tak szybko,
Jak sobie roi śmierć!
Ziemia dla nas za płytka,
Frujemy w góry gdzieś!

Ruszał się, Bruno, idziemy na piwo;
niechybnie brakuje tam nas!
Od stania w miejscu niejeden już zginął,
Niejeden zginął już kwiat!

Okoliczni mieszkańcy powychodzili z mieszkań, zaskoczeni uroczystością. Mieli łzy w oczach. Pytali, kto to ten Sted. Wystarczyło im wskazać tabliczkę umieszczoną w lewym dolnym rogu pod murem. Pytali więc, gdzie można przeczytać, kupić, wypożyczyć, dowiedzieć się...

Piotr Müldner-Nieckowski

Wielkanoc 2020

Tradycja gromadzenia wierszy z okazji największych świąt już się ugruntowała i na ręce redaktorów oraz do skrzynki pocztowej „Podglądu” co roku przed Wielkanocą i Bożym Narodzeniem spływają ciekawe utwory. Tegoroczne prezentujemy poniżej. Szczególnie polecamy lekturę nowej wersji Drogi Krzyżowej, tym razem autorstwa Anny Bernat.

Anna Bernat

DROGA KRZYŻOWA

Prolog

Idę do Ciebie modlitwą bosą
nie zmieniaj w ogień wieczny
niech wiosna wiosną
niech obłok snuje
zachowaj ludzi i zwierzęta
nie zmieniaj w koniec świata

Stacja I

Człowiek skazany na śmierć

Powszednie deszcze zamiast rzeki miodem
ziemia przeorana do krwi
chleb umyka dłoniom
i ta smuga horyzontu

żałobna wstęga

Podpatruję zmarłych
chcę być tylko oddechem zieleni
łąką wyszeptaną przez Boga
zamyśleniem
 Piłacie nie obmywaj dłoni
 urodzony jest winien
ukrzyżuj!

Stacja II

Człowiek obarczony krzyżem

Wszystko jest naprawdę
samotność pod skrzydłem anioła
i to niespełnienie we włosach
ta radość za mała
i pokuta

Wszystko do przeżycia –
zanim stanę przed kamiennym progiem
czysty przenajświętszy
dojrzały do TE DEUM

Stacja III

Człowiek upada pierwszy raz

Tak pięknie jak latem zasiał
wspominam zapach polnych ziół
i nie ma we mnie gniewu
mój krzyż jest z piór

Czemu upadłem tuląc się w ziemię
jakbym chciał przeczuć sen



Rys. Piotr Müldner-Nieckowski, 2014

– nigdy mi nie dość przed Bogiem zdziwienia

Niech mi powietrze lekkie będzie
Kiedy chcę usnąć – niech zasną
żebrząc o spokój
nie jestem żebrakiem

Stacja IV

Człowiek spotyka swoją matkę

Jesteś moją matką
z pierwszego snu

o rozwiązaniu tajemnic życia

wielkie oczy a cudze
zniszczone powietrzem
między płomykami łez
wieczność

Jesteś moją matką
w tym świecie
w którym nie trzeba tłumaczyć

Stacja V

Człowiek pomaga człowiekowi w niesieniu krzyża

Chciałbym wszystkie okna pocieszyć
wszystkie drzwi otworzyć na przestrzał
aby człowiek człowiekowi –

Chciałbym ten krzyż podzielony sprawiedliwie
jak tylko Bóg potrafi –
unieść za wszystkich

Pospiesznie dzień się skraca
ulice ślepe donikąd
pomóż mi – zanim noc
świecą
przy głowie stanie

Stacja VI

Człowiek ociera twarz człowiekowi

Nie zobaczysz mojej twarzy
oczy wypalone światłem
wędrujących dni i nocy

gdzie były oczy – piasek

Nie ocieraj mi twarzy
na chuście
tylko kurz

Stacja VII

Człowiek drugi raz upada

Szczęśliwy jesteś w słoneczniku
a we mnie płaczesz

kiedy krzyżyk na moich piersiach
zmienia się w drewniany
nie potrafię unieść głowy
klękam przed kwiatem
upadam

czuję jak płonę we mnie trawy
zielone powietrze przenika do krwi
tak pochylam się do ziemi
tak płaczę

Stacja VIII

Człowiek upomina płaczących

Wierście snom spędzonym z powiek
ledwie poczęci a już niecierpliwi
jesteście z woli Bożej
świadkami swojego życia
i ten wasz płacz ulotny
i ból z rozstajnego wiatru
zaprawdę –
byłem z wami
i śmiałem się do ptaków

Stacja IX

Człowiek trzeci raz upada

Tyle słońc dla mnie
ile znaczeń przejrzałem –
i już droga krótsza od krzyża

coraz lepiej widzę
coraz ciszej
ciało do cienia upada

nie mający nic do istnienia
coraz głośniejszy przyzywam Boga

Stacja X

Człowiek odarty z szat

Ja, Bóg, jestem dobry dla twoich oczu
popatrz – czy widzisz ten płonący ogród
wejdź doń nagi i bosy

tam jestem – w tym krzaku złotym

Wybraliśmy się z Duchem Świętym na ziemię
abyś wiedział, że jestem
– włóż palec między gorejące
ach, ty niewierny!
Ty w tym ogrodzie
nagi i bosy
jesteś

Stacja XI***Człowiek przybity do krzyża***

Wiszę na krzyżu
wystrugałem go sobie
w zimowe wieczory

kto podpowie Bogu
moje imię –
ani przyjaciół
ani łotrów

wiszę na krzyżu
z najbliższej brzozy
przybity miłością
której nie chcieli

Stacja XII***Człowiek umiera na krzyżu***

Kiedyś zabiłem Cię Boże
niebo otworzyło się
przed moim bluźnierstwem
nie mogłeś pomóc
ani mnie ani sobie
byliśmy jedno

drzewa i ptaki truchlały
ogień spopielał kamienie

Dziś mnie zabili –
rozpostarty jestem w powietrzu
wiecznym drogowskazem
i pytanie w znak krzyża kreślę
– jeśli przyjdę do Ciebie

przyjmiesz mnie
odepchniesz?

Stacja XIII

Człowiek zdjęty z krzyża

Teraz kiedy jestem
nie pytam co stanie się z ciałem –
zawsze było mi obce

Dojrzały owoc żywota
drzewa jesiennego
nadgryzany niepokojem
nic więcej –

Widziałem tę chwilę
gdy ciało odpadło z krzyża –
nie wiem tylko dokąd
zabrali mój krzyż

Stacja XIV

Człowiek złożony w grobie

A lasy stały wprost do nieba
a razem z nimi człowiek zgrzebny
i świat się toczył piątym kołem
przez własny cmentarz

Bóg czas obliczył na siedem nocy
tak aby dzień powracał – i ostrzem chwil
rysował skronie

Poznałem ziemię w dolinach męki
nie tak od święta lecz dłonią

czuwałem przy niej od zieleni
aż mnie wyniosła kłosem

Nie ma już we mnie drogi krzyżowej
cichnie z dnia na dzień obcy głos
złożony w ziemi
na wysokościach świętuję lot

Anna Bernat

Jerzy Binkowski

Modlitwa

Proszę Cię o moc ocalenia przed śmiertelnym grzechem
Nie proszę o ocalenie przed śmiertelnym zarażeniem

Przyklękę w drodze do Ciebie na stopniach konfesjonału
Posypaną popiołem głowę pochylę prosząc o błogosławieństwo

Nie chcę odkładać żalu pragnę poprawy i zadośćuczynienia
Chcę dołączyć do grona rycerzy i obrońców świętej nadziei

Święty Boże – Święty Mocny – Święty Nieśmiertelny – Ojciec

Przyjmij, Panie, mój śpiew, jak modlitwę przed bitwą:
Będę żył lub zginę jak mężczyzna ufający Tobie, Boże.

Katarzyna Boruń-Jagodzińska

Mięsopust w głowie blues

Ech, moja głowa, karnawałowa!
Zwalił się na nią nawał kar.
Tradycja!
Ech, moja własna, rodzona głowa
karnawałowa,
wyjęta z kufra, a jak nowa,
otrzepana z lat,
wciąż w niej wrze,
czy to dorzeczny war i żar?
Trady, radi, radi, radi, tradycja?
Zakuta mózgownica oblicza i wylicza
jak retro-, lakto-, spektro-, petro-, nekro-, elektronowy mózg.
Jak mózdzek na patelni
przegrzeje się, nim spełni
zadanie na miarę życia, uporządkuje świat,
a nie ogłosi wszem, to, co od wieków wiem –
że seler to nie por,
że suknia nie spódnica,
siatka nie reklamówka,
croissant to nie drożdżówka,
glista to nie dżdżownica,
a gawron to nie kruk.
I z klatki czaszki stuk, puk, puk,
bo myśl to wolna ptica.
Nie spędza jej z powiek snu
rachunek strat.

Bo dzisiaj mięsopust,
baw się, używaj, twórz!
Swobodny mózg!
Z maseczką, za wachlarzem
mądrzejsze będą twarze?
I słodsze będą słówka

sączone powołuchno,
a nie bez zwłoki – łup! –
o ścianę krwawy bluzg.
Wytrzyma garnek – czerep,
choć miękki mózg, twardy łeb?
Ech, moja głowa,
w słowa, głowa karnawałowa
ubiera myśl od nowa,
słowa w błyszczący pył,
a jak popełni błąd
w tym karnawale,
to w poście się poprawi,
z żalem, lecz doskonale –
brokat szerniały oskrobie,
popuka w czoło – kto zacz,
uderzy w płacz
i w grzeszną pierś ciemienia,
sumienia, wam i sobie.
I jak co roku, pokornie ostyga
ta bulgocząca mamałyga.
Oj, głowa,
karnawałowa,
zawodzi na pokucie,
tęskni do uciech.
Konfetti w popiół się obróci,
z wiatrem uleci swąd
włosów wyrwanych z głów,
sparzonych rąk,
spalonych ksiąg.

2019

Anna Dutka-Mańkowska

Wielki Post 2020

Planctus
lament
żału chmura
miserere mei Deus

cień mnie pęta
śmierć okrąża
w otchłań prosto dążę
zawszą słysząc plankty.

Małgorzata Iwanowska-Ludwińska

Wielki Post

Wielki, ogromny Post
nad światem. Pustka.
Wszystkie ulice, place i małe podwórka,
znieruchomiałe w ciszy
pod niebem z szafiru.

Gdzież czasy, gdy wesołe sójki
kosy i rudziki
uczyły liczyć błogo
dni ku Rezurekcji?

Teraz jest czas lekarzy w bieli
i jeźdźców z Dürera.

– Eli, Eli... – z katedry
w ciche popołudnie.

Lecz potem ciężki kamień
będzie odrzucony
i anioł w złotej szacie
ogłosi kres grozy.

Franciszek

Malutki, drobny, Święty.
Stary Franciszek dzierżący monstrancję
w ciszy i samotności. Tyle setek razy
nawoływał, ostrzegał i prosił.
Tak śmiały i bardzo nowoczesny
Apostoł bez skazy.

Teraz złotą monstrancję unosi wysoko,
jak słońce, nieskalaną, czystą
i cudowną
z wiarą, która przenosi góry,
z wiarą, co pomoże

Anioł

Sypaliśmy głowę popiołem?
Na pewno.
Jedliśmy pączki w Tłusty Czwartek?
Owszem, niesłuchanie.

Lecz miało być inaczej,
nawet z dużą skruchą,
lecz wszystko w miarę,
wszystko o kształcie symbolu.

A w pustym mieście oddech przerażenia,

skryty pod białą maską, gdyby ktoś przechodził.
Klekot biblijnych sandałów,
bo nadbiega Anioł.

Z szumnym łoskotem skrzydlatym
i z rulonem w garści,
na którym wypisano
słowa przebaczenia

Krystyna Lenkowska

Koło Wielkanocy

Wyszłam w stroju pokutnym
dopracowanym w każdym calu
skromnym
lecz nie ostentacyjnie
nie jasnym nie ciemnym
w szarych cichobiegach
powoli przeszłam główną
ulicą miasta
wstąpiłam do apteki

odruchowo

w sklepiku na rogu
kupiłam chleb i sól
przedefilowałam przez Rynek
z bochenkiem i solą na tacy
czułam na sobie spojrzenia
nie linczowały mnie
wbrew obawom

ledwie muskały

w końcu weszłam do kościoła
był pusty

czy to się liczy
skoro muska nie chłoszcze
nie jasny nie ciemny
pusty?

przekroczyłam sacrum-profanum
skręciłam w najbliższą bramę

odruchowo

wciąż zakapturzona.

Wielki Post 2018 lub 2019

Alicja Patey-Grabowska

Wielki Post w czasie zarazy

(smutna piosenka)

Dwunasta w południe
Biją dzwony
i Dzwon Zygmunta
obudził się

W modlitwie błagalnej
Bądź Pochwalony

wznosi się w niebo
proszalny trel

Zawisło kropidło
nad święconką
Woda święcona
w tym roku
Nie!

Wielki Post
w czasie zarazy

Wirus w koronie
sieje lęk

27 III 2020

25 III w całej Europie o godzinie dwunastej były dzwony.

Marek Pękala

Nowotwór X

Czy to ruchoma ściana wieżowca.
Czy płacz dzieci w zepsutej windzie.
Realny sen czy słońce we krwi.
Czy to przestraszony gołąbek z gałązką oliwną,
czy nad krajem trzepocze cień atomowej maczugi.
Kwitnące sady we śnie ociekają ropą.
Czy to sterowany księżyc pełza po naszych książkach.
A jeśli trzęsienie ziemi w Rumunii dosięgnie Polski.

Idź,
przedwczesna jesień nie zrzuca z drzew kamieni.

Nie wychodź, ulica krztusi się brakiem powietrza.
 Co jest po drugiej stronie braku.
 Co nas stamtąd widzi.
 Nie otwieraj okna, za dużo tu świata.
 Czy to w tej wynajętej przestrzeni
 obłądny taniec pokoleń ku śmierci.
 Dlaczego wśród nas rozsiadło się
 następne złudzenie NATO, ONZ.
 Szlachetne słowa, z fikcją w środku.
 Coście zrobili, politycy, z najpiękniejszym ze światów,
 że w coraz lepszych zabezpieczeniach
 jest coraz bardziej niebezpieczny.

Naturę jego tajemnicy topicie
 w ściekających jak ścieki rzekach,
 dusicie w trzebionej Amazonii
 z coraz krótszym oddechem,
 ponieważcie po bezdrożach luksusu.
 Już tylko w modlitwie czuję się bezpiecznie.
 Przecież to nie Ty, Boże, chwieszesz morzami,
 stropami fabryk, naszymi sercami.

Nie w Twoim Imieniu strzelają do bliźnich.
 Nadal krwawi czerwcowy Poznań,
 grudniowy Gdańsk,
 kopalnia Wujek krwawi,
 cały stan wojenny,
 tylko ksiądz Popiełuszko zatopiony,
 już w niebiańskim bursztynie.

Cały jestem z Logosu – mówią dąb, woda i pasikonik.
 Gazela nadal jest gazelą, mrówka mrówką.
 Tylko my nad przepaścią ze słów i kroków.
 Logos nas nie opuścił, to my go opuściliśmy.
 Obiecana jasność czy głodna nas czeluść
 w bezdennych kosmosach.
 Na pustyni miasta w przywidzeniu błagasz o śniegu kęs.
 Nietzsche: „Bóg umarł”. Ale ściany śpiewają, że to Nietzsche umarł.

„Dość jest światła dla tych, którzy pragną widzieć.
I ciemności dość dla tych, którzy tego nie chcą,
bo woła żyć w upokorzeniu” – nadal mówi Pascal.
Po co nagość zaplataliśmy już w gwiazdy.
Przytulmy się, niech populsuje smutna cisza,
jak prosta nieskończona, jak obłok.
Żeby dotyk znów był święty,
a Jezus nieośmieszony.

A jeśli milczenie jest najdokładniejszym słowem.
Jaki blask przekłują nasze czaszki,
że nie odpowiadamy.
Dlaczego tak mało nam o nas wiadomo.
Chociaż wiemy coraz więcej,
żeby wiedzieć coraz mniej,
i rozumieć jeszcze mniej.
Jaka bestia nami oddycha.
Jaka śmierć nas włókno po włóknie rozbiera.
Co z nas już umarło, co jeszcze żyje nami
oprócz nas.
Co.

A jeśli terroryści z Hiszpanii już przyjechali.
Nowa Ulrike Meinhof znowu nie wysadziła kapitalizmu.
Gdzie indziej socjalizm ma się tak dobrze,
jak jego wypasiona elita.

Słyszysz, nawołują do meczetu
na Polach Elizejskich.
Nowe porwanie Europy czai się do skoku.
To islam porwie nas na antykonceptyjne strzępy.
Okrutna sprawiedliwość ze Starego Testamentu:
oko za oko, to dzisiaj: głowa za słowo, głowa za rysunek.
Barbarzyństwo z 21. wieku w imię Allaha.
Bo w imię Chrystusa nawet nie chce się już myśleć.
Od tego jest proboszcz. Co nas obchodzi
poderżnięte gardła, obcięte głowy
chrześcijan. Co nas obchodzi jakaś rzeź.
Przecież to nie u nas. Następny Osama bin Laden

gotowy do mordu w każdym zakątku Europy.

24. postmodernizm wali do bram uniwersytetów.

W Oslo najbardziej popularnym imieniem
wśród nowo narodzonych jest Mohammed,
na Wyspach Brytyjskich Mohammed wyprzedził nawet
Harrych i Olivierów.

Jak się czujecie, Mario i Janie,
ze swoimi pociechami: Andżeliką i Arnoldzikiem.
Posuńcie się ze swoim anachronicznym związkiem
małżeńskim, zróbcie miejsce dla związku partnerskiego
z przyszywanym grubymi nićmi potomstwem,
przecież ono niczemu nie winne, jak anioły niewinne.
Bogurodzica tuła się po dyskusjach o aborcji.
Mój ty zapyziały, biedny Polaku, mój Europejczyku,
między Ojcem Świętym a ojcem dyrektorem,
chcesz być patriotą, to od razu wyłazi z ciebie
nacionalista, faszysta i homofob.

A jeśli terroryści z ISIS już wylądowali.

Czy niebo można zamienić w ruinę.

A jeśli partyjny patriota wysyła nas na wygnanie.

A jeśli bezpieczniej w sentymentalnym zniewoleniu
z Pałacem Kultury i Nauki Stalina,
z Pomnikiem Czynu Rewolucyjnego w Rzeszowie.

Jak ustanowić aktualną linię horyzontu.

Czy to Malczewski snuje się

w brudnym kombinezonie jutrzeńki.

Domorosłe Grottgery wykuwają miecze z krzyży
na grobach romantycznych powstańców.

Norwid ogłuchł do reszty w niebieskiej Herakli,
nawet on nie słyszy już swojego gorzkiego śmiechu.

Na wsi wmawiają mi, że Jezus zbuntował się
przeciwko swoim, żeby być Polakiem.

Gdzie spojrzysz, wszędzie Edek z Mrożka.

Już tyle byle Edków, że Mrożka nie widać,

za trudny w zrozumieniu, już go Edki zdeptały.
(Oczywiście, bez obrazy dla Edwardów).
A Matek Boskich tyle, ile żadnych cudu mieścin.
Populizm hitem demokracji. Pałka z oczu
– za przeproszeniem – wiceministra – nomen
co za omen – Kowalskiego mówi: „W nosie mam
sześćdziesięciu profesorów, ważniejsze, co sądzą
Polacy”; wszak elita to Niepolacy, a jego zaszczytna pałka stoi
na straży jedynych prawdziwych rodaków
jakże obolałych z nienawiści.

Dlaczego kieszenie masz wypchane chlebem i bandażami.
A jeśli ten czołg z deflady na 11 Listopada skręci prosto w tłum.
I drżenie dłoni staje się drżeniem tektonicznym.
Tyle w nas strachu po dręczonych, zamordowanych.
Ruś chora na Związek Radziecki szczerzy nuklearne kły,
na razie ku Ukrainie. Trzecia światowa już trwa
poza naszą świadomością. Przecież to żaden problem
– odciąć kraj od satelity, odciąć jeden, drugi kraj
od internetu, radia, tv, komórek.
I odciąć ci prąd, gaz, wodę, język.

Uważaj, bo twoje kichnięcie w podkarpackiej wiosce
sprzed 24 dni już odnotował chiński system odpowiedzialności.

W godzinie próby zachowaj nas, Panie.

Ale dlaczego to ty w starych jak kontynenty pytaniach.
Przestań, przestań myśleć w Powszechnym Automacie.
Użyj siebie, użyj mnie,
wszystkich bliźnich używaj, bo sam będziesz użyty.
Wykrwawiona Solidarność liże rany na etacie.
Męczennicy otwierają już tylko muzea.
Dlaczego nie chcesz być szczęśliwy.
Jeszcze mamy tyle snu, jeszcze mamy
odrobinę siebie. To nasze wspólne ciało jest jeszcze
nasze. Ono szczęśliwą ofiarą – za tych,
których już nie ma, którzy jeszcze będą.

Już dziś nie zabijaj tego, który przyjdzie.
 Bo jeszcze żyjesz,
 gdy w 127 katastrofie lotniczej zginęło
 sto osiemdziesiąt dziewięć osób.
 Osoby okazały się obywatelami.
 Chcesz być obywatelem, musisz zginąć.
 Nadal krwawi wrak naszej wspólnoty spod Smoleńska.
 Katastrofalny zda się katastroficznym
 w pośmiertnym chichocie znad katyńskiego lasu.

A jednak jeszcze oddychamy.
 Po co mówiłaś z radością, że udało ci się kupić
 trochę mięsa. Po co teraz mówisz,
 że stać nas na ekskluzywny rarytas:
 pieczone jądra byka w czekoladzie z pieprzem.
 Nasze mięso nie po to chodzi do pracy,
 nie po to harujemy naszym mięsem.
 Niech ci się dobrze nie myśli, Polaku,
 przy mazurkach Szopena, niech ci się dobrze
 grzęźnie w ekstatycznym rytmie disco-polo.
 – Ale ty wiesz jak to się ludziom podoba?!
 – Ale ja nie jestem ludź!
 Oto ideał na czas pokoju
 z kuchnią. Od powietrza, głodu, ognia
 i wojny zachowaj nas, Panie,
 Panie Trump,
 Panie Duda,
 śmiech, śmiech,
 jak pierworodny grzech
 u kresu homocentrycznego terroru
 na nieludzkiej z woli ludzi samotnej planecie
 ze wstydu schowanej w prawym kącie Wszechświata.
 Zasługujemy tylko na wygnanie.
 Coście zrobili, politycy, z raj.
 Tylko Hiob, dręczony z pokolenia na pokolenie,
 jest na tym padole nieśmiertelny.

A jeśli ten przelatujący samolot

runie na Grand Hotel
w Krakowie, albo runie
na rzeszowskie targowisko.

A jeśli nie ocalejemy.

A jeśli nic nie runie.

A jeśli nie zginiemy
i nie ocalejemy.

A jeśli nowa ebola.

A jeśli nie ebola, lecz.

Albo.

Albo koronawirus.

Stan na 14 kwietnia: według WHO zmarło na świecie:

105 tysięcy 952 osoby, zarażonych: 1 milion 696 tysięcy 558;

w Europie: zmarło 74 tysiące 237 osób, zarażonych: 880 tysięcy 106;

w Polsce: zmarło: 232 osoby, zarażonych: 6 674.

Z doby na dobę: coraz więcej.

A jeśli nie koronawirus.

To.

To i tak.

Skowyt karettek pogotowia może się rozszać.

To i tak świat się ugina pod naszym ciężarem.

To z nas, bogów doczesnych, kpi sobie byle błyskawica.

A jeśli po suszy, po potopie, po śladzie węglowym
ujdziemy w niedobitkach, to i tak kosmiczny pył
może nas udusić.

Za chwilę, za kilka lat,

za nic, za wszystko.

Ale.

Po co chcemy wiedzieć.

Po co cokolwiek chcemy.

Nowej arki nie będzie.

A jeśli.

To i tak.

To.

To.

To.

To jak,

jak uwierzyć,

że jesteśmy więcej niż realni,
że z naszych łez i krwi wypłynie nowe życie.

grudzień 1973 / czerwiec 1980 / wrzesień 2014/ 12 kwietnia 2020

Małgorzata Karolina Piekarska

Wielki post celebrytki

Napisała wielki post na tablicy Facebooka
Był o tym, że w święconce znalazła zbuka!

Krzysztof Saturnin Schreyer

Wielki Post

Pamiętka męki, świadectwo wiary!
Nie wolno żartem zepsuć przesłania.
Ja tylko wspomnę obyczaj stary,
w którym obiady, także śniadania,

pełne są postnych, wspaniałych smaków
ryb rozmaitych, barszczów, kapusty,
ogonów bobra, a także raków –
bo zabroniony posiłek tłusty.

Na pańskich stołach wszystko jak trzeba,
by jeść wykwintnie bez gniewu nieba.

Biedakom posty to rzecz codzienna –
ziemniak, lebioda, kasza jęczmienna.

Tak było dawniej, teraz czas inny
i zapomniano obyczaj gminny,
lecz w Wielki Piątek nadal prym wiedzie
misa kartofli z solonym śledziem.

Ktoś tam nie tańczy, albo nie śpiewa.
Ktoś na ciasteczko z winem się gniewa.
To dobry pretekst, by w trudnym czasie
trochę się zwęzić w biodrach i w pasie.

Wirus, niestety, tu nie pomaga,
bowiem zakupów mania się wzmaga.
Przed ekranami posłusznie siedząc,
by lęki stłumić, zapasy jedzą.

Ja, stale wierny tradycji nowej,
by dany temat wyrazić słowem,
natychmiast wziąłem się do pisania.
Z dumą przedstawiam wynik zadania.

26 III 2020

Grzegorz Walczak

Pascha

Podano paschę
w magię wstąpiłeś
już wieczór, noc
pączek księżycy
polukrowany
w cymes się zmienia
Żydom osładza

cierpki exodus
Egipt daleko
Rzym dawno upadł
i Jeruzalem opuścił anioł
a każdy człowiek
za sobą włóczy
krzyż który bramą
ma być – do czego?
spytaj Norwida
przechodniu jeśli
poezji wierzysz
lub wszystkim świętym
spytaj też księgi
która jest Słowem
więc czynem Ducha
zapytaj mędrców
światłych rabinów
ptaków przelotnych
gwiazdy zarannej
matki co kona
od raka jelit
żołnierzy w czołgu
żywcem palonych
spytaj czy kiedy
czas już nadejdzie
każdy kto żywy
w dniu swym ostatnim
będzie Chrystusem

dnia czternastego
miesiąca Nisan
chleb praśny spożyj
zarznij baranka
ale zapytaj
tego, co za nas
z miłości przyjął
swoją krzyż męczeński
dlaczego nie ma

bez krwi przelania
z Bogiem przymierza
ni przebaczenia

podano paschę
z słodkim rodzyńkiem
znów się nad nami
Wieczny pochyła

Piotr Wojciechowski

Krzyż pocieszenia

Błogosławionaś między niewiastami
I błogosławiony żywota Twego owoc,
A byłaś tam z dwoma jeszcze Mariami
Z Magdaleną i Kleofasową.
Błogosławiony a zбитy pokrwawiony
Owoc na drzewie sokiem czerwonym znaczony.
Od gwoźdźcia do gwoźdźcia Bóg prawdziwy,
Błogosławiony znaczy szczęśliwy.
Jakże ty jesteś Błogosławiona,
Widzisz jak kona.
Jakże ty jesteś szczęśliwa, że koniec z bólem
I kartka nad głową krótka – on królem.
Płaczesz Janie, Dobry Mistrz zamordowany,
A to szczęście – ta korona i te rany.
Pod potopem dobra, łaski bezmiarem
Trzy szczęśliwe już na wieki płaczą Marie.
Błogosławione, dokonany czyn ogromny
Słowo ciałem, ciało bólem nieskończonym.
Marie zbawione jak i my zbawieni.
Przez tysiąclecia, wszyscy w kręgu Ziemi.
Jak nie cieszyć się tą śmiercią i cierpieniem,

Gdy lekarstwem są, wniebowstąpieniem.
Lekcją Krzyża chcemy pojąć tę zarazę,
Idą Marie przez szpitalne korytarze
I Jan z nimi – razem milczą to pytanie
Którym świat do Ciebie woła, Panie.



Rys. Dorota Suwalska

Jerzy Binkowski

„Legiony” – szarpią, bołą, wzruszają

Wielki, niezwykle, dramatyczny i piękny polski film¹.

Od lat tkwi we mnie jakaś rana. Rozdziera mnie rozpacz. Od lat nie potrafię otrząsnąć się z wyobrażenia setek tysięcy mężczyzn zamienionych w kupę miazgi ludzkiej. Widzę rozwalone bebechy, flaki, rozbite czaszki, gnijące i śmierdzące resztki po człowieku. Staję pośród absurdu śmierci, pośród lęku i nienawiści. Ogromna i straszliwa była cena, jaką zapłacili nasi dziadowie za tę, która nie zginęła.

Wojna to żertwa – pożera ofiary. Epopeja filmowa o żołnierzach stawiających na szali własne życie dla niepodległej, w *Legionach* odnalazła wielkość i piękno. Owo piękno nie może być rzeczywiste. Ono jest obrazem unoszącym rzeczywistość o kilka pięter wyżej, niż obryzganę krwią zwłoki leżące w okopach. Taka bywa rzeczywistość doczesna a przecież nadprzyrodzona jest także rzeczywistością a może jeszcze „bardziej”? Bo wieczna, niezmienna.

Film ten stał się dla mnie metaforą życia i śmierci mężczyzny honorowego i odpowiedzialnego. Nie można być bohaterskim żołnierzem walczącym o ojczyznę, o najpiękniejsze w świecie krajobrazy, o szczęśliwy bo pełen kobiecej miłości dom, gdy w sercu nie ma miłości.

Legiony nie są logiczne. Są nielogiczne jak życie. W prawdziwym życiu wszystko jest prawdopodobne. Wszystko się może wydarzyć. Fabuły nie da się przewidzieć. Film zawiera trudne do określenia przesłanie. Tym przesłaniem wydaje się nadzieja i tęsknota za najlepszą wersją samego siebie.

Wpatruję się w obraz. Dostrzegam szczegóły. Widzę krajobrazy latem i zimą. Patrzę na twarze kobiet, mężczyzn i dzieci – aktorzy znajdują trafną formę dla wyrażenia uczuć – niepokojów, bólu, tęsknoty, miłości, szczęścia.

1 *Legiony*. Polski film fabularny. Premiera 16 września 2019. Czas trwania: 2 h 16 min. Reżyseria: Dariusz Gajewski. Scenariusz: Tomasz Łysiak, Michał Godzic, Maciej Pawlicki, Dariusz Gajewski. Zdjęcia: Jarosław Szoda, Arkadiusz Tomiak, Mikołaj Łebkowski. Muzyka: Łukasz Pieprzyk. Obsada: Wiktoria Wolańska, Sebastian Fabijański, Bartosz Gelner, Mirosław Baka, Jan Frycz, Grzegorz Małecki, Borys Szyk, Antoni Pawlicki, Piotr Cyrwus, Modest Ruciński i inni.

Legion albo *legia* (łac. *legio*) – podstawowa i największa jednostka taktyczna armii rzymskiej. Nazwa oznacza dosłownie „pobór”.

Słyszę muzykę, która tworzy nastrój w kolejnych wątkach fabularnych, ale milknie, milknie, kiedy grzmia armaty. Kiedy muzyka okala obraz – piękna muzyka – jest pełniej, jest nadzieja. Jakby muzyka zesłana była z nieba i prowadzi do nieba.

Spostrzegam elementy scenografii, kostiumy, rekwizyty. Wiarygodnie oddają miejsca, czas i metody batalii wojennej. Podziwiam jedne z najpiękniejszych zwierząt świata – konie. To właśnie konie, dynamiczne, silne, o pięknych proporcjach zwierzęta, stały się w tym filmie znakiem, symbolem dramatu – mocy życia i śmierci.

W każdym szczególe doceniam staranność, uważność i nielogiczność zdarzeń. Stworzono zespół profesjonalistów pod kierunkiem reżysera Dariusza Gajewskiego. Praca nad montażem i dźwiękiem to wyczyn porównywalny ze zdobyciem w porze zimowej jednego ze szczytów w Himalajach.

Dotąd jednak nie napisałem o jakości dialogów między postaciami. Dialogi tworzą relacje. Pierwszym językiem, który usłyszysz widz, to urzędowy przecież język rosyjski. Wojskowi carscy na koniach, poddani Polacy to gorszy gatunek ludzi – piesi. Carska konnica jeszcze nie wie i nie spodziewa się, że piesi są uzbrojeni. Przepędzili Rosjan. Postać uwolnionego dezertera jest jeszcze w „powijakach”. Jest niedopowiedziana. Mrukliwa. Frazy słowne kolejnych scen filmu wprowadzają widza w przyszłą fabułę. Są deklaratywne. Mowy jakby papierowe. Widzowie powoli wprowadzani są w reguły gry. Filmowy Józef Piłsudski mówi: „Duszę chcesz – duszę daj”! Mówi to bez patosu. Z serca. Jesteśmy wolnymi ludźmi. Dlatego wykonuje się rozkazy.

W miarę rozwoju akcji, gdy patrzę i słucham rozmów między Józkiem „Wieżą” a dowódcą – „Królem”, wtedy myślę, że dialogi te nie mogły zostać napisane w scenariuszu. One nie są papierowe. Jest dla mnie oczywiste, że konkretny człowiek (aktor), reaguje na konkretnego człowieka (aktora), którzy są świadomi, że każde drgnienie powiek, mięśnia twarzy, każdy grymas czy przymrużenia oka zostanie zarejestrowane przez kamerę. Reżyser w całym filmie namiętnie i mądrze wykorzystuje zbliżenia prawdopodobnie dlatego, że zorientował się, jakich dojrzałych i utalentowanych aktorów wybrał do współpracy. Mirosław Baka i Sebastian Fabiański stworzyli duet Młody – Stary, znajdując milczące gesty-skróty skomplikowanych uczuć, o których się NIE MÓWI. One są na ekranie poprzez mistrzowskie sterowanie mową ciała.

Rozmowy Józefa Wieży – szeregowego żołnierza z oficerem wojska polskiego – Stanisławem Królem Kaszubskim – nabierają cech coraz głębszego

zaufania. W ogniu walki wzrasta męska przyjaźń. Po przegranej potyczce, w drodze do niewoli, w krajobrazie syberyjskiej zimy, Stary pomaga Młodemu. Kiedy już widzi, że zaaresztowany przez Rosjan Wieża i Król muszą zginąć, słyszy rozmowę w celi:

Król – *Twój ojciec żyje?*

Wieża – *Nie wiem.*

Król – *A matka?*

Wieża – *Jest sama. Uciekłem, jak miałem 5 lat, może 6.*

Cisza

Wieża – *Masz dzieci?*

Król – *Nie.*

Wieża – *Wyglądasz, jakbyś miał.*

Król – *Tak wyglądam?*

Cisza

Wieża – *Powiesz nas?*

Cisza

(Wieża kładzie się na pryczy i bierze Elementarz, który dostał dawno od Króla, z zachętą, aby się uczył czytać i pisać. Król w bardzo dyskretnym półśmiechu).

Wieża – *Co? Nie chcę zdechnąć głupi.*

Scena trwa ponad 90 sekund. Taki wygląda męski dialog w celi śmierci.

Oto męska cecha – wizja, wiara, nadzieja, ryzyko, poczucie humoru.

Film zawiera wiele sytuacji puentowanych uśmiechem. I wzruszeniem.

Duet aktorski – Mirosław Baka i Sebastian Fabiański to niezwykła „orkiestra kameralna”. To dla nich wielokrotnie oglądałem *Legiony*. Wsłuchiwałem się w ich rozmowy. Usłyszałem też wstrząsające słowa wiary polskiego oficera, podczas walki z carskim oficerem: „Zawsze i wszędzie Niewidzialne rządzi widzialnym”. On też na chwilę przed śmiercią klęknął i modlił się: „Boże, błogosław żołnierzowi”.

Ileż lirycznych skomponowanych relacji, ileż przepięknych zakątków nasączonych światłem i muzyką. Kłaniam się autorom zdjęć. Kłaniam się kompozytorowi. Pan Łukasz Pieprzyk niech przeczyta moje słowa jednoznacznego zachwytu nad efektem jego twórczości. Jego muzyka nie tylko płynie równolegle z akcją filmu. Ona pogłębia i rozszerza myśl i uczucia zawarte w obrazie. Jest duszą filmu. Nawet fascynujący swoim talentem i pracą Sebastian Fabiański, jest dzięki niej pełniejszy, głębszy i piękniejszy.

Nie mogę i nie chcę zapomnieć o kaskaderach. Panowie, to była dobra i ciężka robota. Efekty kaskaderskie nie są tylko popisami sprawności. One niosą przede wszystkim znak determinacji, odwagi i charakteru bohaterów filmu.

Ileż metafor opowiadających o marzeniach. Widzę latawiec nad zielonymi łąkami. Wolny. Wysoko. A widz przecież wie, że latawiec ukazuje swoje piękno tylko wtedy, gdy prowadzący (trzymający latawiec) potrafi ustawić go pod wiatr. Gdy latawiec nie jest prowadzony zgodnie z zasadami, prowadzi go tylko wiatr. Dokądkolwiek. Bez celu.

Piękne Kobiety w tym filmie nie nadążają w walce o życie tych, którzy walczą o życie ojczyzny. Krew przelewa się przez ich dłonie i wsiąka w ziemię. Do niektórych powraca miłość. Wiktoria Wolańska i Bartosz Gelner potrafili oddać sytuację śmiertelnego zagrożenia miłości kobiety i mężczyzny.

Nie mogę pogodzić się z kwalifikowaniem tego dzieła do grupy filmów określanych słowem „romans”. Mężczyzna pragnie Kobiety. Kobieta pragnie Mężczyzny. Czułość i delikatność wzbogaca każdego. Miłość boli, choć bywa nieśmiertelna. Miłość ojczyzny jest najboleśniej i strasznie samotna, choć bywa i śmiertelna, i nieśmiertelna. Upewniłem się, że polski salut polegający na przyłożeniu do czoła dwu palców prawej dłoni, określa, że służę Bogu i służę Ojczyźnie.

I obraz wieńczący: żołnierz, który ogarnia wciskającą się w jego dłoń – dłoń chłopca. Prawdziwi Mężczyźni nie pozostawiają dzieci. Dzisiaj prawdziwy mężczyzna to mężczyzna odpowiedzialny – ojciec chroniący dzieci przed bezsenssem świata.

Legiony są filmem o wierności Bogu i samemu sobie. Tylko wtedy można być wiernym i kobiecie, i Ojczyźnie. Jest w tych słowach patos, ale i on bywa nośnikiem prawdy artystycznej.

Jeżeli ktoś nie widział dotąd wielkiego, niezwykłego, dramatycznego i pięknego polskiego filmu – *Legiony*, niech błyskawicznie uzupełni to niedopatrzenie.

Jerzy Binkowski

Grzegorz Gortat

Literaci na ring!¹

Walkę o najważniejszy w Polsce literacki wawrzyn zakontraktowano na dziesięć rund. W niedzielny wieczór widownia Teatru Wielkiego zappełniła się po brzegi. Jurorzy Nagrody Literackiej „Sęki” zajęli miejsca tuż przy scenie przerobionej na ring, w pierwszym rzędzie zasiadł prezydent z małżonką oraz przedstawiciele firm fundujących nagrodę.

Broniący tytułu Iks, prozaik, poeta i eseista starszego pokolenia, już w pierwszej rundzie celną rymowaną puentą położył na deski Igreka – prozaika, poetę i eseistę młodszego pokolenia. W drugiej rundzie Irek wprowadził z prawej śmiały w treści erotyk – i systematycznie zaczął odraabiać straty. Runda trzecia i połowa czwartej przebiegały pod dyktando Iksa – dwukrotny laureat literackich „Sęków” lewym prostym trzymał przeciwnika na dystans, co jakiś czas objając mu tułów wersami z najnowszego tomiku *Razy i skazy*. Pod koniec czwartej rundy Irek zmylił Mistrza i zasunął mu pod żebro obrazoburczy cytat ze swej debiutanckiej powieści *Kicha*. Iks dotrwał do gongu, po przerwie zaś zasypał Młodego gradem Joyce’owych wulgaryzmów z ostatniego okresu twórczości autora *Ulissesa*. Zapędzony do narożnika, Irek odpowiedział bitym z biodra hemingwayem, by następnie, podstępnie zmieniawszy *genre*, przejść do ataku Fredrowską krotoczwilą. Iks stracił rezon, bez powodzenia próbował punktować Miłoszem na przemian z Herbertem. Z trudem chwytał oddech. Literacka sensacja wisiała w powietrzu.

W rundzie szóstej Irek z powodzeniem zastosował kombinację MMA: Mickiewicz-Masłowska-Asnyk. W siódmej umocnił zarysowującą się przewagę. Iks bronił się nieporadnie, niepotrzebnie sięgając po wyświechtany repertuar balzaków i bitych z zamachu flaubertów. W ósmej Irek zmierzał już do pewnego zwycięstwa, kiedy niespodziewanie szczęście go opuściło: uderzył eposem ze stalinowskiego okresu twórczości Iksa, co jurorzy zakwalifikowali jako cios poniżej pasa i odjęli mu dwa punkty.

W przedostatnim starciu Irek serią kąśliwych tyrmandów położył Mistrza na łopatki. Runda ostatnia też zaczęła się po jego myśli. Iks zgiął

1 Jeden z tekstów przed laty publikowanych raz w tygodniu w Wirtualnej Polsce pod ogólnym tytułem *Zapiski mężczyzny po niewłaściwej stronie czterdziestki*.

się w pół pod hip-hopową frazą Masłowskiej, mądrze, choć bez powodzenia próbował się ratować podbródkowym kuczokiem. Raptem zmienił taktykę. Zamarkował uderzenie bogoojczyźnianym mickiewiczem, by nagle bitym od dołu mrożkiem trafić Młodego w sam środek szczęki.

W tejże chwili zabrzmiał gong kończący walkę. Pięć tysięcy widzów w teatrze oraz sześć milionów przed telewizorami zamarło w oczekiwaniu na rozstrzygnięcie, komu w tym roku przypadnie najważniejsza w kraju nagroda literacka. Nagle zaskrzypiały drzwi dzielące salę od foyer, kamery posłusznie wykonały obrót o sto osiemdziesiąt stopni – i w obecności wielomilionowej telewizyjnej widowni na purpurę ceremonialnego dywanu spłynął mocno spóźniony Parnass Pacyków, celebrycki bohater tabloidów i mistrz medialnego autolansu, fikuśnym kapelusikiem i własnoręcznie dzierganym siatkowym podkoszulkiem na zawsze spychając w niebyt werdykt Wielkiej Kapituły Nagrody Literackiej „Sęki”.

PS. Nie mnie polemizować z epidemiologami, którzy twierdzą, że okres jesienny przyniesie nasilenie zachorowań na świńską grypę. Nie mogę jednak zrozumieć, dlaczego pani profesor Iks zagrożenie epidemią wiąże z „nadrepreszentatywnością męskiej populacji w dużych skupiskach miejskich”.

Renciści beneficjentami nudystów

Parlamentarzyści prześcigają się w receptach na uzdrowienie finansów państwa. Bodaj do najdziwniejszych należy pomysł opodatkowania coca-coli. Nie od rzeczy będzie przypomnieć, że towarzysz Wiesław – za którego rządów, notabene, Polska odnotowywała deficyt nawet w sektorze rodzimych ogórków – w sprawie coca-coli poszedł trzy kroki dalej, ogłaszając napój chłodzący rodem z Ameryki wrogiem numer jeden Polski Ludowej. Pokolenia skazane na oranżadę i wodę gazowaną z syfonów patrzyły z zawiścią na naród za Wielką Wodą, który raczył się do przesyty coca-colą, o prawdziwej gumie do żucia, wolności i Disneylandzie nie wspomnę.

A wracając do czasów nam współczesnych, pomysłodawca parlamentarnego zamachu na coca-colę dowodzi, że dodatkowe pieniądze ze sprzedaży „amerykańskich” bąbelków pójda na potrzeby biednych. „A jednak socjalizm zwyciężył” – spuentowałby nie bez racji towarzysz Wiesław. Tyle że historia ta ma jeszcze jedną puentę. Otóż ów parlamentarny spec od podatków w innym miejscu dowodzi, że na pomysłe zyska również ekologia

– wyższa cena oznacza, suponuje tenże, że sprzedaż napoju spadnie, w ślad za czym zmniejszy się liczba plastikowych butelek zagrażających środowisku. Nawet laik musi teraz zapytać: jakim cudem spadek popytu na artykuł zaowocuje wzrostem przychodów z jego sprzedaży? No cóż, logika nie zawsze jest mile widzianym gościem w parlamencie.

Pozostając przy temacie podatków, należałoby ze smutkiem stwierdzić, że polscy prawodawcy nie są jednak najbardziej awangardowi na tle innych narodów świata. Na przykład władze włoskiej Rawenny chcą nałożyć na mieszkańców podatek od deszczu, Węgrzy zaś zamierzają opodatkować krawaty. Może warto dużo śmieiej zaznaczyć udział Polski w tej podatkowej rywalizacji? Dlaczegoż by nie płacić podatku VAT od noszenia bikini? Wykażemy się nowatorskim podejściem do polityki stosowania *podatku od wartości dodanej* (ang. *value-added tax*), którego wykładnię można wyłożyć następująco: „Im więcej z siebie zdejmiesz, tym większy VAT uiścisz”. I tym oto sposobem w myśl zasady sprawiedliwości społecznej podatki płacone przez nudystów poprawią byt polskich rencistów i emerytów.

PS. Mariolce L., lat piętnaście i pół, odpowiadam: Przykro mi, ale przez najbliższych sześć miesięcy nie przewiduję spotkań autorskich w Pani mieście. Na pocieszenie dodam, że w rzeczywistości prezentuję się dużo gorzej niż na zdjęciach.

Grzegorz Gortat

Jan P. Grabowski

Literackie i filmowe zapiski i wspomnienia¹

(fragmenty z 2019 r.)

Frank Norris

Motto

„Był sam. Nocna cisza i wielki spokój płaskiej, nagiej ziemi – dwie nieskończoności – zalegały nad nim i wokół niego niby dwa bezkresne morza. Od gwiazd ku ziemi płynęła szara, tajemnicza poświata”.

Rozmyślania Annixtera po wyjeździe Hilmy Tree.
Frank Norris, *Ośmiornica*

Facebook to wspaniałe medium, które można wykorzystać do przekazywania istotnych informacji, refleksji itd., a można też publikować zdjęcia wazoników na oknie („o, jak pięknie się zielenią mimo brzydkiej zimy”), krajobrazów i budynków („o, jakie one są magiczne i malownicze”), kotków („o, jakie one śliczne”), wreszcie swoich fotografii („o, patrzcie jaka/ jaki jestem piękna/ jaki jestem piękny) itd. itd.

Nie chciałbym tu pisać niestosownych uwag, ale bardzo trafnie określiła to, co dzieje się na tzw. „mediach społecznościowych” moja znajoma pisarka M. twierdząc, że „wystarczy, że ktoś pierdnie i od razu publikuje to na Facebooku”. Nie jestem aż tak kategoryczny, ale na pewno jest coś na rzeczy.

Dlatego z coraz większą niechęcią piszę, i publikuję, te moje *Zapiski i wspomnienia* o nade wszystko refleksjach (niepogłęzionych) na temat książek, filmów itd. słowem, jak to się teraz pięknie określa, „produktów kultury”. Od polityki chciałbym być jak najdalej, a także od tzw. spraw

¹ Zapiski i wspomnienia, na tematy m.in. literackie i filmowe Jan P. Grabowski prowadzi na stronie internetowej www.grabovius.com.

społecznych, gdzie absurd goni absurd. Staram się także nie ulegać różnym politycznym i artystycznym histeriom.

Po arcydzielnich powieściach Zofii Kossak trudno mi było znowu trafić na powieść nadającą się do czytania. Znajomi wprawdzie podpowiadali mi pewne książki, sam także staram się być na bieżąco ze współczesną produkcją (chciałem napisać „sztuką”) powieściopisarską, ale wszystko to nie nadaje się czytania, ponieważ jest pisana byle jak, na chybcika, aby prędkiej, a poza tym tematyka owych powieści jest jakaś mialka, słowem owe powieści nic nie mają wspólnego ze sztuką, a na pewno bardzo wiele z bestsellerową produkcją. Aż nie mogę się nadziwić: co powieść, to nagrodzony lub nagradzany bestseller, tyle że nie nadaje się do czytania.

Nie ustaję jednak w poszukiwaniach. Wiem bowiem, że istnieją literackie arcydzieła, że istnieją wspaniałe powieści. Oto w jaki sposób natrafiłem na powieść, która mnie zachwyca, i której nie mogę się nazytać tj. na *The Octopus: A California Story* (1901), wydanie polskie *Octopus*, Warszawa 1903; *Ośmiornica*, Czytelnik 1955; Franka Norrisa (1870-1902).

Bardzo lubię stare filmy, gdzie o chybotliwości (tj. kręceniu z ręki) nikt nawet nie myślał. Dlatego po arcydziele, którym się od kilku miesięcy znowu zachwycam tj. po filmie *Na Zachodzie bez zmian* (*All Quiet on the Western Front* – 1930), 131 min, reż. Lewis Milestone, sięgnąłem po *Towarzyszy broni* (*La Grande Illusion* – 1937), 114 min, reż. Jean Renoir (1894-1979) z Jeanem Gabinem (1904-1976) jako porucznikiem Marcheal'em i Erichem von Stroheim'em (1885-1957) jako majorem von Rauffenstein'em. Oba te filmy powstały w mniej więcej tym samym czasie. O ile jednak obraz Milestone jest arcydziełem, to film Renoira w sumie dość, moim zdaniem, słaby. Zainteresowałem się jednak znowu Jeanem Gabinem (ach! ta jego piosenka, a właściwie melorecytacja... *Maintenant je sais*) oraz Erichem von Stroheimem.

Otóż Stroheim to bardzo ciekawa postać w świecie filmu. Zaczynał bowiem jako reżyser, by ostatecznie zostać aktorem. Jednym z wyreżyserowanych przez niego filmów jest słynna *Chciwość* (*Greed* – 1924), niemy film trwający aż 140 min. Obraz ten został zrealizowany według powieści pt. *McTeague* z 1899 r. napisanej przez... Franka Norrisa. Zainteresowałem się tym pisarzem, który w ciągu swojego bardzo krótkiego życia napisał cztery powieści. Oprócz bowiem ww. *McTeague*, jest autorem także: *Moran of the Lady Letty* (1898), wydanie polskie *Ocean przyjdzie po ciebie*, Poznań 1960); *The Octopus: A California Story* (1901), wydanie polskie *Octopus*, Warszawa 1903; *Ośmiornica*, Czytelnik 1955 i *The Pit* (1903).

Książkę *Ocean przyjdzie po ciebie* odłożyłem po kilkudziesięciu stronach. Natomiast zachwycam się *Ośmiornicą*. Co za powieść, ileż wątków, jak wspaniale przedstawione postaci. Słowem czytelnicze чудо. Warto podkreślić, że powieść tę pisał zaledwie trzydziestoletni autor.

Jednym z głównych bohaterów *Ośmiornicy* jest Presley, poeta, autor *Wyrobników i innych dzieł poetyckich*.

Chciałbym zacytować jeden z fragmentów *Ośmiornicy*.

„Presley zatrzymał się na schodach werandy i spojrzął na południe.

Przed nim miła po mili ciągnęła się w nieskończoność pszenica pokrywająca pola od widnokręgu do widnokręgu. Młode pędy, które wzeszły przed kilkoma tygodniami, wyrosły już wysoko ponad ziemię. Presley patrzył na rozległy, cichy ocean, połyskujący bladą zielenią w świetle księżyca i gwiazd; na niezmierną potęgę, siłę narodów, *źródło życia całego świata*, rosnące nieustannie w nocnych mrokach pod kopułą nieba. Na ten widok scena w pokoju, który przed chwilą opuścił, wydała się młodemu pocie drobiazgiem bez żadnego znaczenia. Ach, Tak! Pszenica! To o nią walczy Południowo-Zachodnia Droga Żelazna, ranczerzy, nikczemny sprzedawczyk i zdrajca, wszyscy uczestnicy poufnej rozmowy. Jak gdyby ludzkie poczynania mogły wpłynąć na tę nieogarnioną moc! Czym są zaciekle, lecz mizerne utarczki, gorączkowa krzątanina drobnych istotek, nikłe brzęczenie roju ludzkich owadów wobec wielkiego, majestatycznego oceanu pszenicy! Obojętny, gigantyczny, nieposkromiony, dąży on do swego odwiecznego celu. Ludzie! Liliputy, komary w smudze światła! Brzęczą zuchwale staczając mikroskopijne utarczki, rodzą się, przeżywają swe krótkie dni, umierają i staczają się w zapomnienie. A pszenica, spowita w spokój nirwany, rośnie nieustannie wśród nocy, sam na sam z gwiazdami i Bogiem”.

Teraz w powieściach najważniejsze są: „akcja, panie, akcja”, „seks, dużo seksu” i „aby coś się działo, nieważne co, byle się działo”.

I na koniec łyżka dziegciu. Znane powiedzenie mówi: „traduttore traditore”, czyli „tłumacz to zdrajca”. Pisałem już o tym po wielokroć. Otóż nie chce mi się wierzyć, by Frank Norris zaczynał aż tyle zdań od „Ale...”. Nietety i w *Ośmiornicy* owo „Ale...” jest wszędobylskie. „Ale...” bowiem to, „Ale...” tamto, „Ale...” siamto, słowem „Ale...”, „Ale...”, „Ale...” i „Ale...”, i jeszcze raz „Ale...” na początku zdań. Ileż można „Ale...” –ć???!!! Jakże owo „Ale...” na początku zdań irytuje i psuje lekturę tej znakomitej przebieg powieści.

A już zupełnie na koniec. Drodzy uczestnicy Facebooka. Ja także chciałby dowiedzieć się od Was o przeczytanych książkach, obejrzanych

filmach, obejrzanych wystawach malarskich, wysłuchanych koncertach (ale nie „muzyki współczesnej”, bo łomot to nie muzyka) itd.

Kogo bowiem obchodzą doniczki, pieski, kotki, „kultowe” wydarzenia artystyczne, które ze sztuką nie mają nic wspólnego, „kluczowe” informacje polityczne, wyłącznie „pyszne” albo „przepyszne” dania, „malownicze” fotki z mgiełką itd. itd.?

31 stycznia 2019 r.

Od tonalizmu do... Bułhakowa

Motto

„– Nie podobają się panu moje wiersze? – spytał zadowolony Iwan.

– Strasznie mi się nie podobają.

– A które pan z nich czytał?

– Nie czytałem żadnych pańskich wierszy! – nerwowo wykrzyknął przybysz”.

Michaił Bułhakow, *Mistrz i Małgorzata*

11 marca 2019 r., w poniedziałek rano o godzinie 6.30 Słońce zajrzało do mojego pokoju. To znak, że za jakiś czas tj. za, mniej więcej, miesiąc, tzn. w połowie kwietnia, i do Gdańska zawita wiosna. Od właśnie połowy marca Słońce w moim oknie zaczyna pojawiać się coraz wcześniej. Będzie to trwało aż do – znowu: mniej więcej – połowy października.

Drugą oznaką wiosny jest dla mnie gwizdzący kos. (Wprawdzie na Facebooku jakaś Pani literatka oznajmiła, że w „Malborku już śpiewają kosy”, ale nie chce mi się w to wierzyć. Po pierwsze kosy nie śpiewają, lecz gwizdzą. A po drugie to jeszcze nie czas na pogwizdywanie kosów. Pani literatka także mogłaby o tym wiedzieć).

Trzecią oznaką wiosny jest dla mnie wiosenna burza. Przejdzie wiosenna burza, ziemia zatem będzie ogrzmana i wtedy to już na pewno będzie wiosna.

Póki co trwa jeszcze zima. Bo marzec to miesiąc jak najbardziej zimowy. Doświadczyłem tego, gdy któregoś dnia przechodziłem przez park w Oliwie. Nigdzie, na żadnym drzewie nie ma jeszcze najmniejszych oznak

wiosny. Nie słyhać także wiosennych ptaków. Za to z północy dmie w najlepsze zimowy, przeraźliwy, ziąb.

Jeśli już byłem w Oliwie, to zaszedłem do bardzo szumnie reklamowanego Oliwskiego Ratusza Kultury. Po przejściu przez pełen powietrza i rozśłoneczniony park (choć przesywany – zarówno park, jak i ja – na wskroś ziąbem z północy), wstąpiłem do kawiarni-restauracji owego Ratusza na herbatę. Czym prędzej dopijałem jednak tę herbatę, ponieważ nie mogłem znieść duchoty owego pomieszczenia oraz łomotu dobiegającego z głośników? I pomyśleć, że ludzie przesiadują w tej duchocie i w tym łomocie całymi godzinami.

Zaszedłem także do sali (właściwie: salki), gdzie odbywają się koncerty i która także jest galerią. Oto bowiem na ścianach ujrzałem jakieś straszliwe bohomyzy: to na wielkoformatowych płótnach jakaś Pani artystka-malarz powyciskała wprost z tuby farby. I to ma być... malarstwo? I to ma być Sztuka? Próbowałem dowiedzieć się: kto zdecydował o tym, że – za pieniądze podatnika – tymi bohomazami zostały obwieszane ściany Oliwskiego Ratusza Kultury? Niczego, oczywiście, się nie dowiedziałem.

Ostatnio po zachwytach impresjonizmem amerykańskim zainteresował mnie... tonalizm, a szczególnie twórczość amerykańskiego malarza pejzażysty Georga Innessa (1825-1894). Twórczość Innessa zachwyca kunsztem, tajemniczością, ponadczasowością. Natomiast czy do wyciskania i rozmazywania farb na płótnie potrzebne aż było ukończenie akademii sztuk pięknych?

Od malarstwa zaledwie krok do sztuki filmowej, czyli przejdźmy – mówiąc kolokwialnie – od obrazów statycznych do obrazów ruchomych. Otóż nie mogę znieść telewizji, właściwie mogę powiedzieć, że nie pamiętam, kiedy oglądałem telewizję. Telewizja bowiem teraz to tylko: reklamy, reklamy, reklamy, reklamy, a ponadto kłócący się politycy oraz – co mnie jako kinofila bezustannie irytuje – filmowe powtórki a także beznadziejny poziom prezentowanych filmów. No i, oczywiście, polskie seriale, w których się siedzi i gada, i gada, i gada, i gada.

Postanowiłem zatem doświadczyć, co zacz ów tak coraz bardziej popularny Netflix. Po pierwszym „zachłyśnięciu się”, że „aż tyle filmów”, rozejrzałem się i zacząłem co nieco oglądać. Niestety, co i raz zaczęte filmy muszę porzucać, ponieważ nie nadają się do oglądania ze względu na swój beznadziejny poziom (a właściwie brak jakiegokolwiek poziomu. A filmowa „rozrywka” w ogóle mnie nie interesuje). Tak było także z oscarową *Romą*. Cóż bowiem z tego, że film jest czarno-biały, coś z tego, że jest ponoć

„wyczynem artystycznym i technologicznym; zdjęcia na Arri Alexa 65 mm, all-around sound, niesamowita scenografia bez green-screenów” itd., jeśli również i ten obraz najzwyczajniej nudzi. Wytrzymałem pół godziny i dałem sobie spokój.

Co i rusz powtarzam, że po wielu – bardzo, bardzo wielu – latach oglądania filmów doznaję instynktu, czy też zmysłu kinofila. Otóż ten zmysł polega na tym, że już od pierwszych scen, od pierwszej sekwencji od razu widzę na ekranie niemal wszystkie fastrygi, fuszerki i błędy filmowej roboty itd. (Tak samo jest w przypadku literatury, w tym nade wszystko poezji).

Dałem więc sobie spokój z przynajmniej kilkunastoma filmami (np. z *Anihilacją*), a także z kilkoma serialami (np. *The Sinner*) itd. Bardzo przeciętny okazał się także od wielu tygodni reklamowany jako wydarzenie film *Potrójna granica* (*Triple Frontier* – 2019), 120 min, reż. Jeffrey C. Chandor. (Oglądając *Potrójną Granicę*, w której chodzi tylko o kasę, kasę, kasę, wyłącznie o kasę, przypomniał mi się, jako żywo film *Działa Navarony*² Johna Lee Thompsona³. Obraz Thompsona to jednak w porównaniu z filmem Chandora niemal arcydzieło).

Umknął mi również film pt. *Pierwszy człowiek* (*First Man* – 2018), 141 min, reż. Damien Chazelle. Obejrzałem go w końcu i nie kryję swojego wielkiego rozczarowania, gdyż jest to kolejny, po *La La Land*, nieudany film Chazelle. Film jest ciemny, niemal w samych zbliżeniach, a najbardziej denerwujące i dyskwalifikujące ten obraz jest znowu machanie kamerą. Poza tym „drewniany” Ryan Gosling w ogóle nie przypomina Neila Armstronga.

Wolę zatem odnotować, co mi się podobało, bo takich filmów jest zdecydowana mniejszość niż cytować filmy i seriale, które nie są warte uwagi.

Bardzo podobał mi się western *Ballada o Busterze Scruggsie* (*The Ballad of Buster Scruggs* – 2018), 132 min, reż. Ethan Coen. Zupełnie niezły mógłby być serial *Bloodline* (2015-2017), gdyby nie to bezustanne machanie kamerą, czego skutkiem był ból oczu i głowy. „Urwałem” także punkt na prawdę dobremu serialowi pt. *Ozark* (2017) za manierę utopienia wszystkich odcinków w sino-niebieskawych barwach.

² *Działa Navarony* (*The Guns of Navarone* – 1961), 158 min.

³ John Lee Thompson (1914-2002). Chętnie znowu obejrzałbym takie filmy Thompsona jak m.in.: *Kobieta w szlafroku* (*Woman in a Dressing Gown* – 1957), 93 min; *Zimne piwo w Aleksandrii* (*Ice Cold in Alex* – 1958) 129 min; *Nieletni świadek* (*Tiger Bay* – 1959), 105 min.

Nie znalazłem ostatnio – także w Netfliksie – filmu, który by mnie zachwycił. Za to sięgnąłem po raz kolejny po *Mistrza i Małgorzatę* Michała Bułhakowa (1891-1940). Powieść tę – mimo licznych i denerwujących „Ale...” na początku zdań – świetnie mi się czyta.

A oto fragment dialogu Mistrza, „pacjenta pokoju 118” z poetą Iwanem Bezdomnym:

„– Nie podobają się panu moje wiersze? – spytał zaciekawiony Iwan.

– Strasznie mi się nie podobają.

– A które pan z nich czytał?

– Nie czytałem żadnych pańskich wierszy! – nerwowo wykrzyknął przybysz.

– Więc dlaczego pan tak mówi?

– Cóż w tym dziwnego? – odpowiedział gość. – Albo to nie czytałem innych wierszy? Zresztą, różnie to bywa... Dobrze, gotów jestem wierzyć na słowo. Proszę mi powiedzieć, czy te pana wiersze są dobre?

– Potworne! – śmiało i szczerze powiedział nagle Iwan.

– Proszę ich więcej nie pisać! – błagalnie poprosił przybysz.

– Przysięgam to i przysięgam – uroczyście oświadczył Iwan”.

15 marca 2019 r.

„Green book”, czyli lata sześćdziesiąte XX wieku

Po oscarowym filmie *Faworyta* (*The Favourite* – 2018), 119 min, reż. Yorgos Lanthimos (Oscar, Złoty Glob, BAFTA oraz inne nagrody dla Olivii Colman nie wiadomo za co), zwątpiłem po raz kolejny w filmy – i aktorów – obsypywanych nagrodami, a także odechciało mi się chodzić do kina. (O czym szczegółowiej niedawno pisałem w moim zapisku pt. *Zzz... bum! Zzz... bum! Zzz... bum...*).

A tak naprawdę po raz pierwszy zwątpiłem w Oscary, gdy tą statuetką został wyróżniony – i to aż dziewięciokrotnie (!) – bardzo słaby film pt. *Angielski pacjent* (*The English Patient* – 1996), 160 min. Reż. Anthony Minghella z nielubianymi przez mnie aktorami tj. Ralphem Fiennesem oraz Juliette Binoche (Oscar? Za co?).

Kiedy zatem usłyszałem werdykt, że film *Green Book*, który otrzymał trzy Oscary („Najlepszy film”, „Najlepszy aktor drugoplanowy” oraz „Najlepszy scenariusz oryginalny”) jest bardzo przeciętny, jakoś to na mnie nie

podziało, tym bardziej że były to opinie różnych filmowych „recenzentów” i zawistników, którzy pod niebiosą wychwalają *Zimną wojnę* rzeczywiście bardzo przeciętny – by nie powiedzieć słaby – film. Zrażony jednak *Faworytą* odkładałem obejrzenie filmu *Green Book* z tygodnia na tydzień.

W końcu okazja się nadarzyła 27 marca br. Miałem w tym dniu rano do załatwienia jakas sprawę w Sopocie. Sprawdziłem, że film ten jest grany w tamtejszym kinie o godz. 11.30.

Na moło w tym dniu było wietrznie, a zatem zrezygnowałem z dłuższego spaceru. Posiliwszy się zatem rzeczywiście smacznymi croissantami, „wkroczyłem” do kina i już na wejście... „aż mnie cofnęło”. Straszny (dosłownie: straszny) bowiem smród wionął z wnętrza tego tak jeszcze niedawno eleganckiego kina. A kiedy w toalecie nie mogłem oderwać stóp od czegoś lepkiego, miałem dość tego przybytku kultury. Bilet jednak miałem już kupiony. „Wkroczyłem” zatem na prawie pustą salę kinową.

Zaczęły się – jak zawsze – reklamy przy nieprawdopodobnym wręcz hałasie. (Kiedy wreszcie do tych wszystkich kinarzy dotrze, że im jest głośniej, tym głupiej?). Potem jeszcze trzeba było przeżyć zwiastuny filmów przy potężnym łomocie płynącym z głośników.

Wreszcie zaczął się *Green Book*, 2018 r., 130 min, reż. Peter Farrelly z arcyświecnymi Vigo Mortensenem i czarnoskórym aktorem o nazwisku Mahershala Ali. I już od pierwszej sceny, pierwszej sekwencji film uwodzi atmosferą, muzyką (lata sześćdziesiąte XX wieku), znakomitą aktorstwem, wspaniałymi zdjęciami, słowem: wszystkim. A do tego można jeszcze zdrowo się pośmiać, otrzeć łezkę, bo jest i w tym filmie piękny liryzm. Wreszcie nieco zaskakujące zakończenie, po którym – wychodząc z kina – chce się żyć. Bo właśnie takie powinno być Kino. A nie takie jak nadęta *Faworyta* czy aspirująca – nie wiadomo, na jakiej podstawie – do arcydzieła *Zimna wojna*.

To nie koniec miłych – dla kinofila – zaskoczeń. Bo oto na Netfliksie udało mi się znaleźć uroczy film pt. *Stowarzyszenie miłośników literatury i placka z kartoflanych obierek* (*The Guernsey Literary and Potato Peel Pie Society* – 2018), 124 min, reż. Mike Newell, z m.in. Lily James oraz stareńkim Tomem Courtenay’em. Film jest trochę za bardzo... literacki, bo sytuacje przedstawione, chociaż ponoć oparte na faktach, mogą zdarzyć się tylko na filmie. Można także przewidzieć, jak cała historia się zakończy. Obraz ten ogląda się jednak z dużą przyjemnością, tym bardziej że wiele scen plenerowych było kręconych na pięknej wyspie Guernsey.

(A tak nawiasem Mike Newell to reżyser co się zowie. Chciałbym jeszcze raz zobaczyć takie jego filmy jak m.in. *Przebudzenie* z 1980 r., *Taniec z nieznajomym* z 1985 r., *Czarowny kwiecień* z 1991 r. oraz *Nieprawdopodobną historię* z 1995 r.).

Nie przepadam za serialami, które toczą się i toczą z odcinka na odcinek i w końcu naprawdę nie wiadomo, o co w nich chodzi. Obejrzałem zatem ze trzy i zdecydowanie przedkładałem nad seriale pełnometrażowe filmy fabularne.

W ten sposób trafiłem na bardzo sprawnie zrealizowany kryminał z Pierce Brosnanem pt. *The November Man*, 2014 r., 107 min. Reż. Roger Donaldson. Warto ten film zobaczyć także dla wspaniałych plenerów z Czarnogóry (Herceg Novi, Petrovac, Sveti Stefan).

Ciekawostką jest tytuł tego filmu. Otóż w którymś momencie ktoś mówi, że gdy pojawia się Peter Devereaux (tj. Pierce Brosnan), to zaczynają opadać liście. Ciekawe skojarzenie. Spodobało mi się, bo oto – jako urodzony w czerwcu – mógłbym być... June Man. Ciekawym, czy ktoś ujrawszy mnie, powiedziałby, że oto nadchodzi Jan-JuneMan, czyli czerwiec, tzn., człowiek przynoszący wiosnę?

Wystarczy jednak tych osobistych dywagacji. Nikt mnie nie przekona, że bardzo przeciętna *Zimna wojna*, która ponoć nawiązuje poetyką do lat sześćdziesiątych XX wieku mogłaby się równać z takimi dziełami jak m.in. *Pociąg* z 1959 r. (93 min) Jerzego Kawalerowicza; *Do widzenia, do jutra* z 1960 r. (80 min) Janusza Morgensterna; *Nóż w wodzie* z 1961 r. (90 min) Romana Polańskiego; *Matka Joanna od Aniołów* z 1961 r. (103 min) Jerzego Kawalerowicza; *Rękopis znaleziony w Saragossie* z 1964 r. (177 min) Wojciecha Jerzego Hasa; *Bariera* z 1966 r. (87 min) Jerzego Skolimowskiego; *Żywot Mateusza* z 1967 r. (76 min) Witolda Leszczyńskiego; *Ruchome piaski* z 1968 r. (76 min) Władysława Ślesickiego; *Struktura kryształu* z 1969 r. (74 min) Krzysztofa Zanussiego; *Sól ziemi czarnej* z 1969 r. (99 min) Kazimierza Kutza.

A na *Green Book* wybiorę się przy najbliższej okazji jeszcze raz. I kupię sobie ten film na DVD.

29 marca 2019 r.

PS. Kiedy kończyłem ten zapisek dotarła do mnie wiadomość o tym, że zmarła Agnès Varda (30 maja 1928 – 29 marca 2019) niezapomniana

reżyser takich filmów jak m.in. *Cléo od piątej do siódmej* (*Cléo de 5 à 7* – 1962), 90 min, czy *Szczęście* (*Le bonheur* – 1965), 79 min.

W swoich zapiskach zawsze podają daty urodzin i śmierci. Bo nawet najwięksi artyści Kina odchodzą.

Ennio Morricone

Zawsze mam na podorzędziu przynajmniej kilkanaście książek wynotowanych jako przyszłe lektury. Zanim jednak książkę kupię (czynię to rzadko, coraz rzadziej) lub wypożyczę (w bibliotekach, okazuje się, też nie ma wszystkich wartych lektury książek), staram się o niej dowiedzieć jak najwięcej.

Jeśli książka jest nachalnie reklamowana jako bestseller wydany w iluś tam milionach egzemplarzy, to wiem z doświadczenia czytelnika – z długim, i jeszcze dłuższym, stażem – że nie warto po nią sięgać. Przekonałem się bowiem wielokrotnie, że w owych „bestsellerach” nie ma nic wartego lektury.

Nudzą mnie, poza tym bardzo nieporadne językowo i stylistycznie, wydawane rok w rok, jako następstwo uczelnianych grantów, książki różnej maści uniwersyteckich „filozofów” i innych mądrali, którzy piszą o tym, o czym ja już dawno wiem.

Śmieszą – powieści „pisarek” jak np. ostatnio widziana... *Plaża w słoiku po kiszonych ogórkach*. Owych „pisarek” wszędzie pełno. Najbardziej zaśmiecone są nimi urzędy pocztowe, w których brakuje już tylko przysłowiowego „mydła i powidła”.

Jestem bardzo ostrożny w kupowaniu książek. Ja bowiem, stary list bibliofilski, nie raz dałem się nabrać na „bestseller” lub – także bardzo często... „arcydzieło”, które potem rzuciłem po kilkudziesięciu stronach. (Inni czytelnicy, którym poleciłem tę lekturę, także odkładali ją, jako nie nadająca się do czytania).

Zdarzają się ponadto rzeczy kuriozalne. Oto bardzo przeciętna, by nie napisać – słaba książka pt. *Nad Zbruczem* zostaje lansowana przez grupkę wyznawców (i kolegów autora) jako... „arcydzieło do kwadratu”, a potem wielokrotnie nagrodzona (także finansowo). Rozpytywałem o tę książkę wśród bliższych i dalszych znajomych. Nikt o powieści *Nad Zbruczem* nie słyszał.

Zdarzają się jednak książki, które kupuję „w ciemno”. Taką książką, od której lektury nie mogę się oderwać jest *Ennio Morricone. Moje życie moja muzyka. Autobiografia. Z Ennio Morricone rozmawia Alessandro De Rosa*.

Jest to arcyciekawa książka. Przedstawia bowiem Ennio Morricone nie tylko jako interesującego człowieka, ale nade wszystko genialnego muzyka. Alessandro De Rosa zadaje Morricone bardzo inteligentne i docieklive pytania. A to, co mówi Morricone powinni zapamiętać wszyscy artyści, nie tylko muzycy, ale również pisarze.

W bowiem 99,99% współcześni pisarze nie zdają sobie sprawy z tego, na czym polega sztuka narracji, sztuka opowiadania, słowem: pisarstwo. Cóż bowiem z tego, że ktoś weźmie np. obój i zacznie... „grać”, nie mając przy tym ani wykształcenia, ani przygotowania warsztatowego, ani nie umie czytać nut, ani nie ma słuchu itd. (o talencie nie wspominając). Co to będzie za „gra”? Co to będzie za „sztuka”? A przecież ktoś zasiadając do laptopa i wypełniając czcionkami, wyrazami i zdaniami białe (wirtualne) kartki papieru jest... pisarzem? A czyż te zawałające księgarnie i biblioteki książki są literaturą?

A oto dwa fragmenty z tej rozmowy: *„Może ze względu na odwieczny dylemat – inwencja czy rekompozycja – artysta zawsze jest postrzegany jako swoiste medium albo geniusz, pozostający w bliższym niż zwykli śmiertelnicy kontakcie z tajemnicą, wewnętrzną lub zewnętrzną energią, boskimi bytami i sekretami ludzkiej psyche. To przeświadczenie przetrwało aż do naszych czasów. Jak już mówiliśmy, artysta pełni często w ludzkim odczuciu jakąś określoną funkcję i wciąż uosabia niewyjaśnioną dwoistość natury.*

Idea medium trochę mnie śmieszy, podobnie jak koncepcja geniuszu. Porównałbym raczej swój zawód do rzemiosła. Kiedy zamykam się w gabinecie i siadam za biurkiem, akt twórczy obejmuje moje własne konkretne i namacalne techniki oraz czynności. Jak u rzemieślnika”, s. 187.

I drugi fragment (podobnie jak wyżej kwestie Alessandro Da Rosa zapisane – nie wiadomo dlaczego – kursywą, natomiast odpowiedzi Ennio Morricone – zwykłą czcionką).

„Tak naprawdę, zanim zaczniemy myśleć o komunikacji z odbiorcami, z muzykami i ogólnie światem zewnętrznym, każdy kompozytor (ja też) zadaje sobie w pewnym momencie pytanie: Dlaczego akurat zapisuję ten dźwięk? I każdy zapisany ton powinien mieć uzasadnienie.

Dlaczego? Jak? Po co? A więc chodzi o zracjonalizowanie tego, co nieracjonalne, lub przynajmniej zestawienie obu czynników?

Dokładnie tak. Dlaczego dany akord w danym miejscu się sprawdza? Jak jest zbudowany i dlaczego taka linia dźwiękowa wywołuje określone emocje? W jakim celu kompozytor prowadzi w ten, a nie w inny sposób wokal? To doskonałe elementy do analizy i do autoanalizy.

Tak naprawdę chodzi o to, by nie pozostawać biernym wobec tego, co wychytujemy, co myślimy. Tylko wtedy możemy uzyskać właściwą perspektywę i szersze spojrzenie na całość. Na talent składają się czas, energia i zaangażowanie, obecne w różnym stopniu i formie w każdym z nas.

Zestawienie ze sobą znaczeń i istotnych elementów pozwala zająć odpowiednie stanowisko wobec nich. W ten sposób staję się bardziej świadomy tego, co może początkowo nie było oczywiste albo co tylko mi się wydawało”, s. 219.

Można by fragmenty rozmowy Da Rosa z Morricone cytować i cytować. Gdzież owe „konkretne i namacalne techniki oraz czynności” znaleźć we współczesnej prozie, a szczególnie poezji, która jest tylko efektem „zapełniaczy papieru”, jak określa tę czynność Czesław Miłosz? Który współczesny poeta zastanawia się, dlaczego zapisuje to, a nie inne słowo itd.

(Z niemałym trudem udało mi się zdobyć książkę pt. *Zawrót głowy. Antologia polskich wierszy filmowych*. Już przy pierwszym przekartkowaniu okazało się, że niewiele w tej antologii „polskich wierszy filmowych”. No bo czyż filmowym wierszem, w ogóle wierszem, można nazwać taki oto początkowy fragment utworu pt. *Gotham* jednego z najbardziej nagradzanych współczesnych... poetów:

„Oto przejeżdżam obok umarłego / motelu »KraK«. / Umarł motel »KraK«, / więc wszystkie wartości / poszły się jebać” itd.).

Wracając jednak do Ennio Morricone to jego droga na szczyt muzyki filmowej wcale nie była łatwa. Zanim bowiem otrzymał Specjalnego Oscara w 2007 r. oraz Oscara za muzykę do filmu *Nienawistna ósemka*, jego muzyka była wielokrotnie do tej nagrody tylko nominowana. Także i w nagradzaniu muzyki filmowej dzieje się wiele niesprawiedliwości i absurdów. Przykładowo w 1987 r. muzyka Morricone za *Misję* otrzymała wprawdzie Złoty Glob, ale do Oscara była tylko nominowana (Oscara otrzymał wtedy Herbie Hancock za film *Około północy*. Kto w ogóle słyszał o tym filmie?). Podobnie było w 1991 r., za muzykę do arcydzielnego filmu *Cinema Paradiso* Morricone otrzymał wprawdzie BAFT-ę, ale do Oscara tylko nominację.

Aż nie chce się wierzyć, że tylko nominację do Oscara otrzymał w 1940 r. Max Steiner za *Przeminęło z wiatrem*, a w 1944 r. za *Casablankę*. Nie chce się wierzyć, że w 1958 r. tylko nominację do Oscara otrzymał Jerome Morros za film *Biały Kanion*. Nie chce się również wierzyć, że tylko nominację do Oscara otrzymał w 1960 r. Elmer Bernstein za muzykę do filmu *Siedmiu wspaniałych*. A przecież tylko nominację otrzymał w 1965 r. także Michel Legrand za *Parasolki z Cherbourg*, a w 1968 r. za *Panienki z Rochefort*.

Coraz rzadziej chodzę do kina, ponieważ – po pierwsze – nie ma co oglądać, a – po drugie – muzyka filmowa to teraz straszliwy wprost łomot i walenie w bębny. (Owo walenie w bębny albo w jakieś beczki ogarnęło nie tylko filmy fabularne, ale również filmy dokumentalne. Oto biegną dzikie konie i słyszać walenie w bębny, oto mrowisko i słyszać walenie w bębny, oto płyną delfiny i słyszać walenie w bębny, oto koliber zbliża się do kwiatu i słyszać walenie w bębny, oto rajski ptak wykonuje taniec godowy i słyszać walenie w bębny itd. itd.).

Czy jeszcze ktoś pamięta muzykę do takich filmów jak m.in. *W 80 dni dookoła świata* (1956 r.), *Most na rzece Kwai* (1957 r.), *Ben Hur* (1959 r.); *Śniadanie u Tiffany’ego* (1961 r.); *West Side Story* (1961 r.), *Lawrence z Arabii* (1962 r.)? itd.

Ja od czasu do czasu przypominam sobie bardzo nastrojową muzykę Hugo Friedhoffera do filmu *Dwa oblicza zemsty* (*One-Eyed Jacks* – 1961), 141 min, reż. Marlon Brando.

A poza tym, czyż jest piękniejsza muzyka filmowa niż ta, którą Ennio Morricone skomponował do m.in. *Cinema Paradiso*, *Misji* oraz *Pewnego razu na Dzikim Zachodzie* z wokalizą Eddy Dell’Orso?

12-19 kwietnia 2019 r.

PS. Jakże pięknie tę wokalizę śpiewa także Jackie Evancho, która właśnie ukończywszy lat... 19, wydała kolejną płytę pt. *The Debut*. Jackie Evancho jest porównywana do Barbry Streisand. Ja jednak uważam, że jej sopran jest absolutnie niepowtarzalny, boski – jak określają go Amerykanie.

Franciszek Karpiński

Motto

„Nie to mi, nie to rozum, co pięknie mówi,
ale co rządnie działa.

Pierwszego z czytania książek i
obcowania z mądrymi ludźmi nabyć można
(i to by się bardziej pamięcią niżeli rozumem nazwać
powinno)

– drugie sama natura daje albo umyka”.

Franciszek Karpiński, *Historia mego wieku i ludzi,
z którymi żyłem*

„Mogłem gdzie mieszkać w mieście jakim i żyć z procentu dwóchset czerwonych złotych, które miałem natenczas, ale znając cokolwiek świat wielki, że ledwie w nim dziesiątą część ludzi znajdę, z którymi by mi, niecierpliwemu, żyć można było, żeby się ustawicznie z tymi, których bym nie lubił, nie zdybywać, wolałem osieść w lesie, gdzie porobiwszy około domu mego zagrody silne, ocalałem się od wilków i niedźwiedzi, w mieście zaś mieszkając jakiś sposób odgrodzienia się od złego człowieka, żeby mię nie naszedł?”, s. 186.

Zapisek ten postanowiłem zacząć od fragmentu *Historii mego wieku i ludzi, z którymi żyłem* Franciszka Karpińskiego, PIW 1987. *Historię* tę pisał Karpiński w latach 1801-1822. Pierwsze wydanie nastąpiło w 1844 r.

Jakże zazdroszczę Franciszkowi Karpińskiemu (1741-1825), że mógł „osieść w lesie” i odgrodzić się „od złego człowieka, żeby mię nie naszedł”. Przypomniała mi się, jako żywo następująca sytuacja. Otóż przebywałem kiedyś nad jeziorem Wigry. Wybrałem się tam z dwiema wędkami na leszcza, przedtem upatrzywszy sobie jeden z pomostów. I kiedy już postawiłem wędkę z przynętą, pojawił się jakiś jegomość z pobliskiego domu ogrodzonego wysokim płotem. Oznajmił, że to jest jego pomost, ale pozwala mi łowić ryby, po czym wskazał mi ów dom ogrodzony wysokim płotem mówiąc: „Panie, najważniejsze w życiu to być od nikogo niezależnym. Bo ludzie, panie, są źli. A ja mam dom nad jeziorem, trzypółmetrowy płot przed złym człowiekiem, a najważniejsze jestem niezależny”.

Utkwiło mi to w pamięci, a teraz *Historia* Karpińskiego przypomniała. Bo, istotnie, najważniejsze to być od nikogo niezależnym, a najbardziej od widzimi się urzędników. Mamy bowiem teraz nie demokrację, lecz dyktaturę urzędników, którzy jedną głupią decyzją mogą zniweczyć dorobek całego życia. Jakże pięknie o urzędnikach pisze Karpiński: „Oni, głupi, myśleli, że urząd jaki robi człowieka zacniejszym, zapomniawszy o tym, że pokorną cnotą najwyższą się podniesiemy!”, s. 189.

Jest to niejedno krytyczne spojrzenie Karpińskiego na ówczesne czasy. Jakże bowiem owo spojrzenie jest i dziś aktualne. Oto, co pisze Karpiński na temat Warszawy: „Miasto Warszawa w nierządzie i bez znaczenia żadnego, chociaż kilkadziesiąt tysięcy pospólstwa mające, nie mogło się podnieść pod ciężarem uciemiężenia i niesprawiedliwości. I chociaż król wszystkimi sposobami temu zabiegać chciał, szlachcic wszystkimi sposobami przeszkadzał, bo zamiast myśleć (jak ojcowie jego) o dobru ojczyzny swojej, ale tylko o poprawienie losu swojego ubiegał się. I ta to miłość dobra własnego sposób nawet myślenia w kraju odmieniła, że ten, który najwięcej ludzi oszukał, pospolicie o nim mówiono: »Ma rozum«”, s. 105-106.

Fragment ten, jako żywo i teraz jest aktualny. „Wybory” do Europarlamentu. Co to za „wybory”, jeśli mogę głosować na już wybranych kandydatów? A nade wszystko, któremu z tych kandydatów chodzi o Polskę? O własną kieszeń im chodzi. Dlatego nie głosowałem w takich „wyborach”. Kiedyś bowiem doświadczyłem następującej sytuacji. Po pół roku (!) oczekiwania udało mi się dostać do jednego z posłów. Miał mieć dla mnie pół godziny. Skończyło się na kilku minutach, podczas których pan poseł odbierał telefony, coś podpisywał, a jego asystent, co i rusz przypominał, że „pan poseł jest gdzie indziej umówiony i bardzo się śpieszy”. Pan poseł zdążył mi jednak powiedzieć, że moim obywatelskim obowiązkiem jest brać udział w głosowaniu, a on „może” mi pomóc, ale mi nie pomoże w rozstrzygnięciu ciągnącej się od lat w miejscowym urzędzie sprawy, ponieważ zajmuje się... „strategicznymi sprawami”.

Ostatnio, przed „wyborami”, „tematem” był film braci Siekielskich pt. *Tylko nic nie mów nikomu*. Nie byłbym kinofilem, czy też zakinionym, gdybym tego filmu nie obejrzał. Pod względem artystycznym i technicznym jest to, moim zdaniem, film na beznadziejnie niskim poziomie. To machanie kamerą, to „na siłę” poszukiwanie „tematu”, ta agresja, to naruszanie miru domowego itd. świadczą, że najważniejszym celem był właśnie... „temat”. A gdyby tak ów „temat” rozwinąć w środowisku... dziennikarskim, aktorskim itd.

Przykłady jednak księży pedofilów są wstrząsające. Przestępcy i ci, którzy ich chronili, powinni być natychmiast i ciężko ukarani. Nie znaczy to jednak, że trzeba zniszczyć Instytucję Kościoła. Kościół bowiem trwa już przeszło dwa tysiące lat i będzie trwać dalej. Bo – jak pisze Karpiński – „Księża po większej części zepsuci, psuli razem lud sobie powierzony; a naczelnicy ich, biskupi, publiczne czyniąc zgorszenia, ośmielali niższych, ażeby szli taką samą, słodką wprawdzie, ale razem najbrudniejszą drogą”, s. 105.

Franciszek Karpiński wymówił się bowiem ze stanu duchownego. Upatrywano w nim księdza, ale po pierwsze zbyt łasy był na wdzięki niewieście, a po drugie wolał poświęcić się twórczości literackiej. Słowem chciał być człowiekiem niezależnym, chociaż o tę niezależność bezustannie zabiegał, biorąc w dzierżawę, lub kupując, różne wsie: a to Wierzchowice, którą nabył za pięć tysięcy czerwonych złotych, które otrzymał od swojej kochanki, tj. starszej od niego o 14 lat Justyny Ponińskiej, wojewodzicowej poznańskiej; a to Dobrowody, potem Żabokruki, potem Suchodolinę, by na końcu osiąść w Kraśniku Małym, a umrzeć w Chorowszczyźnie, koło miasta Łysków.

(Tu na marginesie chciałbym wspomnieć o nagrodzie Franciszka Karpińskiego rozdawanej w... Białymstoku. Karpiński przecież bardziej bywał, i mieszkał, w Puszczy Białowieskiej oraz na... Białorusi niż w Białymstoku.

A poza tym kiedyś ta zacna nagroda jakże jednak teraz upadła, przyznawana autorom, którzy ani z duchem Karpińskiego, ani z jego twórczością, ani w ogóle z jakąkolwiek, zwłaszcza poetycką, twórczością nie mają nic wspólnego).

Żeby jednak nie kończyć tego zapisku w minorowym nastroju oto zabawny fragment o jakimś Piaseckim, a zwłaszcza jego „dobrze starej” żonie, dotyczący damskiej kosmetyki:

„U żony jego, jak i on dobrze starej, widziałem piękną małą szkatułkę jaszczurem obitą, z brzegami srebrnymi, wewnątrz mającą cztery buteleczki kryształowe i kieliszek takiż we środku, a pod wiekiem, otworzywszy skrzyneczkę, piękne zwierciadło. Miała ten prezent (jak powiadała Piasecka) od pani swojej Sieniawskiej, u której za młodych lat służyła. Ponieważ w tamtych czasach różu damy na twarz nie kładły, jejmość po ubraniu się piła z tego puzdereczka słodką gorzałkę dopóty, póki jej czerwoności trochę na twarzy nie pokazało”, s. 92.

W sumie ciekawa książka te *Historie mego wieku i ludzi, z którymi żyłem*, chociaż za mało w niej o... Napoleonie.

Okazuje się także, że „Ale...-mania”, czyli rozpoczynanie zdań od „Ale...” nieobca była i Franciszkowi Karpińskiemu. A poza tym te – bez liku – zdania kończone na „...się”.

28 maja 2019 r.

Jan P. Grabowski

Krystyna Lenkowska

*...Nie ma ani obłoku. Lecz nie ma także Murzyna
Poemat jest kimś innym
Ale jeśli jaszczurką
Jest lub biskupem, też jest moja wina.*

Rafał Wojaczek, *Trzeba było rozstrzelać poetę*, 1967

Pokolenie fantomów

Tekst ukazał się w kwartalniku „Pracownia”, piśmie literackim, marzec 2003, nr 31 (1/2003). Po 17 latach od opublikowania w „Pracowni” tekstu *Pokolenie fantomów* myślę, że opisane tam zjawisko fantomowe jest wciąż aktualne. I aktualne jest też to, że większość żyjących poetów fantomowych nie chce pogodzić się ze swoją anonimowością. Może nawet to się pogłębia wraz z komercjalizacją życia. Usprawiedliwiamy swoje nieistnienie, wybrzydizamos królowanie doraźności, modę na „niemetaforyczność”, dokument, deliryczność, eksces, przeciętność (choć wydaje się, że wyraźnie dewaluuje się pojęcie słowa „autorytet” w naszym życiu społecznym). Wciąż jednak dobrze się ma brak realistycznego spojrzenia na nieuniknioną zmianę postrzegania walki rzeczywistości kultury koniecznej i zbędnej.

Może „narcyzm” poety, każdego bez wyjątku, jest warunkiem *sine qua non* istnienia poezji. Szczęśliwym trafem bywa to, że wybitny narcyzm dorównuje wybitnemu talentowi. My, poeci, wmawiamy sobie, że jak żaden inny ród pijemy unikalną poetycką wodę, która spływa z ogromnego rezerwuaru historii polskiej poezji prosto do naszych trzewi i dusz. To czcze i niebezpieczne salonowe gadanie, podobne do gadki ulicznej i polnej, że polski naród jest lepszy od innych z jakiś mesjanistycznych powodów.

Mimo wszystko afirmujemy, co jeszcze zostało do afirmowania. Nie wybrzydzajmy na własną niszę, bo małe jest piękne. Wbrew malkontentom, takie gwiazdy polskiej poezji jak Czesław Miłosz,

Wisława Szymborska, Zbigniew Herbert, Tadeusz Różewicz nadal świecą. Nie obniżył lotów nasz noblista *in spe* Adam Zagajewski. A swoją drogą, jest w naturze Polaków coś takiego, że zamiast identyfikować się z krajanami, o których świat mówi i pisze dużymi literami, wybrzydząmy, wytykamy słabości lub przemilczamy, bo nie rozumiemy, nie chcemy rozumieć, wysilić się w kierunku wysokiego głosu jakim, niewątpliwie, wciąż jest Poezja. My, o reputacji kompetentnych czytelników poezji, coraz anemiczniej wychylamy się w tym kierunku. I może to jest to coś, co się zmieniło na gorsze, na naszych oczach?

Ktoś zapytał czy hasło „TY KANALIO, TY POETO”¹ jest z Wojaczka.

– Nie, proszę Pana.

– Tak, proszę Pana.

Sama proveniencja słowa „kanalia” wskazywałaby na tamte, „około-wojaczkowe” czasy, ale czy akurat w kontekście słowa „poeta”? Rozdzielnik Ministerstwa Kultury był wtedy całkiem łaskawy dla poetów, choć nie dla wszystkich. Jeśli „odtrąconym”, tym „kanaliom”, udało się pożyć jeszcze ze dwadzieścia lat, doczekali czasów, kiedy role się odmiały.

A teraz w okresie nowego oblicza prosperity słowa „poeta”, dzięki medialności paru nagród literackich, m.in. NOBLA i naszej rodzimej NIKE, którym służy kontrowersyjność polityczna, merytoryczna, biograficzna (co ma też wymiar tolerancji), kiedy nawet księży poezja nobilituje, a nie ośmiesza, czy ktoś „zasługuje” na jakiegokolwiek negatywne zainteresowanie wokół poezji, którą uprawia?

Co to znaczy zainteresowanie poezją dzisiaj, jego skalą, kiedy kultura masowa, ze swoją wyrafinowaną „mierzalnością” decyduje o tym, czy wydać książkę czy nie wydać, co w praktyce oznacza dla Poety być albo nie być?

Czy poza kilkoma, które zabłysnęły na polskim firmamencie literatury i zarzuciły swoje tęczę przez morza i oceany, cała reszta nazwisk to fantomy?

Czy wystarczy, że jesteś Poetą, Poeto nieznanym, może wybitnym Poetą? Nie staje Ci nawet martyrologii, takie czasy!, aby zostać choćby „kanalią”.

1 Tytuł wiersza Stanisława Dłuskiego z tomu *Samotny, zielony krawat*, Wydawnictwo Nowy Świat, 2001.

Zawsze jeszcze możesz niedrogo założyć sobie stronę internetową www.poeta.pl i czekać, czekać nie wychynąwszy nosa spod swojej czarnoleskiej lipy, tak jak to lubisz najbardziej.

W swoim wprowadzeniu do sesji pt. „TY KANALIO, TY POETO”, jako pomysłodawca imprezy, wyraziłam nadzieję na taką dyskusję, która może nie znajdzie odpowiedzi na żadne z postawionych pytań, ale będzie Rozmową, Spotkaniem, nasyceniem myśli.

Dnia 25 X 2002, o godz. 19.00 w Foyer restauracji Moliere w Krakowie gospodyni wieczoru, pani red. Katarzyna Janowska z „Polityki”, otworzyła drugi dzień festiwalu *Literackie Spotkania u Moliera* i po krótkim wprowadzeniu w nastrój wieczoru zaprosiła wszystkich gości, czyli ogromny tłum widzów, do Sali Teatralnej, gdzie z portretów na ścianach spoglądały twarze kilkunastu kobiet i mężczyzn. *Współcześni polscy poeci* to projekt fotograficzny Grażyny Niezgody realizowany przez artystkę od wielu lat.

Słyszało się głosy, że obrazom brak podpisów z nazwiskami portretowanych poetów, przez co są wizerunkami jakby przypadkowych osób. No, cóż, był to w gruncie rzeczy wieczór poetów dość anonimowych, co w kontekście mojego wstępu oznacza, że nie anonimowi poeci dla Polaków to np. Wisława Szymborska, Czesław Miłosz, ks. Jan Twardowski, Tadeusz Różewicz, a ostatnio też Adam Zagajewski. Na Parnas sławy, a tym samym na łamy „Zeszytów Literackich”, weszli nie tylko dzięki poruszającej poezji, ale również medialności, jak ich otacza. Należy sobie więc zadać pytanie, czy aby może obie te wartości nie są po prostu do siebie wprost proporcjonalne (?). Brak dostępu na polski Parnas poezji, do publikacji w prestiżowych periodykach oraz znaczących wydawnictwach literackich, spędza sen z oczu wielu poetom nie medialnym lub mało medialnym. Wymiar praktyczny jest tego taki, że skazani są oni na „nieistnienie”, tak jakby suma popularności była wielkością stałą i uszczknięcie jej na czyjąś stronę powodowało uszczerbek innemu „istnieniu”. Czasem w wieku dość zaawansowanym, z szufladą nobilitowaną paroma entuzjastycznymi recenzjami, pióra wielkich autorytetów w dziedzinie krytyki literackiej, nie stali się ani sławni, ani „celebryty”² choćby paru znaczących kręgów opiniotwórczych. Nie mówiąc już (a może zwłaszcza) o statusie „kanalii”, czyli np. „poety przeklętego” jak Wojacek czy Bursa, lub „wielkiego brzydkiego” jak Grochowiak. W ciągu ostatnich lat zdystansowali ich, kiedyś młodzi teraz pod czterdziestkę, poeci bruLionu, Marcin Świetlicki i Jacek Podsiadło.

2 Znakomita osobistość.

Spekuluje się, że gra tu rolę muzyka pop, dredy i stałe okienko w TV lub w tygodniku. Spekulacje te, jak do tej pory, nie mają żadnego merytorycznego uzasadnienia, a są jedynie obiegowymi opiniami przypadkowych spotkań.

Literackie Spotkanie u Moliera zostało oficjalnie zainaugurowane przez prof. Czesława Miłosza z ekranu na ścianie. Poeta przemówił do nas z dobroduszną aprobatą dla międzypokoleniowych spotkań na temat spraw fundamentalnych i estetycznych w poezji. On sam, przyznawał, ulegał prowokacjom młodości, występując przeciwko skamandrytom. – Gdy byłem młody, na Parnasie byli skamandryci. Myśmy to starsze pokolenie także atakowali i robiliśmy to z dużo większym zaangażowaniem niż dzisiejsi młodzi ludzie. Myśmy atakowali skamandrytów za sprawy zasadnicze, choćby takie, jak brak programu, za brak pogłębienia filozoficznego. W 1934 roku miał miejsce najazd awangardy na Warszawę. Odnoszę wrażenie, że dziś młodzi poeci swoich poprzedników w ogóle nie zauważają; my dla nich w zasadzie nie istniejemy – powiedział Czesław Miłosz.

A tak w ogóle, pojęcie „kanalii” wywodzi się jeszcze z czasów romantyzmu, kiedy filomaci byli bohemą, kanaliaми swoich czasów, opowiadała z filuternym uśmieszkiem. – Gdybym był młodszy, to przyznałbym się do tego hasła, bo należał do dziedziczonych mitów literatury współczesnej. Ale nawet jak się upiłem i spałem w „celi” Konrada, nigdy nie czułem się kanalią – powiedział poeta.

Obecność Czesława Miłosza z pewnością uświetniła spotkanie pod prowokującym hasłem *Ty Kanaliu, Ty Poeto* i nobilitowała go do rangi wydarzenia kulturalnego Krakowa, stąd m.in. zainteresowanie mediów (TV3, gazety krakowskie). Imponująca frekwencja na biletowanej imprezie poetyckiej, zwłaszcza młodej widowni, w erze koncertów muzyki techno, multikina i DVD, zasługuje na osobne omówienie socjologiczne np. pod tytułem „Pop-kulturalny wymiar poezji a jej elitarność”.

Rada Czesława Miłosza dla poetów młodych i młodszych, aby nie zaniechali oporu przeciwko modom obowiązującym w poezji i w literaturze w ogóle, zabrzmiała jak apel. Spełniła też funkcję koniecznej przeciwwagi do pobieżnego lub zbyt dosłownego może odczytania przez niektórych tego jakby „podłego” epitetu, nie przystającego do poważnego w ogólnym odczuciu słowa „poeta”. Wybitny krytyk, Jerzy Jarzębski, mówi przecież, że my Polacy, zawsze kochamy wieszczów. Czy rzeczywiście i czy też kochamy poetów, którzy jeszcze wieszczami nie są i nic nie wskazuje na to aby kiedykolwiek byli? Nie zabrakło pomrukiwań i okrzyków dezaprobaty,

zanim jeszcze „popłynęła” ze sceny poezja w wykonaniu studentów krakowskiej PWST. Czego one dotyczyły, nie dowiedzieliśmy się do końca, bo nikt z widowni nie zwerbalizował merytorycznie żadnego „za” lub „przeciw”. Nikt też nie wdał się w polemikę z poetą Józefem Kurylakiem, który, w swoim esej *Ty poeto, ty kanalio*, wyraził swoją kontrowersyjną opinię na temat poezji Szymborskiej, Miłosza i Różewicza i swój brak zachwyty nad ich dokonaniem literackimi.

Studenci-aktorzy „opowiadali” wybrane przez siebie wiersze z zapalem i sercem. Jednak nie anonsowanie wiersza nazwiskiem depersonalizowało poetów nawet bardziej niż anonimowe portrety wokół. Taki był jednak zamysł autorski organizatorów, czyli krakowskich studentów zrealizowany w postaci spektaklu pt. *Szmery* z bardzo udanie dobranymi dźwiękami skrzypiec i pianina na żywo.

Sesję merytoryczną *Ty Kanalio, Ty Poeto* zainicjował esej prof. Mariana Stali pt. *Zaufać poezji*, w którym profesor zastanawia się, czy *aby różnorodność sposobów uprawiania i odbierania poezji jest wartością. (...) A skoro jest, to czy przybierając postać wzajemnie izolowanych zbiorów dzieł (...) nie zmienia się w chaos niedopasowanych do siebie i wzajem unieważniających się głosów.*

Potem uczestnicy sesji odczytywali kolejno swoje eseje specjalnie przygotowane na *Kanalie*, jak się już zaczęło o imprezie mówić w gronie zainteresowanych poetów i studentów. Każde wystąpienie anonsowała red. Katarzyna Janowska krótką informacją o autorze. Wśród tegorocznych uczestników festiwalu literackiego w Molierze, bo to wydarzenie poetyckie wydaje się mieć znamiona imprezy cyklicznej, znaleźli się następujący poeci pokolenia urodzonych w latach 1940-1960: Stanisław Dłuski, Anna Janko, Radosław Kobierski, Józef Kurylak, Krystyna Lenkowska, Karol Maliszewski, Jarosław Mikołajewski, Jacek Napiórkowski, Ewa Sonnenberg, Janusz Szuber, Adriana Szymańska.

Janusz Szuber, poeta z Sanoka, zastanawiał się, kim jest, „pisząc, świadom wymogów warsztatu, ale i nieustannych pokus szalbierstwa”: *Poeta – ale z czyjego nadania, osobnik podejrzany, bo uzurpujący sobie tytuł (najczęściej na wyrost) i wynikające stąd przywileje mówienia za siebie i w imieniu innych, z uporem godnym lepszej sprawy, dobrowolny galernik formy najczęściej nieosiągalnej, mizdrzący się w łóżku hojnego mecenasu albo wpół zgięty w jego antyszambrach, i nie ma co ukrywać: w większości producent rzeczy spartaczonych, podróbek, rzadko arcydzielnych, utworów niekoniecznych, krótko i z wielką wrzawą nazywanych literaturą (...)* Jeśli nie kanalia

– to pasożyt z sygnaturą poety – jak choćby *Congericola kabatai* czy *Kabatarina pattersoni* – a stąd już całkiem blisko do pasożytnictwa i pasożytowania – jak według świadectwa *Josifa Brodskiego*, władze pewnego byłego *Imperium*, określały działalność swoich wielkich poetów.

Dla ścisłości, Janusz Szuber oraz Adriana Szymańska bodaj jedyni w tym gronie dostąpili progów Parnasu jako osobistości poetyckie Biblioteki Narodowej w Warszawie (Szuber także Teatru Narodowego) i są autorami prestiżowych wydawnictw takich jak ZNAK i Wydawnictwo Literackie oraz wspomnianego pisma „Zeszyty Literackie”.

Myślę sobie, że „pasożytnicza” rola poety, w mistrzowskim stylu uzasadniona w eseju Szubera, nie jest aż tak smutną konstatacją jak wspomniana wcześniej ich dola fantomów. Nawet metaforyczna inwektywa „kanalia” ma w sobie więcej wagi niż słowo „fantom”, czyli określenie stanu, w jakim poeta na ogół bywa, a właściwie go nie ma. Kanalia przynajmniej bruździ, konfabuluje, kontaminiuje, łże, uprawia dywersję, co niektórzy poeci pomylili z manifestacją odrębności. A fantom, czyli ślad po kimś/czymś lub miejsce na kogoś/coś co się nie zaczęło lub skończyło, lub czego w ogóle nie było, to rzecz straszna, ni ludzka, ni boska, nihilistyczna. Co gorsze, fakt nieistnienia nie oznacza braku bólu. Brak stopy nie jest równoznaczny z brakiem bólu w stopie. Wręcz przeciwnie, podobno ból nieistniejącego organu jest daleko bardziej nieznosny niż ból chorej nogi, pokiereszowanej duszy. Idąc tropem dywagacji poety, Karola Maliszewskiego, może... (poeta jest)... *krawcem rodem z Leśmiana, zszywającym najpierw swą chromą duszyczkę, a potem fastrygującym paltot dla tej większej duszy, zbiorowej*. Maliszewski uważa, że on jako poeta Środkowych Sudetów i Nowej Rudy jest potrzebny, bo są jeszcze ludzie, którym potrzebna jest jego świadomość i wrażliwość – zaszyfrowana samowiedza rodzaju ludzkiego tworząca się z mniemań, przeczuć, nastrojów i innych takich podobno głupich, niepoważnych „pustych” stanów świadomości (...) *Tego świata nie opisać Czesław Miłosz. Wisława Szymborska również zajęta jest uniwersaliami i nic nie wie o Ścinawce Średniej*.

Opisywanie jednostkowego, peryferyjnego odczucia bólu jest potrzebne, tak samo jak konieczny jest poetycki rejestr uniwersalnej radości, czy peryferyjnej radości i uniwersalnego bólu. A tego nie może zrobić jeden poeta ani nawet kilku poetów. Potrzebni są więc poeci w większej ilości, całe środowiska poetyckie. Może aby zaistniał ten jeden Poeta, namacalny i widoczny, potrzebna jest pewna znacząca ilość poetyckich bytów – poetów, ich wierszy, wszystkich małych osobności, mniej lub bardziej

dostrzeganych oraz tych przezroczystych, która składa się na tworzywo tła tego Jedyne go przypadającego na konkretny czas i miejsce w polu o określonej ostrości widzenia.

Piątkowy wieczór nie nasycił moich myśli, bo nastrój mało kameralny wymaga pewnych kompromisów kontemplacyjnych. Ale z pewnością był międzypokoleniowym spotkaniem poetów i ich potencjalnych czytelników, zaczepką intelektualną z prowokacyjną „kanalią” w tytule, pretekstem do rozmów „teatralnych” i kuluarowych. Pozwolił poetom „fantomom” unaocznic się choć trochę, pokazać swój nerw poetycki, chyba nieco inny niż te, które obecni znali, odczuwali. Dał kolejny dowód na to, że instancję współczesnej hermetycznej kultury polskiej współtworzą też „fantomowe” kręgi poetów, których determinacja trwania, tworzenia mimo braku sygnałów na wyróżnienie spośród „ławicy piszących”³, ma jakiś sens.

Zakończę słowami poety, Jarosława Mikołajewskiego, który w konfrontacji pokoleniowej, w czasie tego literackiego festiwalu, uważnej widowni umożliwił dostrzeżenie swojego kodu, osobnego rysu, jakby tam wtedy zmaterializował się jego fantom poetycki i ludzki:

Niekiedy myślę, że tamci, którzy nie są z poezji, dogadują się za moimi plecami na forum jakiegoś parlamentu. I dopiero wtedy, gdy ich debatę paraliżuje impas, odwołują się do instancji poznawczej i pojednawczej. Że mają swojego poetę – to on obmyśla im język, w którym dalej będą się spierać o ograniczony kształt ich państwa, w drodze do możliwego przetrwania. Poezja – racja stanu. Narzecz konstitucji.

Krystyna Lenkowska

3 Cyt. Janusz Szuber.

Adriana Szymańska

Niech żywi nie tracą nadziei¹*(Etos bohatera romantycznego podstawą duchowej tożsamości Polaków)*

Wszyscy wychowaliśmy się na literaturze Romantyzmu. I na naszych patriotycznych tradycjach. Dramatyczna historia ostatnich stuleci stworzyła te uwarunkowania. Powstanie listopadowe z roku 1830, zryw niepodległościowy, w samym sercu romantycznej epoki literackiej, spowodował niepowtarzalne następstwa mentalne i duchowe wśród ówczesnych Polaków.

Jakie były początki dramatu? Klęska insurekcji kościuszkowskiej i trzeci rozbiór Polski na wiele lat przypieczętowały niewolę narodu. Polacy już wówczas tłumnie emigrowali do Francji, by walczyć u boku Napoleona. Dwa lata po ostatnim rozbiórze powstały we Włoszech pod dowództwem generała Jana Henryka Dąbrowskiego Legiony Polskie, które zgromadziły wkrótce siedem tysięcy żołnierzy – ochotników i tych, którzy przeszli tu z armii austriackiej, wcieleni wcześniej do niej siłą. Kolejnym aktem buntu było powstanie wielkopolskie, a w rezultacie zwycięskich walk Napoleona utworzone zostało w roku 1807 Księstwo Warszawskie. Triumf Napoleona niebawem się skończył, Księstwo Warszawskie upadło, jednak mit Napoleona, jako sprzymierzeńca Polaków, długo trwał w pamięci narodu, budząc ochotę do dalszej walki o wolność. Powstanie listopadowe było tej walki kolejnym etapem. Ponad trzydzieści lat później w powstaniu styczniowym ponieśliśmy kolejną klęskę, zakończoną większymi jeszcze represjami. Na ostateczne wyzwolenie musieliśmy więc czekać w sumie sto dwadzieścia trzy lata.

Po roku 1831 zaczęła się Wielka Emigracja, a uwaga świątłych przedstawicieli naszego narodu zwróciła się na tych, którzy walkę o wolność toczyli teraz słowem literatury, głównie poezji. Paryż stał się na wiele lat zastępczą stolicą polskiej myśli i wyobraźni. Można z całym przekonaniem stwierdzić, że czterech wielcy poeci tamtego czasu – Adam Mickiewicz, Juliusz Słowacki, Zygmunt Krasiński i Cyprian Kamil Norwid – stworzyli podwaliny naszej współczesnej literatury. Pojęcie „wieszcz”, powszechnie do dziś używane w stosunku do tych poetów, nie do wszystkich można stosować

1 Tekst był opublikowany na stronie Instytutu Współpracy Polsko-Węgierskiej im. Wacława Felczaka, <https://kurier.plus/en/node/943>.

w tym samym zakresie. Mickiewicz, Krasiński, w pewnym stopniu także Słowacki, najpierw chcieli być przewodnikami narodu w pieśni, potem dopiero artystami. Norwid nie miał ani takich ambicji, ani upodobania w głoszeniu idei walki narodowej. Największym jego pragnieniem było chronić osobę ludzką, każde życie. Był intelektualistą, wierzącym w przeobrażające ludzki umysł działanie wszelkiej sztuki, choć jego głęboki patriotyzm nie podlegał dyskusji. Jako uczestnik i świadek życia wszystkich mu rówieśnych ludzi wciąż walczył o to, by „odpowiednie dać rzeczy – słowo!” I ta poetycka dewiza na wiele lat zawładnęła pragnieniami jego następców; do dziś jest przewodnią myślą poetów, pragnących osiągnąć niepodważalną prawdę i siłę wyrazu artystycznego.

Norwid wyrażał swój patriotyzm w sposób nowatorski, używając środków spoza obowiązujących w jego epoce konwencji. Pisał dla współczesnych sobie, lecz częściej jeszcze dla potomnych (ta idea przyświecała zresztą wszystkim romantykom). Jego *Bema pamięci żałobny – rapsod* to hołd złożony bohaterowi walk o niepodległość i Polski, i Węgier, a jednocześnie poemat-zachęta do trwania w stanie gotowości do walki o wolność narodową. Małgorzata Baranowska, pisząc posłowie do wyboru wierszy Norwida dla młodych czytelników („Nasza Księgarnia”, 1985) podkreśla, że poeta „nie zamierzał być żołnierzem”. Honor rycerski jednak, niezależnie od okoliczności, zajmował w jego myślach i wierszach poczesne miejsce. Najlepszym tego przykładem jest właśnie ów poemat poświęcony generałowi Józefowi Bemowi. Norwid nie zapominał przy tym o swoim najsprawniejszym orężu: „...Nie miecz, nie tarcz – bronią Języka, / Lecz – Arcydzieła”.

We wszystkich dziedzinach swojej twórczej ekspansji – jako rysownik i rytownik, dramatopisarz, prozaik i poeta dążył do arcydzieła. Pozostawił nam arcydzieła, które wciąż podziwiamy. Jako poeta stosował aluzje historyczne i mityczne oraz alegorie literackie, by zuniwersalizować i wzmocnić swoje patriotyczne przesłanie. Umiał tak manewrować słowem, że efekt tych zabiegów zawsze jest czytelny. Nie unikał też form nietypowych dla wyrażenia wzniosłych haseł: obok poematów pisze też krótkie fraszki. Oto jeden z nich pod tytułem *Siła ich*:

Ogromne wojska, bitne generały,
Policje – tajne, widne i dwupłciowe –
Przeciwko komuż tak się pojednały? – –
Przeciwko kilku myślom... co nie nowe! ...

A pamiętamy tego arcymistrza słowa głównie jako autora doskonałych sentencji, ponadczasowych przekazów własnej mądrości, w rodzaju: *Bo pieśń nim dojrzy, człowiek nieraz skona, / A niżli skona pieśń, naród pierw wstanie*. Wielka była wiara poety w moc słowa. A jeszcze większa w to, że jego przesłanie dopiero po latach trafi na właściwych odbiorców. Tak się kończy, zaczynający się od słów: *Klaskaniem mając obrzękłe prawice...*, poemat:

Syn – minie pismo, lecz ty spomniesz wnuku, / co znika dzisiaj (iż czytane pędem) / Za panowania Panteizmu-druku / Pod ołowianej litery Urzędem – (...) Tak znów odczyta o n, co ty dziś czytasz, / Ale on spomni mnie – bo mnie nie będzie!

Skrót myślowy i językowy to narzędzia poety stosowane dla kondensacji i mocy przekazu. Nowatorska poetyka Norwida została doceniona w pełni dopiero przez pisarzy dwudziestego wieku. Jest Norwid z pewnością duchowym (i językowym) patronem naszej współczesnej poezji lingwistycznej, począwszy od Awangardy Krakowskiej – Przybosia i Peipera – przez późniejszych propagatorów lingwizmu, takich jak Zbigniew Bieńkowski, Tymoteusz Karpowicz, Krystyna Miłobędzka, Bogusława Łatawiec czy Krystyna Rodowska. Także nasz największy rewolucjonista językowy we współczesnej poezji – Miron Białoszewski – kierował się niewątpliwie w swoich eksperymentach kreacyjnych, leksykalnych i składniowych oraz w konstruowaniu formy swoich utworów przykładami Mistrza. Porównajmy dla przykładu poetyckie fragmenty Norwida i Białoszewskiego. Najpierw Norwid, z cytowanego już wiersza: *Klaskaniem mając obrzękłe prawice*:

Piszę – ot! czasem... piszę na B a b i l o n
Do Jeruzalem! – i dochodzą listy,
To zaś mi mniejsza, czy bywam omylon
Albo nie? ... piszę – pamiętnik artysty,
Ogryzmonony i w siebie pochylon –
Obłądny! ... ależ – wielce rzeczywisty!

A oto Białoszewski, wiersz opatrzony tytułem: *Z 14 na 15 grudnia 1963 –*

Odkrzyknąłem sobie zadowolonemu,
Żeby usłyszał. Po trzech dniach
kompletnego spokoju. Ciepło. Późno.

To znaczy, nikt nie grozi. Jest co
 czytać, palić. Chce się zapisać. (...)
 I jeszcze ten luksus, że można
 już przestać pisać, zacząć czytać,
 przestać czytać, chcieć pisać,
 a nie zapisać, (...) I na ostatek
 cieszyć się z całego bezwstydu
 wyznawania tego sobie z nadzieją,
 że inni się dowiedzą i to powiedzą.

Niby nie to samo, a przecież zamiar autorski jest podobny: pisać niezależnie od okoliczności zewnętrznych, a jednocześnie z przeznaczeniem dla potencjalnego odbiorcy. I pisać o sprawach *r z e c z y w i s t y c h*! Obydwaj ci niezwykli poeci byli w tym względzie zgodni, wiedzieli, co znaczy „odpowiednie dać rzeczy słowo”.

Pozostała trójka „wieszczów” zapisała się w świadomości Polaków nie tylko jako wybitni twórcy, ale też jako lekarze ducha, budzący i ożywiający nasze sumienia. O poetach Romantyzmu znani historycy literatury napisali tomy fachowych opracowań. Moje zapiski mają posłużyć jedynie przybliżeniu tych ich dokonań, które znalazły takie czy inne odbicie w twórczości kolejnych pokoleń pisarzy. Słowacki, Krasiński, a przede wszystkim Mickiewicz przekazywali w wierszach, poematach, powieściach poetyckich i dramatach swoje wyobrażenia o sposobach i efektach walk wyzwolenczych, ale też o przyczynach klęsk poniesionych w tych walkach. Słowacki zapamiętany został głównie dzięki dramatom, które weszły w skład szkolnych lektur, a są to *Balladyna*, *Beniowski* i *Kordian*, a także dzięki utworom lirycznym, z których najbardziej znany jest *Testament mój* z tym przesłaniem do potomnych:

Lecz zaklinam – niech żywi nie tracą nadziei
 I przed narodem niosą oświaty kaganiec;
 A kiedy trzeba – na śmierć idą po kolei,
 Jak kamienie przez Boga rzucane na szaniec.

Końcowa metafora tego wiersza stała się bojowym hasłem poetów-żołnierzy Powstania Warszawskiego. Byli wśród nich Trzebiński, Gajcy, Baczyński, ale także więźniowie niemieckich obozów zagłady, np. Borowski. Słowacki pisał też utwory bezpośrednio nawiązujące do bohaterstwa

i męczeństwa Polaków, to na przykład Sowiński w *okopach Woli*, o stracenckiej obronie Woli przez generała Sowińskiego. Poetę zapamiętamy również jako autora słów: *jest u nas kolumna w Warszawie, / Na której usiadają po-drożne żurawie*, z wiersza będącego pochwałą i wspomnianiem Warszawy przez tułacza, tęskniącego za ojczyzną. Ta tęsknota była zresztą źródłem i bodźcem twórczym wszystkich dzieł romantycznych. Krasiński wyraził swoje najważniejsze idee artystyczne i wolnościowe w dramatach *Nie-boska komedia* i *Irydion*. Przypomnę krótki fragment *Nie-boskiej*: *...kto jął się oręza, ten zapomniał się skarżyć*. Jednak poetycki oręż był dla poetów romantycznych również źródłem skargi.

Adam Mickiewicz, najwybitniejszy polski poeta uznany został już po śmierci za znak i symbol polskiej tożsamości narodowej ze względu na szczególną rolę, jaką odegrała jego poezja w życiu narodu, cierpiącego pod trzema zaborami. Trumna wieszczą została w roku 1890 ustawiona na Wawelu, w pobliżu trumien królewskich. Jego dzieła, tworzone na obczyźnie, najpierw w Rosji, potem we Francji i Szwajcarii, stanowią przez swój przekaz moralny, emocjonalny i duchowy, a także objętościowy rozmach i różnorodność form artystycznych ewenement na skalę światową. Ballady, sonety, powieści poetyckie, drobne liryki, dramaty, eseje, wykłady w College de France, publikacje w „Trybunie Ludów”, a przede wszystkim epepeja szlachecka *Pan Tadeusz*, wszystkie te gatunki twórcze i rodzaje literackie weszły na stałe w obieg naszej literatury i do pamięci zbiorowej, będąc dla nas wszystkich wzorem artystycznej wielkości i duchowego heroizmu. *Konrad Wallenrod* stał się przykładem walki podstępnej, niemoralnej z punktu widzenia podstawowych zasad ludzkiej etyki. Jednak odzew postawy wallenrodycznej na zawsze pozostał w wyobraźni Polaków pozytywny. Jak pisze Jacek Łukasiewicz w opowieści o życiu i twórczości Mickiewicza w serii *A to Polska właśnie* (Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 1996): „Stały się te pieśni o mszczącym się Litwinie – zarzewiem. Spiskowcy ze Szkoły Podchorążych, gdy w listopadzie 1830 roku szli na Belweder – dobrze znali *Konrada Wallenroda*”.

Nie ma tu miejsca na rozległe cytaty, ograniczę się więc do zapisania utworu, który nie jest najpopularniejszy wśród wierszy autora *Ody do młodości* i *Dziadów*, wskazuje wszak, paradoksalnie na skromność i pokorę wieszczą:

Pytasz, za co Bóg trochę sławy mnie ozdobił?
Za to, com myślił i chciał, nie za to com zrobił!

Myśli i chęci jest to poezycja w świecie:
Wykwita i opada, jak kwiat, w jednym lecie.

A swój poetycki testament najpełniej wyraził poeta w epilogu *Pana Tadeusza*: *O, gdybym kiedy dożył tej pociechy, / Żeby te księgi zbłądziły pod strzechy, / Żeby wieśniaczki, kręcąc kołowrotki, / Gdy odśpiewają ulubione zwrotki / O tej dziewczynie, co tak grać lubiła, / Że przy skrzypczkach gąski pogubiła, / O tej sierotce, co piękna jak zorze – / Zaganiać gąski szła w wieczornej porze – / Gdyby tak wzięły na koniec do ręki / Te księgi, proste jako ich piosenki.*

Cytowany już Jacek Łukasiewicz, pisząc w swojej monografii o randze Mickiewiczowskiego dzieła, odwołuje się do listu Krasińskiego skierowanego do Koźmiana, w którym czytamy: *Cóż to za spiż koryncki wiersz p. Adama! Nikt nie wyrówna tej odwieczności wiersza, która cechą jego.* Tak Łukasiewicz komentuje słowa Krasińskiego: *Co rozumieć przez «odwieczność» Mickiewiczowskiego wiersza? Skąd bierze się wrażenie jego prostoty? Ze ścisłego związku tej poezji z naturą polskiego języka: jego stałym akcentem, jego intonacją, z syczącą, szeleszczącą dźwięcznością – tak dla cudzoziemców nieraz dziwaczną; z wielością i rozmaitością zdobień, bogactwem słów, giętkością składni.* Mickiewicz sięgał do pokładów dawnej polszczyzny, wykorzystywał motywy ludowe. Potrafił łączyć wiersz z pieśnią, i z żywą, potoczną rozmową, a kiedy trzeba – równie trafnie – stosował wymowę uroczystą. I łączył to w jednym utworze, jak w III części „*Dziadów*”, sprawiających – przy całej zmienności form – wrażenie odwieczności, różnorodnie dźwięczącej spiżowości, niezachwiania.

Wacław Borowy tak określał przesłanie wczesnego wiersza Mickiewicza *Do Joachima Lelewela*: „narodowość jako odcień człowieczeństwa”. Jacek Łukasiewicz zapoznaje nas też ze współczesną recepcją twórczości Mickiewicza. Ale przedtem pisze: *Polska była bohaterką jego utworów i jego mesjanistycznej myśli. Polska «Chrystus narodów». Polska przedrozbiorowa i Polska przyszłości.* Nic więc dziwnego, że ta przyszła, czyli dzisiejsza Polska, nie zapomina ani jego rad, ani haseł profetycznych. Ani jego mistycyzmu, gdyż był wielki także w swoich głęboko religijnych uniesieniach poetyckich. Uczymy się na pamięć jego *Ody do młodości* i fragmentów *Pana Tadeusza*, wystawiamy *Dziady*, poczynawszy od historycznego przedstawienia w reżyserii Stanisława Wyspiańskiego. Pamiętamy zdjęty przez cenzurę w roku 1968 spektakl, wyreżyserowany przez Kazimierza Dejmka, także ten Konrada Swinarskiego, przygotowujący umysły Polaków do zrywu

„Solidarności”. Inscenizujemy *Pana Tadeusza*; słynna ekranizacja Andrzeja Wajdy jest pokazywana w telewizji. Lekturę szkolną utworów Mickiewicza przygotowywali tacy badacze jak Juliusz Kleiner, Waław Borowy, Konrad Górski, Kazimierz Wyka, Maria Janion. Zajmowali się nim także wielcy poeci: Julian Przyboś, Czesław Miłosz, Mieczysław Jastrun, Jarosław Marek Rymkiewicz. Wszyscy oni stali się w swojej twórczości kontynuatorami wiodących cech Mickiewiczowskiej poezji. I dziś rytm i intonacja jego strof oraz uniwersalność jego przesłania przejawia się w niejednym utworze także najmłodszych poetów.

Sięgnijmy może jeszcze do okresów następujących bezpośrednio po Romantyzmie. W epoce pozytywizmu, hołdującej zasadzie „pracy u podstaw”, najważniejsi twórcy – Orzeszkowa, Prus, a zwłaszcza Sienkiewicz, powierzali swoim bohaterom kultywowanie haseł narodowo-wyzwoleńczych, a poprzez tematykę historyczną podtrzymywali tradycje romantyczne. Osobnym zjawiskiem jest Stanisław Reymont i jego wiejska saga *Chłopi*, utrwalająca ludowe znamiona naszej narodowości, nie mająca odpowiedników w literaturze żadnej epoki. Żeromski także nie odstąpił od wspominania bohaterstwa Polaków, choć nie pomijał motywów postępu społecznego i cywilizacyjnego. Okres Młodej Polski czerpał bezpośrednio ze zdobyczy artystycznych Romantyzmu. Kazimierz Przerwa-Tetmajer, Jan Kasprówicz, Leopold Staff nawiązywali do poetyki tamtego okresu głównie poprzez kreowanie wątków ludowych i umiłowania przyrody, ale i tematy stricte patriotyczne wplatali do swoich utworów. Najbardziej „romantyczny” był w swoim pisarstwie Stanisław Wyspiański. Wystarczy wspomnieć arcydzieła dramaturgiczne – *Noc listopadową*, *Wyzwolenie* i *Wesele*, by zrozumieć jego wkład w naszą literaturę narodową. On nadal walczył piórem o wolność ojczyzny.

Okres dwudziestolecia międzywojennego zaowocował w naszej literaturze tak wielką różnorodnością tematów, form i stylów, że trzeba by wielu osobnych szkiców, żeby pokazać wszystkie jej nurty. Odzyskanie wolności w roku 1918 objawiło się w twórczości naszych pisarzy przede wszystkim emocjonalną euforią i pasją we wszystkich dziedzinach aktywności. Echa romantycznej tradycji musiały jednak i w tym czasie rozbrzmiewać w sercach pisarzy. Pierwsza wojna światowa przyniosła przecież krwawe żniwo. Najwierniejszymi odtwórcami artystycznego testamentu romantyków zostali poeci skupieni wokół warszawskiej grupy „Skamander”. Iwaszkiewicz, Wierzyński, Słonimski, Tuwim, a także poetki – Maria Pawlikowska-Jasnorzewska i Kazimiera Iłakowiczówna – utrwalali tematy, formy,

miary rytmiczne i intonacyjne stosowane przez poetów Romantyzmu w swoich, przetworzonych według własnych kryteriów wierszach. Wielu z nich pisało także podczas i po drugiej wojnie światowej, więc wątki martyrologiczne są u nich częste. W okresie międzywojennym pisał też Bolesław Leśmian, najbardziej twórczy „lingwista” wśród polskich poetów. To on stworzył dziesiątki, może setki neologizmów w naszej mowie. Nie ma wśród jego wierszy utworów, który nie byłoby w jakimś stopniu wizjonerskie i odkrywcze językowo. I pod tym względem jest Leśmian bezpośrednim spadkobiercą romantyków. Myślę, że wszyscy oni zachwyciliby się jego wierszami i poematami. Może zresztą ze swej wiekuiestej sceny śledzą dokonania swoich następców. Wierzę w braterstwo duchowe wszystkich wielkich indywidualności tego świata. „Późny wnuk” Norwida to właśnie metafora tego pobratymstwa. A to pierwsza zwrotka poematu Leśmiana Pan Błyszczynski:

Ogród pana Błyszczynskiego zielenieje na wymroczu,
Gdzie się cud rozrasta w zgrozę i bezprawie.
Sam go wywiódł z nicości błyszczydłami swych oczu
I utrwalił na podśnionej drzewom trawie.

Twórczość pisarzy współczesnych jest zbyt obszerna, by dokumentować tutaj jej osiągnięcia. Na zakończenie przywołam więc jednego tylko poetę, który gromadzi w swoim pisarstwie tradycyjne i nowoczesne walory poznawcze i duchowe naszej literatury. Doceniliby go z pewnością nasi romantycy. Wojciech Kudyba, bo o nim tu mowa, jest nie tylko poetą, ale też eseistą i pracownikiem naukowym Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie. Napisałam kiedyś o jego zbiorze wierszy *Gorce Pana* w szkicu zatytułowanym *Poeta-mistyk*: Takie wiersze pisze się z miłości do świata i jego Stwórcy. Te „pieśniczki”, „bajdałki”, liryczne opowiadanki o cudzie istnienia, także o trudzie, znoju i smutku, ale przede wszystkim o radości życia i przewyżnianiu cierpienia, wywołują u czytelnika nierzadko dziś zapomniany zachwyt nad niezwykłością Bożego dzieła oraz entuzjazm dla jego odwiecznego piękna i nieskończonej żywotności. Utrwalanie przez poetę owego zachwytu nad światem idzie w parze z odkrywaniem dawnych ludowych mądrości i tworzeniem prostej i finezyjnej zarazem frazy wprost z plebejskiej wyobraźni i wrażliwości rodem. Oto fragment wiersza *Cuda, wianki*:

Wreszcie uwierzyć, dać się ponieść
W tymotkach, w mchach na drugą stronę
W skrzypcach, na basach, w odpocznieniu
W turzycach, jaskrach na Jasieniu (...)
Słuchać jak cichną cienie długie
Podobne do skrzydlatych duchów
W podziemnych gniazdach, dziuplach głuchych
Zostać na chwilę w kwiatach, w dzwoneczkach
Nareszcie zmienić się do końca.

Wizjonerstwo Wojciecha Kucyby ociera się o mistycyzm, może nawet nim się staje. A mistycyzm to w końcu najdoskonalszy z możliwych sposobów zjednoczenia z Bogiem. Dobrze znali tę możliwość poeci Romantyzmu.

Adriana Szymańska

Kazimierz Świegocki

Bajka o chłopcu, który przemienił się w gawronka

Pewien chłopczyk z miasta Wroniek
chciał prawdziwy mieć ogonek,
więc do sklepu wszedł i prosi:
ogon kupić chcę i nosić.

Na to mu sprzedawca prawi:
ogon ssaka chcesz czy ptaka?
Mam tu jeden ogon pawi,
jeden wroni, dwa żurawie.

Tu puszysty jest piżmaka,
a tam szorstki ze żrebaka.
Jest też ogon z krokodyla,
jest pawiana i goryla.
A ponadto w magazynie
mamy jeden ogon świni.
Może lisi ogon chciałbyś
cały rudy w ciemne fałdy?

I wyjmuje pan sklepowy
wciąż z pudełka ogon nowy.

Chłopczyk patrzy zachwycony,
chciałby wszystkie mieć ogony.
Straszny powstał więc ambaras:
jak je wszystkie posiąść naraz?

Długo patrzył na ogony
aż poprosił ogon wrony.
Potem jeszcze kupił skrzydła
i dziób ostry tak jak igła.
I przyodział się w to wszystko.
I do lustra podszedł blisko.

Patrzy: cóż to za zjawisko?
Ptak ponury w miejsce chłopca.
Jak on się do lustra dostał?

Więc zmartwiony chłopiec z Wroniek
uniósł w górę swój ogonek,
chciał wystraszyć Ptaka – dziwo,
lecz co widzi: ptak się kiwa
skrzydła wznosi, dziób otwiera
i na chłopca już naciera.

Chłopczyk w lament, wniebogłosy,
chce rwać z głowy sobie włosy,
lecz na głowie tylko pióra,
zamiast nosa ostry dziób –
dzielny chłopcze, coś z tym zrób.

Cóż miał robić chłopczyk z Wroniek,
gdy w ptaszysko się przemienił.
Wzniósł swe skrzydła i ogonek
i poleciał w dal, w przestrzenie.

Odtąd nie ma ani znaku
po chłopczyku z miasta Wroniek,
bo szczęśliwy pośród ptaków
lata w niebie jak gawronek.

Baśń o cudownym kaczeńcu

Była wielka wojna na świecie. W miastach ludzie chowali się do piwnic przed bombami i kulami. Wsie też nie były bezpieczne. Mówiono, że to najstraszniejsza wojna, jaka kiedykolwiek była na świecie. Wszyscy pragnęli znaleźć takie szczęśliwe miejsce na ziemi, w którym można by się schronić przed śmiercią. Ale wyglądało na to, że takiego miejsca nigdzie nie było.

W pewnej wsi mieszkała kobieta, której mąż poszedł na wojnę i nie wracał. Miała dwoje małych dzieci chłopczyka i dziewczynkę. Sama orała ziemię i siała zboże, bo nie było nikogo w pobliżu, kto by jej mógł pomagać. Zabierała dzieci ze sobą w pole. Ona pracowała, a one się bawiły, zrywały kwiatki polne, uganiały się za motylami. Pewnego razu, gdy powróciła z nimi z pola, nie zastała już swojego domu. Wielka bomba zniszczyła go doszczętnie. Nie mieli teraz gdzie mieszkać. A tymczasem coraz więcej samolotów i groźnych rakiet latało po niebie i każde miejsce wydawało się być zagrożone. Bardzo się martwiła nie tyle o siebie, co o swoje dzieci.

W okolicy jak okiem sięgnąć nie było już ani domów, ani ludzi. Świat niemal całkiem opustoszał i życie w nim stało się prawie niemożliwe. Nie wiedziała jak zapewnić dzieciom bezpieczeństwo i czym zastąpić im dom, który się spalił.

Pewnej nocy, kiedy świecił księżyc, wyniosła swoje dzieci na łąkę, uklękła przed kwiatem – kaczeńcem i prosiła długo, aby kaczeniec przyjął je do siebie do środka. I stał się cud. W pewnej chwili dzika roślina zaczęła gwałtownie rosnąć, a dzieci zaczęły maleć. Kiedy kwiat zогromniał wystarczająco, rozchylił swoje wielkie już teraz płatki i dzieci wsunęły się do jego wnętrza. Potem się zamknął, dzieci zaraz w nim zasnęły, bo działo się to nocą. Spały spokojnie w miękkich pachnących łóżeczkach. Podłogi, ściany i sufit były z puszystych kolorowych dywanów. Pięknie wszystko pachniało. I w tym zapachu szczęśliwie zapomniały, skąd tutaj przyszły. Zapomniały nawet o swojej matce. Bardzo lubiły, gdy cały domek się lekko kołysał i jakby z oddali słychać było jakiś łagodny słodki śpiew. Nie wiedziały, skąd ten śpiew ani czyj on jest. Ale były bardzo szczęśliwe.

Nie wiedziały, że to ich własna matka pochylona nad kwiatem, w którym mieszkały, śpiewa dla nich kołysanki każdego wieczoru i każdej nocy. Biedna matka! Całymi dniami ciężko pracowała, a gdy tylko zapadł zmierzch, zaraz biegła na łąkę, odszukiwała nad strumykiem kwiat, klękała przed nim i śpiewała, aby dzieciom nie było smutno.

I tak minęła cała wiosna. Nadciągało gorące lato i niektóre kwiaty na łące zaczęły już usychać. Matka pomyślała ze zgrozą, że i ten cudowny jej kaczeniec może uschnie. A wtedy co się stanie z jej dziećmi? Czy uszną też? Ale kaczeniec nie usychał. Kwitł coraz jaskrawiej, rósł wysoko ponad resztę roślin. Nawet gdy przyszła chłodna jesień, nie przestraszył się jej wichrów i zimnych deszczy.

Gdy przyszedł miesiąc grudzień, spadł ogromny śnieg i zasypał całą łąkę. Był tak wysoki, że przykrył także cudownego kaczeńca. I gdy nazajutrz

rano matka pobiegła w to miejsce, gdzie on rósł, już go nie zastała. Załamała ręce z rozpaczy i wielkie gorące łzy popłynęły jej przez policzki. Stała tak i płakała. Nagle zauważyła, że od jej łez stopniał śnieg, a po chwili ukazał się u jej stóp piękny, złocisty kaczeniec. Uśmiechnęła się matka na widok kwiatu. Pomyślała: a jednak żyją moje dzieci.

Lecz następnej nocy spadł jeszcze większy śnieg i wciąż padał i padał. Płakała matka nad miejscem, w którym ukryła swoje dzieci. Łzy wielkie płynęły jej z oczu i spadały na śnieg. Topił się od nich śnieg, ale też wciąż padał nowy. I nie było nadziei na to, że cudowny kaczeniec ukaże się znowu.

Pomyślała wtedy matka ze zgrozą: już nigdy nie zobaczę swoich dzieci. Zginą w wielkim śniegu, umrą z zimna. I zasmuciła się bardzo. Stała tak cały dzień i całą noc i śpiewała, ale coraz ciszej, bo sił jej brakowało i głos powoli ginął w śniegu. Wreszcie głos jej ustał zupełnie i matka zniknęła pod śniegiem.

A tymczasem wtedy, gdy matka śpiewała, dzieci siedziały na aksamitnych dywanach w samym środku kwiatu i o niczym, co się działo na zewnątrz, nie wiedziały. Słuchały jej ostatniego śpiewu długo i odczuwały przy tym niezwykle słodkie uczucie – tak im było dobrze, bezpiecznie. Wreszcie zasnęły jeszcze, zanim śpiew ich matki ustał.

I przyśniła im się dziwna kraina. Cała biała. Nie było innych kolorów ani w ogóle innych przedmiotów, tylko sama biel. A one biegały po tej białej krainie. Nagle ujrzały przed sobą postać kobietą, która pochyliła się nad nimi i zaczęła im szeptać: ja jestem waszą matką, ja jestem waszą matką; chodźcie do mnie, przytulcie się. Dzieci pobiegły do niej, chwyciły ją za białą suknię, a ona wzięła je na ręce i kołysała. Po chwili zaśpiewała im tę samą kołysankę, którą tyle razy już słyszały, a nie wiedziały, skąd pochodzi.

Kiedy się obudziły, ujrzały obok siebie białą, kobietą postać siedzącą na aksamitnym tapczanie. Poznały od razu, że to ta sama postać, która im się przed chwilą śniła. Krzyczały do niej z radości: mamó, mamó! Ona ich pogłaskała po główkach, wzięła na ręce i przytuliła mocno, mocno do piersi.

Teraz już były razem ze swoją mamą. Słuchały jej śpiewu i kołysały się na jej rękach.

A cudowny kaczeniec kwitł pięknie pod śniegiem przez całą zimę i nawet trochę podrośł.

Kiedy przyszła wiosna i zaświeciło słońce, śnieg zaczął topnieć i topnieć, aż wszystek spłynął do strumyka. Łąka pokryła się kwiatami jak długa i szeroka. Przyleciały na łąkę ptaki, zakumkały w pobliżu żaby.

A kaczeniec wtedy zaczął gwałtownie rosnać. Kiedy był już tak duży jak dorosłe drzewa, pewnej księżycowej nocy zamienił się w pałac, a łąka zamieniła się we wspaniały ogród pachnący kwiatami. Pomiedzy rzędami kwiatów biegały teraz dzieci, a z nimi zawsze w pobliżu była ich mama, która tu śpiewała teraz już nie kołysanki, lecz inne piękne i wesołe piosenki. Wieczorem i w nocy koło pałacu śpiewały słowiki. Mieszkali tutaj jak szczęśliwi książęta. A w ogrodzie hodowali najwięcej kaczeńców, bo to były kwiaty ich życia.

Kazimierz Świgocki

Janusz Andrzejczak

I tylko

A gdzieś tam
płynie rzeka
gdzieś leśniczówka
przy niej pies
do księżycza szczeka

Gdzieś tam
na łąkach
rozpięta w trawach
pajęczyna
jak koronka

Gdzie indziej gór
piętrzy się masyw
a jeszcze gdzie indziej
z wielu wielu drzew
puszcze i lasy

I ja w tym wszystkim
najmniejszy z małych
w środku muszelki

I tylko Bóg
Bóg mnie widzi
Wielkim

Po prostu

Po niestałej urwanej
kroczy my linii

No i co
jaki dramat

byli przed nami inni

Jak świat światem
srebrzą się gwiazdy
ziarna piasku złocą
tylko my wciąż
dokąd i po co

Po co się martwić
gdy nic nie jest po nic
po prostu pięknie zdrewniejemy
uschną nam konary dłoni
i ustaną słoje warstwic

Ale po co

Po to
by pozostał po nas
pielgrzymi kostur

Po prostu

Serce dzwonu

A gdy umilkną dzwony
i od gwiaździstych sklepień
odbije się rozpaczliwe echo

i gdy ostatnie organów tony
przyniosą zgon
piszczałkom i miechom

średniowieczne katedry
do małych kapliczek
skurczą się w bólu

Ale i tak nie zgaśnie

i nie zamilknie
wieczne światółko

gorejące serce
w tabernaculum

Jeszcze będziemy

Jeszcze będziemy orać w konie
bronować siał i zbierać siano
Nad cichym polem zmierzch zapłonie
rozjarzy ziemię zaoraną

Zima odświeży sobie pamięć
nasroży się, rozbieli, zmrozi
i ludzie w niewidomą zamieć
znów na pasterkę będą chodzić

Jeszcze u studni żuraw stanie
i pełne wiadro zmarszczy lustro
Człowiek bez wstydu spojrzy na nie
bo wreszcie w nim nie będzie pusto

Na epidemię

Wszystko jak zawsze
i żadna trwoga
i żadna groza

Te same drzewa
modrzew i brzoza
klony te same
świerki topole
i kasztanowce
i ten sam łabędź
po wodzie pływa

z drugim żaglowcem
żaby się zaraz
zbudzą te same
trawy znów będą
mniszkiem usłane

Tylko się ludzie pochowali
najwięksi z wielkich
a tacy mali

Janusz Andrzejczak

Jerzy Binkowski

Nocą

Gdy nawet zmrok zamyka już oczy
wędruję śladem pamięci na wietrze

Dwa trznadle z żółtymi brzuskami
wpadły w niebo odbite w szybie
teraz oddychają ciężko
powieki jak ptak opadły na trawę

Sunie sprężysta ogoniasta kuna
wymiała przerażone szpaki
skrzydłami jak wiatraki trzepoczą
skorupki spadają za dziuplę pod topolą

Świeże powietrze zimy
myszy wygania z pól w kuchenne rewiry
koty smutne jak swoje cienie
byle do wiosny – szepczą – do wiosny

Wśród grud rozoranej ziemi
ileż jabłek bezpowrotnie upadłych
wiśnie zgubiły swą barwę
sosna – igły tkające czas

Puszysta pójdzka
I dużo piór na strychu

Sepi w Trofimówce

Jakaś smuga słońca
może dym
to jest brąz zachodni
a ja w nim

Beż nad inne beże
w chmurach też
dusze w duszach rosną
drzewa w mech

Ścieżką idzie Ona
spada liść
złoto w wieczór piękny
można śnić

Taniec

Nasze srebrzyste skronie
i wiatrem splecione dłonie

Kochana, mówię: ten płacz
w liściach wierzb to tylko żal

Unisono na życia fali
śpiewamy

Nie podnoś ramion z białą chustą
bo pragnę abyś usłyszała tupot stóp języka
z wilgotnym i czułym noskiem

Jerzy Binkowski

Anna Dutka-Mańkowska

Ścieżka

Pod stopami ścieżka się uwypukla
opada
przyłapałam ją na tym
pręży mięśnie
czy oddycha?
nie zważa na idących
człowieka ani zwierzę

tam dalej strząśnie ich
w bezmiar bezczasu.

Mapa pamięci

Konturowa mapa pamięci
obrys zarys rys
ust dłoni stopy
ogrodu piwonii sroki

tylko anioł
zawsze bezgranicznie świetlisty.

Biegiem

Biegiem biegiem
wzdłuż morza
po morzu
ponad morzem

jestem ptakiem
i niech tak zostanie.

Anna Frajlich

Ankieta

De profundis de profundis clamavi
et nec Hercules contra plures
czy nas dzień jutrzejszy wybawi
czy nas resztki nadziei pozbawi
jedno skreślić

tylko kto wie
które.

20 czerwca 2019

Danuta Gałęcka-Krajewska

Bezokoliczniki depresji

Dzisiaj wyjdę
naprawdę przejdę przez próg
korytarz drzwi
nawet schody
a ulica wchłonie moje
nowonarodzone kroki do życia
Na razie tkwię w ślepym bezruchu
choć w myślach idę
wśród poszukiwaczy wolnych kwater
Jeszcze trzeba tylko odebrać
telefon z wiadomością
i bez wiadomości
przejsć przez poranne ablucje
i stłumić bunt w kręgosłupie
spenetrować okno na podwórze
i odłożyć wiersze poety T.R.
na najbliższą półkę
To co powstrzymuje
ma swoje racje
jest jak działanie
złożone z utajonych przyczyn istnienia
Jeszcze spojrzenie na obraz matki
kurki gazu
i w drogę
Raz dwa
Koniec wędrówki
Trzeba wrócić do początku
jak jasność do mroku
Jeszcze nie teraz
Może po kilku pigułkach mocy
nadejdzie pora WYJŚCIA
w takt dźwięków
które zagłuszają

szydrczy śmiech trwania
ponoć „ustanowionego przez poetów”

W pogoni za zjawą

Piotrowi Müldner-Nieckowskiemu

Od wielu godzin szukam inspiracji
wertuję strony nagromadzonych myśli
słucham krzyków dzieci
z przedszkolnej zagrody
skrzypienia schodów
odchodzącego Boga Herberta
bacząc na czujne psy Artemidy
oraz kapryśne zachowania poezji
„już po północy”
Nic to nie daje
oprócz szarpnięcia w lędźwiach
zwanego poufnie „bólem istnienia”
i bezradnością gołębia
z nogą zaplątaną
w sieć wysokiego napięcia
Jednak nie rezygnuję –
z okruszków dni i nocy
z kurzu pożółkłych kartek
magii nagłego słowa
i wszelkiej niedorzeczności
mogę zbudować pomost
nad wartką rzeką ludzkich odpadów
obrabiając termicznie związki słów
tak aby uniosły przewrotny ciężar
nieskończoności

Jazdy

Z chaosu powstałeś
i w chaos się obrócisz
wierszu pradawny
mowo odległa
nadal szukająca przesłań
w tygłu zdarzeń i pojęć
samotna w przestrzeni słowa
słowa na przewlekły tydzień
lub kulejący rok
Historio ponownych narodzin
zdyszanego dziecka w tobie
we mnie
późną porą
na zimnym runie jesiennego lasu
Mowo powoli idąca schodami skojarzeń
w górę
w dół
z dala od poręczy dosłowności
jak w czasach młodej wiary
w bezpieczną jazdę „bez trzymanki”
na środku drabiniastego wozu
Te migające nagłówki starych gazet
gdzie nie ma godziny
„bez wiadomości z piekła”
i świadomość traconej walki z czasem
gdy brakuje motywacji
w drodze do domu
tuż przed następną stacją
której nazwę rozmył deszcz
przypadkowych liter

Zawłaszczenia

Schodzę
razem z czasem
po bardzo stromych schodach
pytając retorycznie
– Co mi robi
gdy mnie dopadnie
w środku dnia
Zabierze mi światło
– jeśli zewnętrzne to pół biedy
można pozornie spadać
lecąc w górę
Może odebrać mi mowę
– co ucieszy sąsiadów
w przededniu wyborów
do Osiedlowej Rady Przyzwyczaję
Na pierwszy rzut oka widać
że sprawa jest z natury nieczysta
– świadków narodzin ubywa
w szybkim tempie
Czy to znaczy
że lepiej spakować
zleżące rekwizyty codzienności
Chyba spróbuję poszukać
„zrozumienia w kulturze”
zanim pamięć
tajny współpracownik Śmierci
przyjdzie zrujnować
bezbrowną powłokę mojej skóry
i trwale uszkodzi
zmysł dotyku niewyraźnego

Danuta Gałęcka-Krajewska

Krzysztof Andrzej Jeżewski

Poetyckie portrety malarzy¹

Rublow

*Jeżeli nie uczynisz się równym Bogu, nie zdołasz pojąć Boga...
Corpus Hermeticum*

Widzialne niewidzialnego
niewidzialne widzialnego
jedno przed drugim
umyka
jedno drugie goni
i jak tu, dobry człowieku,
w tym wszystkim się odnaleźć?

Naucz się patrzeć.
Sięgnij wzrokiem
w głąb siebie
poza siebie
w nigdy nie doznane
nie wyobrażone
myślą poza myśl
czuciem poza czucie
w nienazwane
w nieprzeniknione
a które przecież Krwią i Ciałem
się stało

Pomnij na przymierze
rozwiń skrzydła
wieczności
Stań się cały
nie-sobą
a Osobą
jedną i wszystką
we wszystkim

¹ Tytuł tego zestawu wierszy pochodzi od Redakcji.

z której wszystko
światło i mrok
miłość i ból
życie i śmierć
słońca i gwiazdy

Botticelli

Aniołowie – młodziankowie wieczni
wiosno wciąż rozkwitająca
młodości tajemnico
jesteście jak winne grona
Światła
które żywią
tchnienie słoneczne
tajemny związek
roślinna koligacja
z duszą kwiatu
i drzewa
o kibici róży
i wdzięku powoju

Aniołowie – tony muzyki niebieskiej
wielkiej lutni milczenia
w oczach macie
promienie
blask wiekuisty
bo oglądały Pana

Bruegel

Skąd tyle ciemności, tyle bielma w oku?
Czemu dzień oślepia nas swoją wrzawą
i noc pogrąża w śnie głębszym od śmierci?
O, ciemne, ciemne dzieje.
Myśliwi wychodzą o świcie, a kruki na śniegu

tkają nieustanną groźbę. Woda gotuje topiel
pod taflą z granitu, a w miastach zagłady
dzieci, skrzętne lemury, igrają na grobach.
Siarka, rtęć i sól pracują bez wytchnienia.
Czają się, niecierpliwą złowróżbne zastępy.
Tłuszcza pławi się w brudzie i omamie świata,
gdy Ikar spada z niebios, bo sięgnął po Światło.
Piękno, niedostępne, zamyka się w sobie
i nie ma nic ponad samotność Boga.

Odrętwiały drogi nie znające celu. Stygnie magma
prorocstw. Zmierzch zimny zapada.
Nad pożogą chmur zorzą krwawą wschodzi
najwspanialszy z mrocznych aniołów...

El Greco

*Żyję – nie żyjąc już w sobie –
Na życie tak wzniosłe spozieram,
Że umieram, bowiem nie umieram.*

Św. Teresa z Avila (tłum. T. Miciński)

Wokoło miasta mroczne. *Mare tenebrarum*.
I niebo skłębione dwuznaczną czeluścią.
Z wież tryska rozbłysk dzwonów. Nić pączęca światła.
Biją źródła, ale nie dla nas, nikomu.

Bóg minął tę ziemię, spalił ją oddechem.
Skały tylko i piaski gorące.
Odleciał skrzydlaty. Oślepił nas blaskiem.
Tułamy się w pustkowiu, w bezpańskiej przestrzeni.

I tylko cień rośnie w tej martwej winnicy,
Cień złowrogi, który pożera nam trzewia.
Poczwara braku, lewiatan niedosytu,
Opuszczenia, co obradza winą.

Jaka śmierć uśmierzy tak wielkie pragnienie?
 Jakie życie wypełni taką przepaść śmierci?
 Wzbijamy się łaknący jak bezlistne drzewa,
 Strzępy Boskiego Ognia w nocy zagubione.

Le Lorrain

Każda chwila to odlot w nieznane.
 I nawet w skamielinie kolumn,
 w bezruchu architrawów, w zastygłych żaglach
 u nadbrzeży kryje się zapowiedź podróży.
 Już czekają na nas okręty blasku,
 już fale ścielą nam drogę.
 Mgnienie i odemkną się niebieskie wrota,
 opadną rygle złotego milczenia.
 Powieje wiatr łagodny, towarzysz pielgrzyma.
 Zaślubieni morzu, wypłyniemy w przestrzeń.
 Światło weźmie żeglarzy na swe wiotkie skrzydła.
 To ono jest nasza wiedza, ono nas powiedzie.
 Nigdy i nigdzie nie będziemy sami.
 Nie żal nam tych świątyń, cienistych łuków piękna.
 To iskra tylko, echo światów nienazwanych.
 Choć daleki, Tamten Port jak jutrznia nas czeka.

Rembrandt

Światłość w ciemnościach świeci, a ciemności jej nie ogarnęły.

Jan 1,5

Zaiste. W samym sercu mroku, w jądrze nocy
 pulsuje światło. Ale widzą je tylko oczy snu.
 Co było na początku, światło czy ciemność?
 A może tylko ciemność świetlista,
 odrzucająca siebie, zbuntowana, pragnąca wyjść poza,
 źle w swojej skórze,
 walcząca ze swoim tworzywem

jak mroczny Anioł?
 Albo światło cierpiące, bolesciwe,
 przełamane mrokiem
 i, choć bijące ku wysokościami,
 nieprzeniknione dla siebie,
 niezdolne dotrzeć, osiągnąć
 światłości:
 swojego ZENITU?
 A przecież zawsze czujne,
 gotowe do powrotu,
 wszechobejmujące,
 żywiące,
 na straży
 tego, co trwa w niepokoju?

Wątek i osnowa
 niebieskiej tkaniny
 bliźnięta niepojęte
 olśniewająca ciemność
 pomroczne światło
 blask ćmiący oczy
 w nas
 i wokół nas.

Caspar David Friedrich

*Wszystko przez Ducha i dla Ducha zostało stworzone,
 nic dla widzialnego celu nie istnieje.*

Juliusz Słowacki, *Genezis z Ducha*

Wejść do katedry lasu, pomiędzy stalle drzew.
 Czy słyszysz jak cisza Boga wypełnia je swoją muzyką?
 Jak czyste ich wzrastanie, jak łagodnie żywią się
 światłem niby spokojne łanie u wodopoju.
 Bo im dana Wiedza. One dostały Złotej Tajemnicy.
 I trwają czołobłoczne jak szeregi liter w Kodeksie życia.
 One są poza trwogą.

I cóż, że grób czeka nas otwarty,
a noc, ptak ogromny, bije mrocznym skrzydłem?
Zewsząd wznoszą się pełne obietnic ruiny,
a w górze, śnieżnopromienne, królują szczyty.
I światłość jest wielka jak pustka, otchłanna jak morze.
Kształt każdy odbija nieobjęte Piękno.
Świat to pismo Boga. Na zawsze nie odczytany hieroglif.

Turner

Skąd taki pożar w twoim oku?
Zaiste, wejrzałeś w głęb, w samą magmę rzeczy,
i widzisz jak płoną na niewidzialnym stosie,
radosnym płomieniem,
drzewa i kolumny
jak wcielenia pragnień,
akty strzeliste katedr,
złotolite świątynie,
zamki i pałace
o obłocznych głowach,
ogień wypełnia wąwozy,
przelewa się w czary dolin,
wstępuje na ambony gór,
by głosić królestwo Blasku.
To on wznosi nad ziemią
monstrancję światłości,
która zatapia świat.
Jeszcze tylko chwilę
potrwa w zachwyceniu,
jeszcze tylko zatrzepocze
jak świetlisty motyl,
zanim zapadnie w nicość płomieni.

Zanim my wszyscy staniemy się Światłem.

Monet

I przysła na mnie Światłość.
 I nagle pojąłem, że wszystko jest drżeniem
 niewymownej Duszy.
 Wszystko snuje swój świetlisty śpiew.
 Drzewa, kwiaty, potoki, kamienie
 są kształtem Miłości. Jednej i tej samej.
 A ona co dzień rzeczy z nicości dobywa
 I żywi je światłem.
 Płyną, płyną ogrody. Jak wtedy, w pierwobycie,
 na tamtym skraju czasu,
 gdy każdy z nas był tylko strzelistością czystą,
 harfą dla wiatru, partyturą liści,
 lotem łódzek ku słońcu...
 Czym jest kwiat wszelki?
 Zwierciadłem bez skazy,
 gdzie wieczność odbija
 piękno nieobjęte...

Malczewski

Polska...Na-ból-skala...

Juliusz Słowacki, *Król-Duch*

Was obdarzę szczególnie. Najszczytniejszym wianem.
 Tym, co ciąży nad ziemią pajęczyną smutku.
 Co sący się bezwiednie niby piasek czasu,
 Co szuka wodopoju u zatrutych studzien.
 A ponad wami rozpowień słońce,
 Zawsze jesienne, bolesne, krwawiące !
 Fauny będą wam wtóżyć swym sroczym chichotem,
 Byście zaznali kresu, znikomości świata,
 Byście rośli w boleści, wciąż powyżej siebie,
 Samotni jak Prawda na krzyżu rozpięta.
 I będzie wiódł was anioł przez szare ścierniska,
 Gdzie tylko skowronki polatują wielbiąc Boga.

I śmierć przy was będzie, przyjaciółka cicha.
I mgła, co otuli was całunem żalu...

Chagall

Skąd i dokąd płynie ta rzeka,
do której nikt nie wstąpił dwa razy?
Te fale niebios
jak zwoje gwiazdzistego miodu?
Te uśmiechy wiatru i pieszczoty deszczu?
Te parady słońca niby świetlistego pawia?

Płyną miasteczka senne, przycupnięte na skraju świata,
fruwają cielątka i panny młode, skrzypią żurawie,
Jankiel niesie mądrość w koromysłach,
Szmul łowi melodię na skrzypkach,
a pop rozprawia na kopule cerkwi z Żar-pticą.
Kręci się kołowrót niebieski, tańczą synagogi, menory.
Trwa wielki festyn, któremu nie ma końca.
A wszystko tonie w kwiatach, księżycach i zmierzchach.

Radość tego, co JEST, które, choć niemożliwe,
jeszcze chwilę trwa.

Tylko czułość ocali ten świat.

Giorgio De Chirico

(Pittura metafisica)

Odwrotna strona. Gdybyśmy wiedzieli.
Ale wszystko w słońcu. Słoneczny zalew.
Bezruch. Świat oślepiiony. Zastygłe tętno
tajemnych wież, z których uleciał sens.
Spiekota. Nieobecność. Rzędy ślepych okien.
Cień tylko: muzyka z niewidzialnej struny.
I jakby odgłos kroków z innego czasu.

Pytanie wpisane w rzeczy. W palmy, w mur ceglany,
w dalekie żagle topniejące w blasku.
Przepoczwarzone posągi. Zewłok porzucony.
Czy martwa treść tego, co żywym się zdało?
Geometria myśli. Rozkład. Skalpel analizy.
Cyrkiel, liniał, kątomierz. Rozum, który drażni
manekiny, kukły na pustynnych placach,
figury do gry w szachy. Bo gra wciąż się toczy.
Zza kulis wodzi nimi nieuchronna ręka.

A więc tylko tyle. Mechanizm. Owadzi szkielet
na łasce wiatru. Posucha. I smak piasku w ustach.
Mrok szmaragdowy zasnuwa widnokrąg:
Wspomnienie czy przecucie kwitnącej doliny?
Obca godzina. Obce niebo i ziemia. I szlaki nieznane.
Obce morze uderza w zagadkowe brzegi.

Beksiński

To muzyka
dźwigała niedosięgle
szczyty
w niepokalany blask
to muzyka
wznosiła katedry
psalmy z kamienia
by szybowały w przestworzach
to muzyka
rosła koroną drzew
zielonym wybuchem światła
i budowlami ducha

Aż pękła złota struna
zgasło serce dźwięku
świat stracił sens
i runął w swoją własną
otchłań

tworzenie stało się
zniszczeniem
i wszystko stoi ścięte
lodem śmierci
wśród dogasających
cmentarzysk ognia

Krzysztof Andrzej Jeżewski

ks. Janusz Adam Kobierski

Pytanie

Nie wiedziałem
że nawet gwiazdy
pożyczają sobie światła w nocy

Odkryłem
że łatwiej jest z innymi
współodczuwać w smutku
niż w radości

że im człowiek bogatszy
w dobra ziemskie
tym bardziej jest podatny
na tracenie duchowych

że ludzie mądrzy
mniej pokazują swoje zalety

a ci z licznymi wadami
przypisują je innym

że starszym
czas biegnie szybciej

że kres drogi doczesnej
nigdy nie jest w porę

Ale czy pora
ma swoją porę

II 2020

Czas zarazy

Tańczy wesoło świat,
radosny w tęczowej beztrosce.

Nie ma jej ani jego,
jest rodzaj pokraccnie nijaki.

Nagle świata do gardła
skacze boa zaraza.

Świat kryje się po kątach,
twarz zasłania масeczką,
dusi się, charczy, umiera.

Wspaniałe miasta świata
pełne trwogi śmiertelnej.

Oto czarowny Rzym
o pięknych, pustych ulicach.

Oto powabna Florencja
smutna jak młoda wdowa.

Medycyna rozkłada ręce.

Ja zaś w swojej modlitwie
za świat ofiarowanej,
wierzę, że koronawirusa
może pokonać tylko
koronacień.

IV 2020

Odchodzą

Odchodzą dość szybko
w kolejności tajemnej
Pustka po nich zostaje
nie do wypełnienia
Nie wiem co dalej będzie
bo czasu ciągle mniej
Zdumienie za każdym razem
powraca jak dzień po nocy
Przynosi światło nadziei
by jej szczyptę ocalić
która niech cieszy
świeci choć jak poświata
w mroku

XII 2019

ks. Janusz Adam Kobierski

Andrzej Książek

Czas teraźniejszy

Winna latorośl pnie się
po szarym obdrapanym murze.
Z motyla larwa. Z larw motyle.
W trwającej wiecznie zmienności.
Wedle wyznaczonego projektu.
Dzień jest dniem.
Noc nocą.
Gwiazdy. Planety krążą wokół.
Wody w rzekach płyną
w kierunku mórz i oceanów.

Medytacja

Cierpienie radość zazdrość
miłość zawiść gniew.
Koło narodzin życia
i śmierci.
Wiatr ustał.
Morze uspokoiło się.
W lustrze wody przegląda się księżyc.

Nauka

Nie w centrum
a na obrzeżach.
Bez żądz i pragnienia.
Im więcej tym lepiej.
Kiedy ustało wrzenie
pojawiała się przestrzeń
nad głową spokój nieba.

Droga

Droga którą wszyscy podążają.
Mijają spróchniałe powalone drzewa.
Gnijące rośliny kwiatów ozdobnych.
Jednodniowe owady.
Konstrukcje umysłu których celem było przetrwać.

Dom w którym wszyscy znajdą schronienie
przed upływem czasu.
Trwałego nieistnienia
w jakiegokolwiek postaci.

Rozmowa

Czy słyszysz tętent milionów kopyt
końskich które przemierzały urodzajne
ziemie?
Stały właśnie u zamkniętych bram
w zwartym szeregu?

Posłuchaj piasków pustyni.
Wiatr rozmawia z miliardami ziaren
piasku.
Unosi pył coraz dalej
i wyżej.

Z jednego wszystko

Wola natury.
Umysł wszechświata.
Ciało ludzi.
Roślin i zwierząt.
Ten sam cel.
To samo przeznaczenie.

Żywioły

Żywioł ziemi
związany jest z drzewem
rośliną człowiekiem.

Żywioł wody
wedrze się wszędzie.
Kropla wyłobi w skale
miejsce dla siebie.

Woda chroni przed
drapieżnością ognia.
Ziemia chroni przed
unicestwieniem.

Haiku

Przez długie lata szukałem.
Dziś kiedy już wiem
Szedłem drogą.
„Minęliśmy się jak obcy”

Andrzej Książek

Gabriela Kurylewicz

Iluminacja

Niebo jest.
I w niebie jest morze.
W odłamku czasu
zobaczyłam,
że to jest możliwe.
Trzeba tylko zachować
odwagę, czułość,
umiar i logiczność.
W niebie jest morze,
bielutki piasek,
wydmy i sosnowy las
pełen szczęśliwych
zwierząt i aniołów.
Teologów nie ma.
Nudy nie ma.
Są filozofowie,
wyłącznie
muzykalni.
Jest Kurylewicz,
Warska,
Nat King Cole,
Nina Simone
i jeszcze parę
osób.

7 X 2019, w podróży samolotem z Londynu do Warszawy

Krystyna Lenkowska

Kiedy byłam rybą

Kiedy byłam rybą
 lub ptakiem
 nie potrzebowałam dobrego imienia
 i pewności jutra
 ani solidnego łóżka
 z miękką poduszką
 dla ciała
 nie szukałam przyczyn i odpowiedzi
 nie rzeźbiłam łokciami dołków w stole
 i materacu
 tylko milczałam lub śpiewałam
 kiedy byłam rybą
 lub ptakiem.

Krystyna Lenkowska

Kiedy byłam rybą (lub ptakiem)

Kraków 2020

Wydawcy: Instytut Literatury
 i Stowarzyszenie Pisarzy Polskich
 Oddział Kraków

Redakcja tomu: Andrzej Appel

Korekta: Katarzyna Pawlik

Projekt graficzny i skład: Magda Dębicka

Stron 100

ISBN 978-83-956194-1-0

ISBN 978-83-66359-34-5

Krystyna Lenkowska

KIEDY BYŁAM RYBĄ
 (LUB PTAKIEM)



Wiesław Mandryka-Bukowiński

Wspomnienie

Czy to Ty milionem gwiazd
na niebie jesteś?
W Fidjasza kształty zakłętą,
ręką Anioła na płótno rzucona?
Zza widnokregu czasu
spoglądasz przez Marsowe
pola.
Usta otwierasz, chcesz mówić,
oddech wstrzymujesz unosząc westchnienie.
Pachniesz, drżysz.
Jakżeż Ty cudna! Jakżeż oczom miła.
Wszechświat pełen Twego istnienia
Czyż Venus nie Twą boginią?
Nie wołasz tak. Nie mówisz nie. Patrzysz.
W ciszy pogrąžas się bez końca.
Tyś Artemidy jest świątynią!
Słowa...? Cóż znaczą? Panta rhei.
I tak zmierzają ku otchłani.
Kuzynką stają się zwątpienia.
Czy warto jeszcze cofnąć czas,
gdy nie ma już nic
prócz milczenia?

02.02.2020

Wspomnienie lata

„Tak bym położył się na łące, przy między.
W niebo patrzył wysoko
i na kamieniu jaszczurkę
w słońcu widział się kąpiącą.
W oddech Twych piersi się wsłuchiwał,
kłosami jedwabiu muskał zakamarki ciała,
aż kwiatów zapach w głowie zawróci, przyśni
i Ciebie odnajdę przy mnie leżącą...”

Ora pro nobis

Górę widać przeogromną,
chmurą ciemną spowitą.
Błyskawice Ziemię rozświetlają.
Grzmotami wstrząsana.
Żołnierskie hełmy dziurawe o brzasku...

Ptaki, miast wić gniazda, odlatują,
przeraźliwie trzepocą skrzydłami.
Nie chcą wracać,
nie mają czym młodych nakarmić,
trasy zmieniają. Gdzie indziej zimują.

Na szczycie znak odwieczny,
oślepia, trudno odczytać alfabet.
Żarem stojącym piersi otwiera na oścież.
Już Syracha nie muszą prosić o okulary.
On milczy, przenika. Anioł palcem strony
wskazuje, tym z wiarą i tym bez wiary.

Odgłosy ciszy nieprzeniknionej rytm wskazówek przerywają.
Zwątpienie miesza się z nadzieją.
Choć w Drodze Mlecznej dawno azymut wyryty.
Myśli szalone w gwiezdny pył ulatują, tam skłębione przystają.
Lęku pełne, imiona Świętych wymawiają.

Czy mamy coś zabrać ze sobą?
Tabula rasa finita est,
Nie trzeba Ci nic, weź tylko Słowo...

Warszawa, 21.03.2020

Jerzy Marciniak

Rozstaje

na dróg rozstajach za wsią
rozstałaś się ze mną
wtedy
o świcie

nie budziły się ptaki nie perliła rosa
cichł twój głos i gasły spojrzenia
a jakaś biedronka trzepotała się
w dojrzewającym życie

skończyła się noc
świt nie nadchodził
i ginęła ścieżka
wychodząca z dawnych łąk

po której biegli żołnierze leśni
do walki
by przegrać
lub zginąć
bo przeznaczenie domykało ich życia
krąg

w deszczu jeszcze ogień dawnych ognisk płonął
nad którym grzał dłonie ojciec twój

(we wspomnieniach nadal płonie)

skąd
kiedyś odchodziły z pustymi siodłami kawaleryjskie
konie

później
nie było już twojej roztańczonej postaci

na tle porannych zórz

(rzuciłaś strój sceniczny na krzak dzikiej róży)

gdzie
szukałaś śladów ojca stóp
na polach ze snopami dawno zżętych zbóż
gdzie
byliśmy razem i jakby nas już tam nie było

(w pamiętnik wpisałem ci wiersz o ojcu)

pamiętam
przed lasem nasze ostatnie spojrzenie
i ostatnie tchnienie nocy
i jęk
nicości gdy się w nicość
zmienia

i śpiących motyli skrzydeł trzepotanie
i naszą nieobecność
i pozostawione przez nas dróg rozstaje

budzące się o świcie w nową wieczność

*w końcu roku 2019 pisane
po pijackim wieczorze i rozstaniu
z córką majora Armii Ludowej)
byłą tancerką Opery w Sztokholmie*

Piotr Müldner-Nieckowski

Taki sen

Taki sen, prawdziwy, sen dotkliwy
w Piotrkowie Trybunalskim (dlaczego tam?)
wychodzę z zieleniaka, a straganiarki za mną,
biegnę, a one wszystkie pędem za mną
coraz bliżej, już czuję jak uderzają we mnie
twarde owoce, kartofle, fasole, którymi rzucają,
dostaję w głowę wielkim arbuzem,
przewracam się i budzę, zbite ciało boli,
nie wiem, co takiego zrobiłem i skąd ten
wyrzut sumienia tak prawdziwy, co było złe?
kim złe jestem? budzę się i nic nie mija,
a to już nie sen

Chyba się nie zgubię

Andrzejowi Kurpecie

Droga się wije ku Jednemu,
nie zgubię się na pewno.
Chyba nie zgubię się, nawet
kiedy wypuszczę z rąk teczkę z notatkami,
są tam moje myśli, te same, które się odświeżają
z każdym oddechem i każdym kęsem chleba.
Upadnie to gdzieś między kamienie,
ale one mnie nie zdradzą, kamienie
umieją milczeć wraz z właścicielem słów,
nie mówią, że zrobią coś, a potem robią co innego,
nie odpychają, nawet kiedy po nich idę.
Będą, kiedy mnie nie będzie.

Widzę, że się uśmiechnąłeś.
Tak, tak, to dobrze!

Alicja Patey-Grabowska

Zło otwiera oko

Przemykają świerszcze
pomiędzy trawami
czmychają jaszczurki
uskakują żaby

Zło otwiera oko
choć bielmem pokryte
lecz widzące w głąb
aż po przegub myśli

Zło obmywa palec
– i woda zatruta
od samego źródła

Zło dotyka kwiatu
– woń uśmierca kwiaty

Zło chwyta za owoc
– owoc w sercu gnije

Zło weszło w krajobraz
ukryty głęboko
za siedmioma górami
za wilczymi dołami
snu

Dęby pamięci

Patrykowi, który zasadził Dąb Katyński swojego pradziadka

Dęby katyńskie
korzeniami
w pamięć

Dęby pamięci
rozlistne nadzieją
że nie zapomni ojczyzna
o synach
dla unicestwienia
przysypanych ziemią

Dęby pamięci
rozlistne wiosną
ukorzenione
w pokolenia
pamięć

Moment

Jest taki moment pół snu i pół jawy
kiedy obrazy nakładają się na siebie i nie wiesz
czy to już było czy to będzie czy może teraz
płyną łabędzie po rzece snu

nakładają się na siebie i nie wiesz czy jesteś
dorosłym czy dzieckiem a może już koniec
drogi skąpanej we mgle

I nie wiesz czy bać się by spojrzeć w oczy czasu
czy cofnąć rzekę do źródła?
Czy cieszyć się chwilą która deszczem spadła
by matka ziemia nawilżyła wargi spieczone słońcem

Promienie gorące czasami zwiastują śmierć

Styczeń 2020

Pandemia

Strach
w koronie Zła
Przyczaił się
w mroku
I skoczył

Świat zamarł

Dzwony serc
na alarm
 Krzyk
 I cisza
Zamknięte okiennice
Zaryglowane drzwi

Stukają obcasy
niewidzialnych stóp
po pustych ulicach

I z lęku wydobyta
druga twarz ludzkości

W klątkach mieszkań
 zamknięci
W gniazdach państw
 za murem
jednoczą się w trosce
niosą pomoc –
 ratunek
Choć szyderczo złowieszczy
 Zło
ubrane w koronę

15 III 2020

Słowa

Mężowi – Poecie

Połączyły nas
Słowa –
Pisma mówione
Wydobyte z myśli
ubrane w koronę
jak na balu
w Sylwestra
gdzie rytm
splata ciała
i wiruje w przestrzeni
jak w mowie wiązanej
gdy wersy w szyku
jak do menueta
i bije serce wiersza

16 III 2020

U kresu początek

Krzysztofowi

Mogliśmy się nie spotkać

Tam
u kresu drogi
powietrze zastyga
mgła opada na ziemię
I jak
z nieprzejrzystej materii
wyłuskać światło?

A jednak
spotkaliśmy się

Tam
u kresu drogi
materia mgły
wpuściła blask
jak ścieżkę
po której idziemy

Mogliśmy się nie spotkać

A jednak
na krawędzi życiowej wędrówki
stanęliśmy twarzą w twarz
w zadziwieniu
i żalu
że dopiero teraz
u kresu drogi
p o c z ą t e k

8 VIII 2019

Alicja Patey-Grabowska

Maria Jolanta Piasecka

haiku

* * *

przy kominku
z okopconym tygielkiem
rozmowa

* * *

pełna butelka
dzięki ci za oskołę
moja brzozo

* * *

kwarantanna
betonuje podwórko
najbliższy sąsiad

* * *

kocha, nie kocha
śpiewaj śpiewaj słowiku
minutkę dłużej

* * *

wiosenna pełnia
trafiam i trafiam kluczem
w otwarte drzwi

* * *

marcowy wieczór
niedopałek ze szminką
obok ogniska

Jan Krzysztof Piasecki

Trzy wiersze do syna

Do Marka I

Zaginąłeś.
Czy żyjesz w swym ciele atlety
czy promykiem duszy krążysz przy nas tęskniących?
Czy się schowałeś czy cię umęczono?
Gwałtowny byłeś, o dwóch moich twarzach...
– Doszedłeś do ściany (mówilem).
– Zabiją cię – mówiłem. – To mafia.
Zobaczyłem cię w czwartek we śnie;
Umykałeś figlarnie, odwracałeś ku mnie piękną głowę
i w tanecznych wygięciach kpiąco się uśmiechałeś.
Czy przechodziłeś na tamten świat, czy uciekałeś z Polski –
od nas, od swego półświatka, tego całego brudu –
do lepszego świata, ku przemianie?
Czy czyściec przeżywasz na tym czy tamtym świecie?

Do Marka II

Byliśmy w kinie tylko raz –
Van Damm pokonał całą armię.
Ty też tak chciałeś.
Ale – synku,
tylko na filmach, tylko w snach
samemu się rozbija armie.

Nie dokończyliśmy rozmowy.
Ktokolwiek widział, ktokolwiek wie
Van Damme pokonał całą armię,
ty też tak chciałeś.
Co my teraz możemy sami?

Gdziekolwiek jesteś
zasiadamy
w pokojach luster bez odbicia,
gdzie linia prosta się zagina
w nieskończoności pytań – cisza.

Do Marka III

Nasza modlitwa i pamięć
prowadzi nas do ciebie, Marku.
Doświadczony mieszkaniec zaświatów
powitasz nas z miłością, którą w sobie tłumileś.
Obaj wstydziliśmy się kochać.
Nasze kobiety i matki były takie pokrzywdzone!
Lubiliśmy staruszki i dzieci,
ty poza tym chodziłeś na grób psa.
Łzy szczęścia, spontaniczne uściski –
tak się witali zakochani na ulicy.
My tak nie potrafimy – patrzyliśmy z autobusu;
jesteśmy okaleczeni – spotkały się nasze oczy.
Moja obojętność, twój gniew, dwie strony ucieczki od miłości.
Twoje wielkie serce w końcu otwarło się, Marku.
Rygle puściły, miłość wylała się do dna,
jej ostatnie sygnały wysłałeś przez mobile.
K-o-c-h-a-m w-a-s, napisałeś do kobiety i dziecka.
Tego dnia zaginałeś.

Jan Krzysztof Piasecki

Wiersze pochodzą z tomów:
Niepostrzeżenie się gaśnie (I, II),
To tylko ślady (III).

Baśka eR¹

Nadchodzi

Bezwzględna i nie do odwołania
Bez smaku i zapachu
Ulotna a jakże prawdziwa
Podaje samotność na tacy
Jakby serwowała ostatnie
Danie skazańca urokliwa
W swej stanowczości nieodgadniona
A jednak poznawalna
I tak cholernie prawdziwa
Moja i tylko moja
Na wyłączność ostatniego oddechu
Śmierć
Kolejne wcielenie życia

¹ Baśka eR jest pseudonimem literackim Barbary Rosiek (1959-1920).

Krzysztof Saturnin Schreyer

Słowo jak skarb

Mądrzy ludzie bogactwem nie chwalą się swoim,
ileż ono zawiści umie wzbudzać w tłumie!
Ja o swej tajemnicy myślę z niepokojem –
ukryta w słowie, które omijam jak umiem.
Ale to nie jest łatwe.

Kiedy w sercu wzbiera
niezwykła, ciepła fala, to chciałbym ją dzielić
z morzem serc ludzkich wokół. Niebo się otwiera,
lecz ja, świadom zagrożeń, zamykam je w sobie
jak w sejfie, który kryje szczęście milionera.

Miła, to skarb to nasz wspólny. Klucz powierzam tobie.

10 I 2019 (z książki „Znaki Zodiaku – miłość pisana wierszem”)

W kielichu jego dłoni

Różowe płatki palców w kielichu jego dłoni –
zły czar ich nie rozdzieli, zły wiatr ich nie rozgoni.
Uśmiechu złote iskry jak dziwnej gwiazdy siła
co męski glob w kosmosu otchłaniach zniewoliła.

Zrośnięci jak pień brzozy zrośnięty z liściem złotym.
Gdy spada, pień usypia w zimowy czas tęsknoty.
Lecz wiosen mają krocie, bo ta przedziwna para
w pędzących nurtach życia z pęt czasu się wyrwała

A w dłoni jak w kielichu różowe płatki małe,
znajome, gładkie, ciepłe, przedziwnie doskonałe
ślą drżenia niewidoczne i wnika aż do kości
prąd cichy, prąd miłości.

7 I 2010

Zaraza

Mała cząstka, biochemia, jak fałsz w Internecie
 życie milionów zmienia szerząc się po świecie.
 Jak trudno wznieść zapory, bo to niewidoczne
 i straszne zło jak tropić? Przepowiednie mroczne
 już krążą, już lęk sięją. Lecz nie tylko lęki
 wyzwala czas zarazy.

– Nie podawać ręki –
 mówi słusznie nauka, lecz są inne strony
 czasu jakże trudnego. Człowiek poruszony
 jak przez wieki, gdy trzeba bliźniemu pomagać
 ze swym lękiem ogromnym zaczyna się zmagać
 i swe serce otwiera i słucha rozumu
 i walczy i pomaga wbrew odruchom tłumu.

Trudne czasy jak zawsze rodzą wprawdzie tchórzy
 I zamiecie paniki, która jedność burzy,
 ale idą też tacy, skromnie i rozumnie,
 o których można mówić: – Człowiek – to brzmi dumnie!

Jest w nich radość istnienia, na przekór strapieniu
 i śpiewy na balkonach, gdy w odosobnieniu.
 Jest działanie w fartuchach ze słuchawką w ręce,
 jest mądrość dyscypliny, choć nieraz w udręce.
 Wreszcie jest wymarzona zgoda wśród skłóconych,
 bo wróg jest oczywisty a nie wymyślony.

Wierzący, niewierzący, czarni, żółci, biali
 oby już tak na zawsze rodziną zostali.

15 III 2020

Lisy

Lis stary, doświadczony, który w zwierząt świecie
 pozycję utrzymywał zawsze blisko władzy
 i się przy każdym mocno trzymał gabinetu
 młodemu adeptowi takie dawał rady:

Po pierwsze Prawda, zawsze musisz to pamiętać,
to pojęcie rozciągle. Kto je dobrze czuje
potrafi zauroczyć naiwne zwierzęta.
To ważne, jak ją głosisz i interpretujesz,

a władza bardzo ceni tak niezwykle talent.
Kiedy dzik władcą lasu, rozgłaszasz twierdzenie,
że jedzenie żołędzi ma dziesiątki zalet.
Sam zaś milczące zyskasz przyzwolenie

na wejście do kurnika. Ścigać cię nie będą,
gdy się noga powinie. Powiesz że łasica
w lisim futrze podstępnie skoczyła na grzędę.
Wróg groźny, oczywisty – to władzę zachwyca.

Gdy niedźwiedź będzie królem leśnego narodu,
zapomnisz, jak to kiedyś chwaliłeś żołędzie
i zalety rozgłaszać będziesz wielkie miodu.
Czasem miodu z żołędziem, gdy potrzeba będzie.

A twoja wzniosła prawda niechaj będzie taka:
„Bronię przed łasicami i kaczek i kurek,
ma pomoc jest ogromna i nie byle jaka
nie bójcie się mieszkańcy lasów i podwórek.”

Wrogów musisz wymyślać mądrze i wytrwale,
aby w tobie widzieli wielkiego obrońcę.
To proste i genialne, ja się tym nie chwalę,
przede mną wielu sprytnych takich było, koniec końcem.

Młody lisek z przejęciem patrzył na mentora,
a gdy tak najspokojniej z sobą rozmawiali
nagle na nich napadła wilków głodnych sfora
i zginęli w prawdziwych swoich wrogów zgrai.

29 IX 2019

Na rozstaju

Zła w naszym świecie tak wiele!
Lecz jak opisać wesele,
twarze w uśmiechu wiosennym?
Chcę tu zaznaczyć nieśmiało,
że szczęścia bywa niemało
w zwyczajnym życiu codziennym.

Stałem więc na rozstaju
i myśli mnie oblegają.
Dziękować temu, co stworzył?
Przeklinać tego, co niszczy?

Już nigdzie nie widać zgliszczy,
schron dawny bluszczem się płoży,
tam jaskry w słonecznym blasku,
bratek się śmieje na piasku,
a na pobliskiej mogile
siadają białe motyle.

Wiosną, jesienią i latem
tragedia zarasta kwiatem.

10 VII 2019

Jerzy Śleszyński

Żałuję

Żałuję że nie dożyję
nie zobaczę

jak jej kolorowe dziary
kwiatki i pnącza
zleją się z wątrobianymi plamami
i grzybiczymi naroślami

jak jego celtycki krzyż
zapadnie się w fałdy tłuszczu
a litery „white power rules”
zmarszczą się niekompletnie w „whore”

już mnie nie będzie
kiedy tamtej
gwiazdki serca i esy floresy
rozleją się po suchej i sflaczałej skórze

nie będę istniał
kiedy u tamtego
mocarny King Kong na karku bez szyi
zmieni się w czarny i bezkształtny worek

Vito

No więc jednak trudno
wyobrazić sobie Gombrowicza
ze smartfonem w dłoniach

chyba że
z włączoną funkcją
„lusterko”

Grzegorz Walczak

Cierniowa korona

W Karczewie wiosna już zakwitła,
zielony założyła żakiet,
lecz jakoś tak tu pusto dzisiaj.
Mało kto chodzi głównym placem.

Tylko gołębie sobie gwarzą,
że gdzieś się zapodziały dzieci.
Wszyscy się kryją w swoich domach,
choć słońce już od rana świeci.

Z balkonu śpiewał ktoś nad ranem.
A potem nagle taka cisza,
że miasto jakby zatrzymane
w pół kroku. Tylko zegar słychać.

I czas się snuje jakiś gęsty,
i Matka Boska Smutna* płacze,
jak niegdyś w chwilach naszej klęski.
A cóż to dzisiaj może znaczyć?

„Króluj nam i błogosław Chryste” **
i przyjmij w swoje nas ramiona.
Kłęczymy dziś pod Twym pomnikiem.
Cierniowa zbliża się korona.

napisane w marcu 2020 r.

* *Matka Boska Smutna* – obraz Michała Elwiro Andriollego (1836-1893) – obecnie w Kaplicy Pamięci Narodowej przy kościele św. Wita w Karczewie.

** Napis na pomniku Chrystusa Króla (w parku przed kościołem parafialnym św. Wita w Karczewie), ufundowanym w 1932 r. przez kupców karczewskich na pamiątkę odzyskania niepodległości Polski.

Andrzej Władysław Wodziński

Ja PESEL 49062704...

Ja PESEL 49062704..., ja NIP 525143..., ja wzrost – centymetrów 176,
oczy niebieskie, ja – mniej forma, więcej treść.

Ja grupa krwi 0, Rh ujemny, ja człowiek w miarę foremny i wesoły,
z nadmiarem krwinek czerwonych.

Ja melancholia księżycowa spod astrologicznego Raka,
ja osiemdziesiąt kilo żywej wagi – lirycznego warszawiaka.
Cech szczególnych brak, choć nie – jest kilka np. książkożerca
i blizna po zawale na przedniej ścianie serca.

Dlaczego na przedniej – nie wiem – nie powiedzieli,
słabo opłacani w białych fartuchach Anieli.
Ja – złamany kręgosłup na odcinku L1 – jeden,
kto mi go przetrącił, do dziś nie wiem.

Może chmury bure, może parszywy los, może ludzie źli –
pytałem drzew w Puszczy Kampinoskiej, ale nie odpowiedziały mi.
Ja – numer obuwia jak tytuł słynnego filmu Felliniego,
ja – czekający całe życie na forszę i aby do pierwszego.

Ja – kołnierzyk u koszuli numer czterdzieści
ja, którego los nie pieścił.
Lecz jednocześnie mały pieszczoch muzy Kaliope,
który lubi nad winem z muzyką Chopina – popłakać trochę.

Ja – przydeptyjący każdy papier, gdy spadnie na ziemię,
jak plakat w teatrze przed premierą – dlaczego to robię?

[Doprawdy nie wiem.

Przechodzę na drugą stronę ulicy po spotkaniu z czarnym kotem.

Ja – przerażony kilka razy w życiu serca łomotem.

Na widok kilku pań i panienek, krótko mówiąc –
taką prośbę do Ciebie, dobry Boże mam.

Niech moje niemłode serce, jeszcze raz jak kiedyś załomocze,
niech będzie chyże i ochocze.
Choćby dla przypomnienia jak to kiedyś było,
gdy nie proszkami, lecz miłością się leczyło.

I jeszcze proszę, Panie Wszystkomogący,
bym był jak niegdyś – dobrze chodzący.
I mógł pochodzić po Tatrach i Alpach
a potem zjechać z tych górów na nartach.

I jeszcze daj mi Panie popłynąć na ciepłe południowe morza,
a ja tam zanurkuję aż do malachitowego podłoża.
Pofigluję z tęczowymi rybami,
a będą one moimi dla Ciebie, Panie, kolorowymi znakami,
że jeszcze chcę płynąć, wspinać się i iść,
jeszcze po prostu chcę żyć.

Dla Stowarzyszenia Pisarzy Polskich, Oddział Warszawa, 25.03.2020

Janusz Andrzejczak

Nowe

Gdy uznano, że wszystko już było, zaczęto wymyślać czego jeszcze nie było. Wszystko co naturalne, tradycyjne – znudziło się. Znudziło się piękno, znudziło się dobro, znudziła się prostota, znudziła się uczuciowość, znudziła się zbiorowa i indywidualna pamięć o przeszłości. Słowem: znudziły się tradycyjne wartości.

Zaczęto eksplorować to, czego jeszcze nie było, a że było już wszystko, inżynierowie dusz, wzięli się za to, o czym dotychczas ludzie brzydzili się nawet pomyśleć.

– Trzeba wszystko poprzewracać! – krzyknął ten, który dużo mógł.
– Postęp, musi być postęp! – wykrzyknął ten, który mógł jeszcze więcej.
– Postęp, to przewrócenie wszystkiego do góry nogami! – połączył poprzednie wypowiedzi ten, który mógł prawie wszystko.

– Tylko, że do tego trzeba mieć ludzi. Skąd ich wziąć?
– Wystarczy wmówić młodemu, wykształconemu, że kto nie chce postępu, jest mastodontem, neandertalczykiem! Przecież nikt nie chce być jakimś przedpotopowym reliktem, każdy chce być nowoczesny, postępowy! Mamy XXI wiek! Są tacy, głównie wykształceni, z wielkich miast, którzy są w stanie uwierzyć we wszystko, byle to było nowoczesne, postępowe. Są oni w stanie wierzyć w te idee tak głęboko, tak niezachwianie, jak ciemnogród wierzy w siły nadprzyrodzone! Oni są przyszłością świata! No, a za nimi pójda starsi i starzy, bo przecież oni też chcą być młodzi!

Ustalono więc, że trzeba podjąć wszelkie działania, aby świat postawić na głowie, nogami do góry.

– Nogi, nogi są najważniejsze! Trzeba sprawić, by ludzie zaczęli inaczej chodzić. Tradycyjne chodzenie jest nudne, niepostępowe!

– Ale w takim razie trzeba by zmienić anatomię człowieka! Tego się nie da zrobić!

– Nie trzeba! Trzeba zmienić sposób myślenia o własnej anatomii i pójdzie jak z płatka!

– Ale mieliśmy wymyślić coś nowego, a przecież już Monty Python wymyślił Ministerstwo Głupich Kroków!

– Ale to był tylko kabaretowy skecz. Nikt przecież po jego obejrzeniu nie zaczął tak chodzić!

Wielka Trójka myślała, myślała i wymyśliła genialne w swej prostocie wyjście: odtąd, by zasłużyć na miano człowieka postępowego, należało zakładać but prawy na nogę lewą i lewy na prawą. Oczywiście że było to niewygodne, ale wymuszało zupełnie inny od naturalnego sposób chodzenia, a właściwie – wierzenia w powietrzu nogami.

Podobnie rzecz miała się z rękami: założenie prawej rękawiczki na lewą rękę i odwrotnie, wymuszało inne operowanie dłońmi i palcami, a to miało taki skutek, że spod rąk pojawiały się wytwory zupełnie inne od tradycyjnych. Wygoda nie miała żadnego znaczenia, ważny był postęp.

Postęp wkroczył również do ustępu, czy ustęp do postępu, wszystko jedno: pisuary były w każdej toalecie.

Postępowe było również jedzenie: zakazano jadania tego co zawsze, preferując pokarmy, którymi odżywiają się na co dzień zwierzęta roślinożerne, z trawą włącznie.

Najtrudniejszym zadaniem była zmiana klasycznych wartości związanych z etyką na postępowe. To zadanie wziął w swoje ręce ten, który prawie wszystko mógł. Ten, opłacił Autorytety każąc im głosić, że zło jest dobrem, a dobro złem, piękno jest w brzydocie, a to co brzydkie jest pięknem. Niebawem, szczególnie w miastach, uwierzono, że tak właśnie ma być, że to co nowe jest normalne, zgodne z postępem i że wszystko co nie idzie z jego scenariuszem, trzeba bezwzględnie, wszelkimi metodami zniszczyć.

Aż któregoś dnia zawiał wiatr. Nie był to zwykły wiatr, jaki znają wszyscy. To był wiatr, który przywiał coś, czego nikt nie przewidział, czego nikt nie znał.

I on wszystko poprzewracał.

Poprzewracał co postępowe i co wsteczne.

I stało się – n o w e. Takie, którego naprawdę i bezwzględnie jeszcze nigdy nie było.

Tylko, że już nic nie stanęło na nogach, bo te, zgodnie z postępową teorią ewolucji – jako nieużywane, zanikły.

Wtedy nastąpił koniec postępu.

Ale wówczas już nie było komu mieć o tym – ani postępowych, ani wstecznych – refleksji.

Tamara Bołdak-Janowska

Znaki wodne

Krótka rozmowa położnicza Tamary BeJot i Tola Szaleńczyka

Tolo: Nasz krótki dialog zacznę od twego krótkiego wiersza, którym, przypominę, zakończyliśmy nasz Spektakl Nr 2, a zaczęliśmy Spektakl Nr 3, z twego tomu elegii: *Ridikjul. Elegie o stanie świata*. Powtórzmy to: wymyśliliśmy nową formę istnienia dla wiersza – na scenie z oszczędną scenografią i zdawało się, że jest to nasz sens życia na resztę życia: czynić bohaterem sceny poetyckie słowo, pod scenografię, która je czyni mocniej dostrzegalnym.

BeJot: I pod muzykę na mojej rodzinnej altówce, która ma ponad 150 lat. Ty grasz, wchodząc w słowo, które ja mówię, i wychodząc z niego. I dodam: sam komponujesz pasujące do słowa kawałki. A od czasu pandemicznego zawirusowania świata w domu panuje martwa cisza. Graj. Ćwicz. Czytaj zatem, skoro od tego krótkiego wiersza chcesz zacząć.

Tolo: Ano mam organiczną potrzebę na przeczytanie tego twego wiersza z *Ridikjul*. Jest krótki, a zawiera wszystko. Człowieka, jego kondycję, kosmos. Czytam twoje *Jestem*:

JESTEM

Jestem człowiekiem.

Krótko żyję.

Znam wiele opowieści o wieczności.

Krótki jest mój palec,

którym wskazuję wszelką dal

i kosmos nade mną.

BeJot: Dzięki za to, co mówisz. No i nie mamy możliwości wystawienia naszego kolejnego spektaklu, numer 4, przynajmniej w tych terminach, w jakich miało to się odbyć. A nam się zdawało, że to nasza nowa i najlepsza forma istnienia. Ostaliśmy się jak głupi, bez rąk, bez nóg, bez ducha. To chcę, żebyśmy to teraz zagrali tu, w dialogu, część spektaklu Nr 1, który mieliśmy na małej scenie naszego Amfiteatru, a to dzięki zaproszeniu nas przez Mariusza Sieniewicza. Ja przeczytam jedną elegię pt.

Metoda. Studium wojny i podziwu, a ty zagraj swoje *Znaki wodne*. W tej elegii zawarłam własną moc i niemoc. I użyłam słowa „niezaraźliwy”, słowa „zarazi” – teraz to widzę, że stan świata wskakuje w nasze słowa, zanim zaczniesz się dokonywać. Poza tym jest tak, jak mówię w tej elegii. Opisz krótko *Znaki wodne*, bo gdzieś mi podziała się kartka z twoim opisem pięciu kompozycji. Tu, tu leżała. I nie ma nagle.

Tolo: Gram *Znaki wodne*. O, tu mam kartkę z brudnopisowym opisem tych znaków. Gram o tym, jak się one jawią, srebrzyscie i szkliscie, i jak nikną. Jakby nie zaistniał żaden ruch.

BeJot: Cudnie, że znowu grasz. Przebieram się w żołnierza czy żołnierkę i czytam. Pytałam MOK, czy mogę wziąć fotografie, jakie mi wtedy MOK zrobił, do eseju czy rozmowy położniczej. Pozwalają i cieszą się, że je chcę, że mi się podobają. Tylko je podpisać: MOK, Olsztyn. Wojny toczą się w miejscach starych i nowych. Najemnicy pędzą w miejsca stare i nowe. Stąd moje pragnienie zagrania *Metody* jeszcze raz. Nic się nie zmienia: jestem w kolizji z metodą globu. I ona mnie przeraża. Jej istotą jest przerażanie jeszcze nieprzerażonych, tak żeby nieprzerażony był tylko ten, który przeraża.

Gramy, Tolo, metodę globu.

METODA. STUDIUM WOJNY I PODZIWU

Co dziś mamy? Środa. Pędzący piątek. Słońce. Nieznane. Żrące. Zastąpi je białe słońce zimy, z pniem nierówno przepiłowanym, czasem bezkształtne i w szare piętna, jak niemowlę podeptanego bałwana, zakutane



Tamara Bołdak-Janowska w MOK-u.
Recytuje *METODĘ* z taśmy rękopisu

w piki z topniejącej wełny, albo: będą to mętniejące wargi,
piękne, amarantowe,
w połowie nieba, powolne, jak malowanie beczki
pędzelkiem.

Podziwiał niebo.

Nie. Przeszkoda.

Coś wiąże wzrok jak ręce. To pełznące. To zbrojne.

Metoda.

Jesteś w kolizji z metodą globu.

Oto moc: wstaw w wazon swoje „nie chcę”

i podziwiał.

Niebo, słońce z boku jak na obojczyku

podziwiał.



A ty chcesz, żeby w nocy było słychać
w bezgranicznie ufnym uchu dzwonki z uprząży sfer.

A ty słyszysz, słyszysz,

w kolizji z krwawym globem,

własne pytanie, w powietrze, do nikogo:

dzianie się świata, metoda, musi przecież

pomagać żyć?

Oto moc: wstaw w wazon swoje pytanie

i podziwiał.

Patrz w kąt pokoju, podziwiał go – jest jak ptak,

zerwany do lotu. Ciche te skrzydła, zastygłe, ogromne.

Podziwiał bez końca. Śnij nieporuszone.

Masz je. Nie na zawsze?

Innych nie masz.



Ksywki po telewizjach. Generał Golonka. Pułkownik

Bochen Bój. Wańka Leming. Black Dick. Bloody Ball.

Bloody Flower. Wołcza Żopa. Jajca Wołka. Bloody Rose.

Mocne oczy ksywek – jak celowane uzbrojenie, w kamuflażu,

z balaklawy, z chusty Haasta. Z okienek z lekkim oczodołowym

glifem w tych basztach, wystrojonych grubo i czarno.

Ksywka to świetna kryjówka.

Nazwisko się wstydzi czynu ksywki.

Fucking Arm. Nazwisko nie odważy się na to, co wyprawia ksywka.

Ox Master. Your Ass. Janiechrien, Jakaż odległość od nazwiska.
 Na planecie Nasza Ziemia gęste orbity planet pod ksywką.
 W ksywce więcej posłuszeństwa sprawie. Obecność
 całkowicie poza tekstem, więc śmiała. Opłacona to odwaga.
 Bohaterów nie ma. Śmierć najemnika
 jest nieważna.

Były najemnik rozdaje pod Ratuszem ulotki z łagodną
 treścią o spotkaniu zdrowych. Nigdy więcej tak zasranej
 wojaczki, mówi, bo tam Polak strzela do Polaka,
 bo rodacy po przeciwnej stronie, bo,
 wie pani, za to najemnikom płacą, a ja tu teraz dorabiam
 do wczesnej emerytury, a do takiej służby, o nie, nie wrócę, bo,
 nigdy więcej, proszę pani, międzynarodówki takiej,
 żeby rodak do rodaka walił jak do kaczek.

Odwzajemniasz uśmiech.

Ma ładnie wysklepione ramiona, okrągłe jak spod chochli,
 spod utwardzonej miski tulipana, wyćwiczone, żołnierskie,
 podziwiał je.

Podziwiał mężczyznę.

Podziwiał niezaraźliwy, jednostkowy powrót.

Samotność powrotu do twojej strefy radości. Podziwiał
 pomnażającego strefę radości.



Powtarzasz pytanie: to, co się dzieje
 ze światem, metoda, musi pomagać żyć?

Oto moc: strzepnij swoje pytanie do popielniczki,
 na stertę petów – ładna, podziwiał.

Podziwiał ten niezadymiony szczyt domowej góry –
 pokonało ją pytanie, lekko,
 niewyczerpanie – od razu wskoczyło na czub
 wprost z nerwowej dłoni.

Podziwiał niebo. Długie jak sznur niebo.

Sznur chmur się rwie, ale podziwiał.

Podziwiał jak dzikie zwierzę, bez nazwy czynu
 i bez słowa „niebo”. I bez strachu, że spadnie,
 zagniecie, spali w biegu,
 że rwącym się sznurem zarazi ręce, nogi,
 i rozwieją się wszystkie obrazy.

Musisz się zmieścić w albo-albo.
 Jak dzikie zwierzę: albo żyjesz, albo nie.
 Bez procesu leczenia, opieki, oczekiwań.
 Podziwiać: to samo, co widzieć: jest!



Żyć.
 Nie w poszukiwaniu zdechłych kryjówek.
 Nie po piwnicach z mokrym zadem,
 Nie w ciemnogłowym tunelu.
 Nie w koszuli z gliny i z guzem gliny na czulej kości.
 Nie w zatęchłym rękawie, z nagłą zawalonym,
 bez drugiego wyjścia.
 Podziwiał niebo, jakiekolwiek jest –
 jasne, ciemne. Kochaj je za stan naturalny.
 Miłość może być żółta, niebieska i prawie czarna.



Mieć.
 Mieć głowę w niebie, ale nie na tyczce
 z ognia pustki. Mieć palec w niebie, ale nie z lepkiem
 kapiącym szkarłatem goździka u nasady. Nie takim
 palcem wskazuje się niebo.
 Niech lepiej siądzie na nim gołąb
 z błękitnej satyny albo niech się z tej samej satyny
 tłem stanie czyjeś najwyższe okno.
 Podziwiał niebo, naturalnie groźne
 i naturalnie przychylne.



Podziwiał kimonowe skrzydła swego kąta. Jego uniesione
 po sufit ramiona,
 kimonowe,
 podziwiał.
 To Anioł Stróż, podobny do kelnera, z przewieszonymi
 serwetkami na uniesionych przedramionach. Spokojne
 długie serwetki
 podziwiał.

J e s t e ś w d o m u.

Tamara Bołdak-Janowska

Krzysztof Choiński

Sierpniowy dzień

(fragment powieści „Polski los”)

Słońce wspinało się coraz wyżej, zalewając potokiem żaru pola, pożółkłe kępy drzew, domki dróżników, toczące się wyboistym traktem furmanki i podwójne pasmo szyn, po którym sunął ciężko sznur wagonów, dymiącą lokomotywę, czasem jakieś osamotnione drezyny, wypełnione ponad pojemność ludźmi w mundurach kolejarskich i wojskowych. Głuchy łoskot działa zacichł gdzieś w oddali. Dym z komina parowozu rozchodził się płasko i stał długo gęstą mgłą po obu stronach torów; nawet powiew wywołany ruchem pociągu nie był w stanie rozproszyć tej duszącej zasłony, która rozmazywała kontury drzew, krzewów, domów widocznych tu i ówdzie w spieczonym sierpniowym słońcem przestrzeni.

Skład był rozpaczliwie pstrokaty, składały się nań otwarte platformy, pudła wagonów towarowych zwanych bydlęcymi i niewielka liczba wagonów pasażerskich, obdrapanych, zniszczonych nadmierną eksploatacją w ciągu czterech lat wojny. Hamulcowi, tkwiący w otwartych budkach, trzymali się kurczowo swojego nędznego azylu, jakby w obawie, że za chwilę wypadną na szyny i zostaną poszatkwani przez ostre żelazo kół. Na platformach, w wagonach bydlęcych i w przedziałach dla pasażerów tkwił zbity, nieprzytomny z gorącą tłum, wylewający się na stopnie i dachy, ogarnięty jedną myślą: nie dać się zepchnąć, nie spaść! Wszędzie widniały twarze zaczerwienione od upału, z wybałuszonymi oczami i otwartymi ustami, łapiącymi gorączkowo powietrze gęste niczym świeżo nalana do talerza zupa. Tu i ówdzie ktoś podnosił do ust butelkę z resztką wody, ciepłej i obrzydliwej w tym gorącu, ktoś wachlował się gazetą czy jakąś częścią garderoby, gdzie indziej czyjaś głowa opadała na piersi, z zamkniętymi oczami i zapadniętymi policzkami, albo trwała odrzucona do tyłu w rozpaczliwym odruchu walki o dodatkową odrobinę tlenu. Nad ciżbą ludzką unosił się gwar, narastający i opadający co pewien czas, nie za głośny, bo nikt już nie miał dość siły, aby zmuszać wysuszone struny głosowe do nadmiernego wysiłku.

Bronisławowi udało się wziąć szturmem jeden z wagonów pasażerskich jeszcze w Warszawie i dopaść kąta przedziału, gdzie trwał teraz wciśnięty między okno a dwóch wąsatych, ponurych jegomościów w chłopskich

kapotach. Kolana podciągnął jak najwyżej, zmuszony do tego przez stojących między ławkami ludzi, trzymających się oburącz czego popadło – siatek na bagaże, futryn okiennych, wreszcie nawet ramion sąsiadów. Nikt nie miał nikomu za złe tej poufałości, wszyscy wiedzieli, że najważniejsze jest przetrwanie nieokreślonej liczby godzin, dzielącej ich od chwili, gdy z ulgą wypłaczą się z natłoku cudzych rąk, nóg i korpusów, by wyskoczyć na peron i odejść. Nie słysząc też było złośliwych uwag czy zarzutów pod adresem przylegających ciasno sąsiadów, a to z bardzo prostej przyczyny: sytuacja była dla wszystkich przymusowa. Na dodatek kłótnie oznaczałyby niepotrzebną utratę energii, czego instynktownie unikano. Nagle z drugiego końca wagonu dobiegł okrzyk:

– Zemdlą! Zemdlą! Kto ma wodę? Dajcie wody!

Korowski czuł, jak pot strumieniami spływa mu po plecach i bokach. Łapał powietrze całymi haustami, choć zdawał sobie sprawę, że wciąga do płuc wiszący wokół zaduch. Pociąg na kilka minut przyspieszył, powiew z otwartych okien przyniósł niewielką ulgę, ale niemal natychmiast stukot kół zwolnił. Jakaś kobiecina w drugim kącie przedziału zaczęła się modlić:

– Panno przeczysta...

– Daj pani spokój. – mruknął jeden z sąsiadów Bronisława. – Tu modły nic nie pomogą, póki nie dojedziemy do Kielc.

– Jak kto wysiada wcześniej, to mu od razu będzie lepiej. – odezwał się anonimowy głos z ciżby przy drzwiach.

– Po co wcześniej? Żeby go Moskale łatwiej złapali?

– Ja się modłę za moich nieboraków. – powiedziała kobieta nieśmiało.

– Oni tam... teraz...

Rozmowa wygasła, ludzie zaczęli się oglądać, ktoś nawet wspiął się na palce, żeby zobaczyć tamten kąt.

– Ilu ich pani ma?

– Trzech.

– A gdzie są?

Czyjś zachrypnięty bas uciął:

– O to nie wolno pytać! To tajemnica wojskowa!

– Racja! Racja!

– Pomódlmy się lepiej wszyscy za nich. Żeby wrócili do pani zdrowo!

I jak na komendę szmer umęczonych głosów podjął litanie.

Bronisław też poruszał wargami, ale w głowie odezwał mu się zwykły chochlik. Gdyby powiedział temu lojalnemu basowi, że szpieczy nie w ten sposób zbierają informacje... Jakies strzępy obrazów i scen sprzed pięciu

lat zaczęły mu wirować w pamięci. Ten obszarpaniec ze skołtunioną brodą, który najpierw nie mógł trzech słów złożyć i co chwila przykładł dłoń do ucha, żądając powtórzeń, a gdy zjrżeli mu pod podszewkę i oderwali zelówki, zaczął nagle mówić najczystszą mową Puszkina i Tolstoja, powołując się na konwencję genewską... I te szyfry, notatki, szkice... Gdyby mu nie spojrzał przypadkiem prosto w oczy, nie dostrzegłby błysku wysokiej inteligencji i nie wpadłby na pomysł gruntownej rewizji. Czuł dla niego litość, kiedy na dnie wielko-imperialnej i zawodowej arogancji wyczuł strach, dopóki nie przypomniał sobie widoku poszarpanych zwłok piechurów w zasadzce pod Sadową Wisznią i ciała anonimowego żołnierza drugiego pułku, włózonego przez Kozaków końmi aż do skonania w brudzie i pyłe wiejskiej drogi. Nie, tu nie było miejsca na litość! A jednak nie wytrzymywał myśli o tym, co tego człowieka potem spotkało..

Ocknął się z uczuciem straszliwego pieczenia skóry pod tym cholernym pasem z płótna. Jęknął głucho, aż starszy z dwóch sąsiadów zaniepokoił się:

– Co panu jest?

Miał właśnie powiedzieć, że to nic, bo tak go nauczili w dzieciństwie, gdy dotarło do niego, że stoją i lokomotywa wyrzuca z sykiem kłęby pary. Machnął lekceważąco dłonią, którą miał akurat wolną i spojrzał w okno. Pierwszym widokiem było dwóch żandarmów z karabinami sterczącymi nad głowami, jeden niski i pękaty, drugi wysoki i niezmiernie chudy. Przypominali komików, których widział kiedyś w kinoteatrze. Stali i patrzyli wzdłuż peronu, to w lewo, to w prawo, jakby nie mogąc się zdecydować, gdzie czekają na nich ważniejsze sprawy i kogo aresztować zaraz, a kogo dopiero za chwilę. Nie znał tych twarzy, ale poczuł się z nimi jakoś związany. Tkwiło w nim coś w rodzaju żalu za służbą, która mu ani imponowała, ani dawała satysfakcję, być może tyle tylko, że czuł się użyteczny jako trybik w zgrzytającej machinie wojny. Ci dwaj troszkę go śmieszyli, zarazem jednak niemal fizycznie utożsamiał się z nimi – czuł, jak ich bołą opuchnięte stopy, jak ciążą im karabiny i jak podświadomie drażny ich zniechęcenie. Stali tak i stali, aż w końcu niższy wykonał ruch brodą, wskazując coś lub kogoś. Równocześnie z wyraźnie podjętą decyzją, gdy zrobili w prawo zwrot i mieli już ruszyć ku przodowi, w stronę parowozu, za ich plecami zaczęło się coś dziać.

Najpierw był to wysoki krzyk, chyba kobiecy, który wzniósł się nad peronem zatłoczonym ludźmi, pragnącymi jak najszybciej stąd odjechać. Trwał dłuższą chwilę, po czym przeszedł w łkanie. Dołączyły do niego inne głosy, wykrzykujące coś tak bezładnie, że nie można było nic z tego

zrozumieć. Potem z budynku stacyjnego, okolonego skrzynkami pełnymi kwiatów, świecącego ścianami z czerwonej cegły, zaczęły wysypywać się sylwetki, które wnet uformowały gęstą ciżbę i posuwały się ku wagonom. Na ich barkach jechał człowiek w mundurze kolejarskim, roześmiany, wymachujący rękami i wrzeszczący coś, co tonęło w powszechnej wrzawie. Dyżurny ruchu osłupiał na brzegu peronu, zatrzymawszy w pół drogi chorągiewkę; wraz z jego czapką tworzyła podwójny akcent czerwieni, odbijający się na tle dookolnej szarzyzny. Wszyscy zaczęli się drzeć wniebogłosy, las rąk wzniosł się ku górze, aż wreszcie do uszu pasażerów dotarły pojedyncze słowa i urywki zdań:

– ...zbił! Zbił na amen! ...wieją! Niech żyje!

Ponieważ ktoś wychylony z okna wagonu przebił się przez harmider z pytaniem, człowiek niesiony przez tłum zdołał ryknąć, rozgłaszając wzdłuż peronu:

– Piłsudski dał im bobu! Nasi pod Warszawą odepchnęli bolszewików! Komendant uderzył znad Wieprza!

Bronisław od dobrej chwili wiedział już, co się stało; lży nagle pociekiły mu po policzkach, zerwał się z trudem i zaintonował:

– Jeszcze Polska nie umarła!

Beładny z początku chór przeszedł stopniowo w potężną pieśń, która unosiła się nad pociągiem, stacją, polami, lecąc coraz dalej i dalej, w szaleństwie radości i tryumfu. Ludzie krzyczeli, płakali, padali sobie w objęcia, czapki leciały ku górze jak stado szarych, granatowych i zielonych ptaków, maszynista włączył sygnał. Nieustający gwizd ogłuszał, wiązał się ze śpiewem w dziką symfonię zwycięstwa.

Kiedy Bronisław dotarł na Seminaryjską, Maria otworzyła mu z wypiekami na twarzy:

– Już wiesz? Wiesz?

– Wiem – odrzekł prawie szeptem. – Pomóż mi się rozebrać.

Rzuciwszy marynarkę na krzesło, rozpiął guziki koszuli zeszytywniałymi palcami. Od wyjścia ze stacji czuł ognistą obręcz, która wbijała się w ciało przy każdej próbie wciągnięcia powietrza głębiej do płuc. Maria wyjęła mu z rąk mokry łachman i spytała w osłupieniu, na widok płócienego pasa:

– Co to jest?

– Pieniądze – wystękał. – Dla nas wszystkich, trzymiesięczna wypłata na wypadek klęski. Musiałem je wieźć bez eskorty.

Kiedy odwinęli narzędzie tortur, przemoczone także na wylot, Maria wydała okrzyk przerażenia:

- Jesteś poparzony!
- Pewnie. W takim skwarze!

Smarowała mu plecy i boki maścią wyciągniętą z komody, rozmawiali bezładnie o zwycięstwie, podróży, znajomych – co się z kim stało i co o kim wiadomo – Maria swoim zwyczajem wyrażała obawy, czy to na pewno koniec.

– Moja kochana – mówił Bronisław między jednym syknięciem a drugim – takie rzeczy nigdy nie kończą się....aj! Z dnia na dzień, ale... jedno jest pewne... Może wystarczy?

– Nie – odrzekła stanowczo. – Zapominasz, że już widziałam odparczenia i wiem, co robię.

– Widzisz – kontynuował Bronisław, poddając się potulnie doświadczeniu sanitariuszki – oni stracili parę. Na ulicy spotkałem znajomego, jest tu u telegrafistów. Podobno całe dywizje cofają się w takim bałaganie, że dowódcy nie wiedzą, gdzie są ich żołnierze. Oczywiście, zanim ta cała ciżba odpłynie...

Drzwi skrzypnęły cicho i dziecięcy głosik zapytał niepewnie:

– Tatuś?

Bronisław zerwał się i podbiegł do synka. Nie mógł go przytulić, więc tylko objął dłońmi czarną główkę i całował ją konwulsyjnie. Władzio był zaspany, ale w lot chwycił, że ojciec wygląda jakoś kiepsko.

- Co ci się stało?
- To od gorąca, ale przejdzie, nie martw się.
- Jak to dobrze, że wróciłeś. Bałem się.

Popatrzyli na siebie oboje: skąd dziecko wiedziało, że ojcu grozi niebezpieczeństwo?

Krzysztof Choiński

Grzegorz Gortat

Pan Rasmussen

(fragment powieści¹)

12 września 2002

Ludzie się zmieniają? Albo raczej w pewnych okolicznościach do głosu dochodzi ich prawdziwe ja? Nie wykluczam zresztą, że przemawia przeze mnie gorycz, a moja ocena Pollarda jest nie do końca sprawiedliwa. Nie do końca? A niech to, sam zaczynam gadać jak on! Nie ulegnę temu szaleństwu! Czarne jest czarne, a białe jest białe, koniec, kropka!

Profesor John C. Pollard jest niekwestionowanym autorytetem w dziedzinie australijskich Aborygenów. Potrafi godzinami opowiadać o ich historii i kulturze, i to w sposób naprawdę zajmujący, unikając akademickiej nowomowy i zadęcia. Fakty i anegdoty, drobiazgowość relacji przeplatane szczegółami, jakie trudno znaleźć w opracowaniach, sypie nimi jak z rękawa. Trudno w jego towarzystwie się nudzić. Jesteśmy ze sobą na ty, co stanowi pewien ewenement, bo jak sam przyznaje, niezmiennie rzadko zawiera przyjaźnie. Oczywiście, nieraz zadawałem sobie pytanie, dlaczego Amerykanin z Harvardu zajmuje się losem australijskich Aborygenów, a nie amerykańskimi Indianami. Nie zdarzyło mi się wyskoczyć przy nim z podobnym pytaniem – i po tym, co spotkało mnie dzisiaj, mogę powiedzieć, że los mnie strzegł.

Moja znajomość z Pollardem datuje się od blisko dwunastu lat. Poznaliśmy się w 1990 roku na waszyngtońskim sympozjum poświęconym mitom i wierzeniom autochtonów Nowej Zelandii. Miałem prelekcję o roli ciał astralnych w kształtowaniu pierwotnych mitów, a kiedy skończyłem i na sali rozległy się zdawkowe oklaski, podszedł do mnie, przedstawił się i szczerze pogratulował wystąpienia. Przez te ponad dziesięć lat spotykaliśmy się niemal każdego roku przy okazji seminariów i konferencji w różnych częściach globu, a przy tym prowadziliśmy dość ożywioną korespondencję, wcale nie ograniczoną do obszaru wspólnych naukowych zainteresowań. Postawny, obdarzony sporą tuszą i tubalnym głosem, był

1 Planowana data wydania przez Harper Collins Polska – sierpień 2020.

w naukowym świecie barwną postacią. Od czasu kiedy go poznałem, czterokrotnie się żenił. Nie moja sprawa, problem tylko w tym, że imiona kolejnych pań Pollard co rusz mi się mieszały, a John nie potrafił tego pojąć i za każdym razem robił kwaśną minę, jakbym, nie przymierzając, Papuasów pomylił z papugami. W końcu za radą Marie wypisałem sobie imiona szanownych małżonek w porządku chronologicznym i nauczyłem się krótkiej listy na pamięć. Droga przez mękę! Nie wiem dlaczego przychodziło mi to z takim trudem. Tak czy inaczej po dzisiejszej awanturze mogę się wykreślić z grona jego przyjaciół.

Przyjechał na zaproszenie naszego instytutu jako jeden z gości honorowych mających swą obecnością i wykładem uczcić stulecie powołania uczelnianej placówki do życia. Wczoraj na uroczystej kolacji dyrektor instytutu profesor Springler nawiązał do pierwszej rocznicy zamachu na World Trade Center. Uczciliśmy ofiary minutą ciszy. Ni stąd ni zowąd rozgorzała dyskusja, czy zamachom można było zapobiec. Szacowni akademicy, na co dzień mający do czynienia z obrzędami rytualnymi Dajaków i mitologią Inuitów, zaczęli nagle jeden przez drugiego się wymądrzać, jakby mieli w jednym palcu wiedzę o pracy i technikach operacyjnych agencji wywiadowczych. Od słowa do słowa rozmowa zesła na metody stosowane przez CIA wobec pochwyconych terrorystów.

- Większość z nich jest stosowana nielegalnie – podkreślił John.
- Większość? – szczerze się zdziwiłem.
- No, przynajmniej niektóre – sprostował niechętnie. – Z podtapianiem na czele. To niehumanitarne, chyba nie zaprzeczysz?
- Zgoda. Ale jeśli w grę wchodzi ratowanie życia?
- Nie rozumiem – wycedził lodowato.

W tym momencie powinienem się być wycofać. Nie zrobiłem tego. Nie zdawałem sobie sprawy, że wkraczam na pole minowe.

– Załóżmy, że schwytany terrorysta wie o szykowanych zamachach – mówiłem. – Jeśli śledczy wyduszą z niego zeznanie, można by uratować wiele istnień ludzkich.

- Wyduszą? – powtórzył. – Mówisz o torturach?
- Potrafię odróżnić dobro od zła. Chodzi mi o sytuację, w której wymuszenie prawdy, niechby i przy zastosowaniu nagannych metod, może ochronić przed nieporównywalnie większym złem.

– Czyli cel uświęca środki. Gratuluje!

Przy stole zaległa nieprzyjemna cisza.

– Jestem pewien, że profesor Rasmussen nie to miał na myśli. – Springler mówił dziwnie cicho i patrzył w stół, jakby tam spodziewał się znaleźć szczelinę na tyle dużą, że mógłby się ukryć przed światem.

W tym momencie powróciło wspomnienie tamtego upalnego sierpniowego dnia, znów ujrzałem Raula Ramireza, jak wysiada z taksówki przed domkiem nad jeziorem i wachlując się słomkowym kapeluszem, nieuchronnie zmierza w naszą stronę, z daleka pozdrawiając Marie i uśmiechając się do mnie, szczupły i opalony, w kremowym letnim garniturze podobny do hollywoodzkiego aktora z filmowych plakatów. Gdybym tego dnia choć przez ułamek sekundy podejrzewał, co siedzi mu w głowie, i gdyby istniał bodaj jeden procent szansy na to, że go złamię i zmuszę do wyjawienia zamiarów, czy coś byłoby w stanie mnie powstrzymać? Zakazy moralne, prawo, etyka, miłość bliźniego, strach przed więzieniem? Bóg mi świadkiem, nie cofnąłbym się przed niczym.

Z trudem przełknąłem ślinę i unikając wzroku Pollarda, wbrew samemu sobie powiedziałem:

– Oczywiście. Mówię o wyborze mniejszego zła.

– A ja słyszę nawoływanie do łamania prawa.

Poczułem się jak uczeń besztany przez nauczyciela wobec całej klasy. Belfer uwziął się na mnie, a reszta milczy, bo boją się mu podpaść. Bunt we mnie narastał. Pokręciłem głową i popatrzyłem po twarzach zebranych.

– Nie wierzę! Złoczyńca ma mieć większe prawa niż ofiara?

– Kto tak twierdzi? Są równi wobec prawa. Kwestionując tę oczywistą zasadę, naruszasz podwaliny naszej cywilizacji.

– A gdyby chodziło o ciebie? O kogoś z twoich najbliższych – żonę, matkę, dziecko. Gdyby istniało choćby nikłe prawdopodobieństwo, że zeznania niedoszłego zamachowca mogą ich ocalić, też byś się wahał?

– Wahał? Ależ nie! To oczywiste, co bym wybrał. – Zdawało mi się, że w jego spojrzeniu widzę teraz skrywaną nienawiść. – Bo nie wolno stosować prawa wybiórczo ani wedle własnych życzeń. Ale widzę, że profesor Rasmussen jest innego zdania. Wystarczy raz zboczyć z obranej drogi...

– Bzdura! – wybuchnąłem. – Taka interpretacja prawa to istna kpina! A gdzie w tym wszystkim jest człowiek?

Uśmiechnął się fałszywie.

– Cieszę się, że przynajmniej pod tym jednym względem jesteśmy zgodni. Też uważam, że prawa człowieka są najważniejsze.

Kiedy po kwadransie ostentacyjnie wyszedł, Springler, nie bacząc na obecność innych, zaczął mnie strofować:

– Musiał pan się wymądrzać? Czasem lepiej pewne sprawy przemilczeć. Nie zna pan współczesnej Ameryki?

Miałem już na końcu języka: „Mam nadzieję, że do nas to szaleństwo nigdy nie przyjdzie”, zamiast tego wydukałem tylko coś w rodzaju przeprosin, w myślach licząc miesiące do przejścia na emeryturę. Miałbym brać udział w tym samobójczym marszu ku pseudonowoczesności? Przenigdy!

Grzegorz Gortat

Wiesław Mandryka-Bukowiński

Szpieg na obcasach

(fragment prozy „JOM KIPPUR Podróż w nieznane”)

...Nazywała się Drabecky. Yvonne Drabecky.

W ramach wymiany kadry naukowej do Polski wysłała ją na praktykę uczelnia z Francji.

Mieszkanie było dość duże, a z okien rozpościerał się przepiękny widok na Mariensztat i kościół św. Anny.

(...)

Intrygujący zapach perfum przenikał całe mieszkanie. Kwadrans wcześniej gospodyni spryskała nimi kolorową pościel w sypialni. Widać było, że wieczór ten dla pani domu i jej gościa – miał być wyjątkowym.

– Bonsoir! Dobry wieczór! – Szymon przywitał Yvonne, gdy tylko uchyliła drzwi do mieszkania.

Poczuła na sobie przenikające ją na wskroś spojrzenie. Wyczekujący wyraz twarzy zdradzał jednak odrobinę niepewności ze strony młodego adiunkta. Udała, że tego nie dostrzega. Nie chciała, by trwało to zbyt długo. Rozpromieniła się w czarującym uśmiechu.

– Proszę, to dla ciebie... – podał jej długą różę w kolorze mocnej czerwieni.

– Merci! ... Jaka piękna...! – ucałowała go w oba policzki na przywitaniu.

– Podoba ci się? – odwzajemnił.

– Bardzo. Zapraszam, wejdź... – ośmielała go, robiąc krok do środka mieszkania.

– A to do kolacji... – wskazał na butelkę wina.

– Butelkę postaw na stole, ja tymczasem wstawię różę do wazonu – uśmiechnęła się i skierowała do kuchni.

Wpatrywał się w nią, nie mogąc oderwać oczu. Od chwili, gdy ją poznał, nie mógł zapanować nad samym sobą. Jej delikatnie falujące biodra wzmagają w nim namiętności. Uwielbiał na nią patrzeć.

Wciąć w tali, piersi i te biodra...

Zdjął kurtkę i powiesił w przedpokoju.

– Voilà, już jestem z powrotem – zakomunikowała.

– Moja najmiłsza pani biolog! Pewnie niedługo następczyni Marie Curie-Skłodowska! – ostatnie trzy wyrazy wypowiedział, świadomie przesadnie intonując po francusku, z akcentem na ostatnią sylabę.

– Bla, bla, bla – zareagowała do rymu.

– Stęskniłem się... – dodał niezwłocznie Szymon.

– Ja również, żartownisiu... – odparła, splatając mu ręce na szyi.

Oddali się pocałunkom. Trwało to długą chwilę.

– Ale, ale... jak pięknie nakryty stół... świece... sery, wino... magnifique! Kolorowo, a jak pachnie wszędzie! Czy to przedsionek do nieba...? – pytał, marszcząc lekko brwi i zaglądając z zawadiackim uśmiechem w jej oczy. Jeszcze raz przytulił ją mocno do siebie.

– Do nieba? Tak! Bardzo bym chciała z tobą tam być... To jest, byśmy dziś, choć na chwilę mogli się tam przenieść... – ucałowała go, wtulając się w jego ramiona.

Była od niego dużo niższa. Wyglądali jak Audrey Hepburn i Gregory Peck w „Rzymskich wakacjach”. Tyrna czuł, że Yvonne urzeka go coraz bardziej, a on nie może się temu oprzeć. Że budzi w nim uczucia wyższe. Że serce przy niej raz drży, raz zrywa się do lotu, to znowu przystaje na moment pogrążone w niepewności. Wcale nie ukrywał, że również jej pożądał.

– Oui, oui...! Też tak uważam...! – przytakiwała.

– Jak w pracy? Dużo miałeś dziś roboty? – dodała z troską w głosie, powracając do rzeczywistości.

– Raczej jak zwykle. To jest... wiesz, właściwie odkąd doszedłem, w czym tkwi cała tajemnica, wszystko stało się mniej nużące. Bardziej mnie wciąga i daje prawdziwą satysfakcję – odparł.

– To się cieszę. Jasne, że gdy coś się udaje, to sprawia przyjemność, motywuje do kwadratu i jest zajebiście... – potwierdzała, kalecząc sobie język na dwóch ostatnich sylabach.

Wiedziała, że słowo to jest przez polską młodzież mocno nadużywane.

Chciała jednak podkreślić wagę osiąganego przez partnera sukcesu.

– Ale, chodźmy już do stołu! Skosztuj sałatki z krewetek. Jest z mądrynkami w sosie cocktailowym. Sama robiłam – zachęcała, wysuwając mu się delikatnie spod ramion.

– Już teraz wiem, że będzie mi smakować...! – spojrzał na nią, znacząco kiwając z aprobatą głową.

Im bardziej Yvonne zapadała mu w serce, tym bardziej czuł, że zrobiłby dla niej wszystko.

– Usiądź, proszę, usiądź i ty! – zawołał, gdy na chwilę zniknęła ponownie w kuchni.

– Już do ciebie idę... – mówiła – Tymczasem otwórz butelkę wina – poleciła.

Miała w sobie coś z przywódcy. W gruncie rzeczy to było coś, co w kobietach nie bardzo mu się podobało. Nie lubił poleceń w ustach kobiety. Były dla niego zazwyczaj jak powiew nagłego północnego wiatru, który przeslizgując się po twarzy mężczyzny, kłuje go sopłami lodu. Yvonne była wyjątkiem od tej reguły.

– Właśnie to robię, białe – odparł spokojnie.

– No, i jestem! Nareszcie wolna... – z wyrazem ulgi wróciła do stołu.

– Zatem, możemy świętować! – prawie zawołał.

Wpierw sam skosztował małą partię wina z kieliszka. Gdy uznał, że jest jak należy, nalał Yvonne, a potem sobie.

– Wyśmienite! – ocenił.

– Czyżbyś zachwalał swój własny wybór? – spytała z lekkim uśmiechem.

– Czasami ktoś musi. Ale spróbuj! Prawda, że ok?

– Dobrze! W sam raz! W sam raz na dzisiejszą okazję! – uśmiechnęła się uwodzicielsko.

– A co to za okazja? – zapytał szelmowsko.

– Przecież mówiłeś, że stoisz w przedsionku do nieba...?! – odparła z refleksem.

– Hmm... Doprawdy? – krygował się, podejmując słowną grę.

– W takim razie... – udała obruszoną, jakby sugerując, że ich spotkanie może przestać być aktualne.

– Dobrze, już dobrze... Poszukamy razem tej drogi, drogi do... – uśmiechnął się pojednawczo.

– ... do nieba – dodała weselszym już głosem Yvonne.

– W takim razie za nas! W drodze do nieba! – zakrzyknął, przyciskając ją mocniej do siebie.

– „Hmm, nie musimy iść na skróty, pójdziemy schodami”! – dziewczyna strawstowała słowa piosenki Led Zeppelin.

Przez otwarte okno docierały do Szymona dość intensywne odgłosy przechadzających się po dachu gołębi. Tyrna najpierw utworzył jedno,

później drugie oko. Odwrócił się na wznak, podniósł głowę i rozejrzał dookoła. Zegar wskazywał dziewiątą piętnaście przed południem. Całkowicie nagi leżał w pachnącej pościeli Yvonne. Czuł jeszcze jej bezpośrednią fizyczną obecność. Na poduszce wilgotna plama po ślinie; najwidoczniej wyciekała mu z ust podczas snu.

– Yvonne, ma chérie! Kochanie! – zawołał.

Starał się wypowiadać to ciepłym głosem. Z krtani wydobywał się jednak tylko jakiś charczący dźwięk. Przypominał skrzypienie dawno nieoliwionych drzwi.

– Yvonne! Jesteś...? – powtórzył wołanie.

Nikt mu jednak nie odpowiadał...

Wiesław Mandryka-Bukowiński

Piotr Müldner-Nieckowski

(Z cyklu „Jednym zdaniem”)

Libertà delle signore!

(Wolność Pań!)

Siedzę tu na stopniach i czekam, i się zastanawiam, co ja im jeszcze będę musiała powiedzieć, bo tak faktycznie to nic się nie dzieje, sprawy nie zamykają, a nic nie robią, Michałek rośnie, ja chodzę do roboty do mojego barku Pani Miklaszewskiej, robię tam ciasteczka, kawę i sprzedaję bułki, i tyle, a oni udają, że coś ode mnie chcą, a sami nie mają nic do powiedzenia, kłamią, ani kroku naprzód nie zrobili i ja nie wiem, co to jest, bo jak ja, bo jak ja, muszę się puknąć w pierś, bo jak ja chodziłam wtedy do roboty, to na ósmą, a wstawiałam na szóstą, i teraz też tak mam, tak że nie miałam nawet szansy poczekać, aż woda nacieknie do zbiornika, i szłam z brudnymi rękami i zaspanyimi oczyma, tyle co ale herbaty sobie zrobiłam już w robocie, o dziesiątej, a jak zaczynały się treningi na stadionie na Polonii, to do kawiarenki ktoś wpadł, jakiś kibic albo paru piłkarzyków, wypił kawę, zjadł bezika, wuzetkę, a ja musiałam codziennie wypełniać formularze z poprzedniego dnia dla Miklaszewskiej, bo to właścicielka tego lokalu, tego na Muranowskiej, gdzie do dzisiaj, ale to już sobie przepowiedziałam, teraz przepowiadam sobie dalej, i zanim się spostrzegłam była trzynasta, a wtedy zawsze paru psów przychodziło w mundurach i pod pistoletami, a teraz to ich nie ma, jak są potrzebni, no i wtedy zaczął przychodzić taki spokojny facet, siadał na krzeselku przy szybie, zamawiał kawę z biszkopciem i wpięprzał jednym gryzem całość, potem jednym łykiem drugą całość, a że miał fajny sweter, to mu się przyjrzałam, a wtedy on mnie się przyjrzał i tak doszło do tego, że następnego dnia znowu przyszedł i już jadł nie na jednego gryza, ale na jakieś dziesięć, w końcu się uśmiechnął, wyjął papierosa, wyszedł na ulicę, ale nie zapłacił, zakombinował, żeby wrócić, i tak tam sobie palił, na mnie zerkając, a widziałam, że krzepę ma w ramionach, barach, taki od siły, aż nawet był troszkę pochylony, i potem usiadł przy stoliku, ale nie przy szybie, tylko przy mojej ladzie, a tydzień później to już wszedł za ladę, aż mnie zatchnęło, nie mogłam wydobyć głosu z siebie, jak klientki przychodziły po bułki i ciasteczka, a czasem ktoś na kawę z cukrem, bo mu pewnie w domu cukru nie dawali, no i on

mówi raz, że ma Paweł na imię, usiadł troszkę z tyłu, za mną, na zydeltu wywleczonym ze sraczyka na zapleczu i położył mi rękę pod kolano, tak że mnie aż w górę wyciągnęło, na stojąco stałam zamurowana, sprzedawałam coś, bo klientki na sklepie były, ale on mruczał jak kot, raz czy drugi go troszkę, ale nie ze złością, tylko tak odruchowo jak muchę, odepchnęłam, bo musiałam dojść do kasy, ale on znowu, tylko że przy kasie aż mi wjechał, aż poczułam w gardle, a już był tydzień później, piątek czy czwartek, w każdym razie osiemnasta czterdzieści pięć i pociągnął jak za sznurek, a drzwi się same zatrzasnęły na dobre i wtedy wjechał całkiem do góry, ach! ach! pierwszy facet w życiu, położył mi rękę na pysku, bo krzyknęłam, a co, miałam cicho siedzieć jak ta niunia?, ach, a jak ja na to czekałam!, jak chciałam, żeby mnie wkręcił w sufit, a moje swoje ulubione wkręcane przed zaśnięciem zabawy to było przy tym nic, ja nie wiem, czy przy pierwszym razie zamknęliśmy drzwi, nawet gdyby kto wszedł, to miałyby kino, nikt nie zagadał, coś stuknęło, może but Pawła spadł, może nikogo nie było, a może widział, to tym fajniej, nic, nieważne, siódme niebo, to był gigant wysilek, i leżeliśmy bez ruchu do drugiej w nocy, jego ciężar był jak pańska skórka, słodki, tak ciężki, że siódme niebo, aż Paweł stanął na nogi i wyszedł nagle, nie wiem kiedy, bo mnie wszystko samo zasnęło się w sobie i się śniło i powtarzało, co było, że jestem w pachnącej potem Pawła pierzynie, a mój dzień pachnie piękniej, więc się wtedy z krzykiem radości obudziłam i poszłam do domu na moje piętro na Anielewicza, szłam na śpiąco, czułam, że życie mi się zmienia całkowicie, a potem co tydzień do barku tak przychodził pod koniec tygodnia i dygotaliśmy do północy, a ja nawet nie brałam dla niego żadnej wódki ani nic, tylko papierosy, żeby miał, i ciasta, żeby miał, lubił słodkie takie półtortowe z bezą, ja jestem mistrzyni w robieniu przekładańca z wiśnią, jak mama żyła, to sprzedawaliśmy tego przy wejściu na cmentarz na Powązkach albo na Bazarze Różyckiego, całe tony nam tego szły, bez obrotu robię równe koła w cieście, naprawdę umiem bez cyrkla, wszystko, lukier wiśniowo-migdałowy, i jak popatrzyłam, jak on to je, to mi się w dole brzucha motyle zbierały, musiałam go brać w łapy i targać za wąsy, język mu wkładać tam, gdzie lubi, po prostu czysty szał -prał-szał-kał, a on mi przynosił a to bluzkę jakąś z metką „La libertà delle donne!” (Kobietom wolność ma być!) albo spodnie sztruksowe z napisem „Per la vicina di Anna” (Dla sąsiadeczki Anuli, to dla mnie, tak mi powiedział, że to jest to) i do tego bransoletka z kulek ametystowych, hojny był, a raz puścił farbę, że wozi ciuchy z Włoch, i stąd te jego włoski po włosku, ha, ha, ha, no, ale to ja go szarpałam, a nigdy nie chciał iść do mnie

do domu, nie wiedział, gdzie mieszkam, a może wiedział, nie pytał, gdzie wynajmuję mieszkanie, które zresztą mam do dzisiaj, bo płacę dokładnie jak Pan Bóg przykazał w terminie, ni cholery nie chciał, a ja tak chciałam, żeby mnie brał, że nie tylko cały tydzień czekałam, śliniąc się na samą myśl, robiąc paznokcie, których nigdy dawniej nie wiedziałam, że się w ogóle robi, włosy, oczy z cieniami, wszystko, nawet wydawałam na manikiur, kiedy był i nie był potrzebny, a on to chyba widział, bo też zaczął się lepiej ubierać, w dzinsy, w skarpetki i już bez dziur, w ogóle zaczęło się nam układać, jak raz przyszedł z klubu Polonia Warszawa Pan Engel z Panem Strejlaudem, to Pawełek nakrył im stoliczek i myśmy wyszli, drzwi zamknęliśmy, żeby sobie rozmawiali o przyszłości polskiej piłki nożnej, a my sobie paliliśmy mentolowe i pilnowaliśmy, żeby panowie trenerzy mieli spokój, a jeszcze Pan Trener Engel dał mi swoją książkę „dla chłopaka”, tak powiedział, to się tego trzymałam, i Pawełek dostał ją ode mnie z autografem Mistrza na urodziny, chyba pierwszy czerwca był, akurat piątek i chłop aż skoczył z radości do góry, tak całował okładkę ze szczęścia, dzieciak, no tak było, a ja bym mogła się zwinąć w kłębek, przywiesić mu się słodko do szyi i tak zostać na wsze czasy, tylko on nagle spojrzał na zegarek, zepchnął mnie na kolana, krzyknął, żebym zamykała interes, i spadamy, rzuciłam się więc, bo trzeba było robić, co każe, potem się przytułam w nocy, czy jak, nogami go zaplotę chrapu, chrap, ale on był gwałtowny jak nigdy, kolaniem popychał, szybko, szybko i do wozu, pędzę do wozu, taki większy samochód niż zwykle, chyba nie jego, on mówi: „Wzięty po drodze, potem go zgubimy”, siadam i już czuję, co jest, aż zdrętwiałam, jak on to zrobił, zdrętwiałam i czułam ten zapach tak dobrze mi znany, mama tak śmierdziała krwią i wymiotami, jak zmarła, „To kobieta?” – zapytałam, a on: „Zamknij się”, i słusznie, kij z bobkami mnie to obchodzi, każe, to jadę, „Głodny nie jesteś?”, „W robocie nie jadam tych twoich gówien”, no dobra, wiedziałam, że mam mu pomagać, a nie marudzić jak jakaś kretyńka z telewizji, „A tak, bo sam tego główna do Wysły nie wywałę, a tylko Wysła dla mnie bezpieczna jest”, czyli Wisła, to ja mówię – „Jak tam wjechać?”, „Ty się zamknij, tylko patrz, jak się wjeżdża na Wysłę, na szczęście leje”, faktycznie lało tak mocno, że po chwili opony były już całe w kałuży, Paweł zrobił co tam trzeba z tyłu na furze auta i wskoczył za kierownicę, i jak nie ryknie z rur z tyłu, auto popchnęło wodę jak barka, i jak nie skoczy do przodu, a nie było daleko, trzy kilometry góra, może dwa, moment i już jakoś tam wjechaliśmy w poprzek przez asfalty, przez Wybrzeże Gdańskie, Bulwar, na sam, nie wiem jak to zrobił, na sam beton nabrzeża, tak lało, „Kazali się tego pozbyć”

– powiedział spokojnie, a potem dodał gazu, ale przecież tam się absolutnie nie da wjechać i mimo to jesteśmy przy wodzie, wyskakujemy, nikogo, nigdzie, nie ma nikogo naokoło i na rzece nie ma nikogo, wyciągamy trupa z folii, rymś do wody, folię w drugą folię, składamy to, udeptujemy, wrzucamy za fotel, to moment, i już jedziemy, znów pytanie mam: jak stamtąd wyjechać z powrotem?, a on wyjeżdża!, chociaż jak Boga kocham z tego nabrzeża wyjechać się za Chiny nie da, jeszcze tam postawili jakieś graty, skrzynki, przyrmy cegieł, paczki, zbuj wi co, stertę ławek parkowych, pełno, zbuj wi, kuźwa, ile desek, drzazg, patyków, wszystko toto takie niechlujne, warszawskie, połamane, przewrócone od burzy drzewo, a Paweł jedzie, walimy pod górę, Konwiktorską pod wjazd do Polonii, zostawiamy grata, zrzutka benzyny z zapalniczką, bucha płomień, deszcz to w strugach chowa, ale bryka się pali, biegiem do trasy Andersa dawnego Nowotki, w tramwaj i jazda naokoło miasta, a już słysząc wycie straży pożarnej, w samą porę znikamy, do placu Zawiszy, się rozdzielamy, jak było umówione, on na Ochotę, ja na Pragę, z Pragi na Żoliborz, i tak znowu przy placu Zawiszy, tak miało być, żeby jak ktoś mnie widział, to żeby myślał, że ja z Ochoty jestem, wywałam z wiaduktu na tory kolejowe rzeczy z plecaka, te folie, a leje dalej na łeb jak ze studni, zaczynam ze zmęczenia padać, dech mi zaparło, toteż podjeżdżam na Kercelak, siadam sobie kawałek dalej na słupku z łańcuchem, wyciągam nogi, leje, a ja się kiwam i coraz mi lepiej, kamień z serca, może on będzie teraz mój, po takich akcjach każą się nie wychylać z pół roku, rok nawet będzie u mnie na chacie siedzieć przyciszony, Pawełek mój, myślę, przyjdzie do mnie do domu, policzek ostry od nieogolenia, a to we mnie wszystko przestrasza na „dreszcze niespokojne potargały smak”, zrobię mu pstrąga bez ości w bulce, uwielbia pstrągi, pochłania pstrągi z jęczmikiem, robi mi się tak ciepło, czuję Pawła w ustach, gorąc, że deszcz paruje ze mnie jak z lokomotywy, no, no!, ja Pawłowi pojedę, oj, pojedę bez trzymanki, nie zamieni mnie na nikogo, widzę przecież, jak on lubi na mnie patrzeć, z dołu, z boku, patrzy i wciąga mnie do siebie, nawet nie wiem, co tam ze mną w głowie robi, mnie to nie obchodzi, nasza tajemnica, mam do niego miętę i sprowadzę kolesia, który mu odsprzeda na początek dwadzieścia gołębi, a skrzynię z siatkami i klatkami zrobi Franek z Grabiny, pięknie jest, dojeżdżam do bloku i widzę, że na balkonie nie ma materaca, który wyłożyłam rano, jak szłam do barku, tak ustawiłam, żeby wywietrzał, co, kurna, jest?!, cieknie ze mnie deszczówka strumieniami, czuję świeżość pod pachami, jestem już wykąpana, no tak, no to trochę zdenerwowana, bo czuję, że coś jest, kurna, nie tak, i niepewna jednak idę

na górę, szukam klucza w torebce na szyi, a tu drzwi niezamknięte, naciskam łokciem, wchodzę, z pepegów mi się leje pod wykładzinę, ale idę, bo dziwne, zamykałam to na cztery spusty, a otwarte jest, wchodzę do pokoju i zajeżdża mi wymiotami, krwią i świeżym szambem, poczułam, że jest źle, padam na kolana, padam ryjem na podłogę, na łóżku leży Paweł, a przy łóżku ogromna kałuża krwi i Paweł ma w brzuchu nóż, sterczy mu bez ruchu, fiolet kiszek na wierzchu, Paweł trup i widzę, że rusza się obok mnie noga w czarnym trzewiku, nogawka w kant, policjant, staje bliżej, trąca mnie butem w głowę i pyta, a ja już mam oczy pełne łez i mi łyzy zalewają gardło i mówię: „Tak, to ja, ale nie wiem, kto to jest, tak, na moim, tak, na łóżku, nie znam go, czy on nie żyje? no tak, płaczę, bo ja się boję trupów, jak widzę trupa, to płaczę”, tak było wtedy w moim mieszkaniu na czwartym piętrze, jak on się tam znalazł?, znał adres i przysłali go do mnie?, szli za nim?, ale teraz są inne pytania, siedzę na dole, cztery lata za nami, Michałek ma już trzy i biega z kolegami, siedzę, beton mi się w tyłek wrzyna, faktycznie czas leci, dalej pracuję w barku Miklaszewskiej, ale oni nic nie wiedzą, dla nich nic się nie stało, złożyłam setki zapytań na komendzie, na prokuraturze, bez odpowiedzi, te gnojki z policji mają to głęboko wiadomo gdzie, w dupie, a nawet jak wiedzą, kto go zabił i za co, przecież robił tylko swoje, ale te bydlaki nie powiedzą, i my tak z Michałkiem musimy to znosić, ale ja jestem cierpliwa, oni muszą mi to powiedzieć, dlaczego i z czyjej ręki zginął Paweł Wróbel pseudo Frubi, Michałek jest jak kropla z jego kropli, a właśnie że nadal chodzę na makijaż i manikiur, i na farbę, i rozszerzyłam ofertę i na pedykiur teraz też chodzę, bo co będzie, jak on jednak pewnego razu nagle wróci, podejdzie do piaskownicy, wyciągnie Michała, postawi mocno na ziemi i powie: „Synku, to ja, twój ojciec, witaj na tym świecie!”, niech tylko w prokuraturze zamkną sprawę z rezultatem, z jakimś!, ja tylko mam metki z betów, które mi przywoził, „Stavera La Costa” ze spódniczki, tyle po nim zostało, „Bella Rosa” z bluzeczki, ale prawdy ci nie powiedzą, kobiety się nie liczą, o nie!, to ma być taka wolność kobiet, oni mają prawo pytać „o co chodzi”, my nie, my musimy nie gadać, tylko robić, ryc przy dnie, a ja głupia nie jestem.

Piotr Müldner-Nieckowski

Wiesława Oramus

Koncertowo

A jednak przyszli prawie wszyscy, żyjący. Dowiedzieli się o tym koncercie poświęconym pamięci Helenki, chociaż o tym, co się stało, dlaczego tak nagle zniknęła, przez wiele lat nikt nic nie wiedział.

Tamtego dnia zadzwoniła do niej, po kilku godzinach czekania, bo to miał być telefon od niej, z tą ważną informacją, a po prostu chciała się już położyć, bo wymęczyła ją tego dnia migrena. Odebrała jakaś kobieta i na jej pytanie odpowiedziała krzykiem:

– Nie, nie może pani rozmawiać z Helenką. – Przez chwilę sapała, jak ktoś po długim biegu, a potem wydusiła jeszcze z siebie, jakby uprzedzając wszystkie możliwe pytania: – Jutro też i w ogóle nie będzie z panią rozmawiać. – I się rozłączyła.

Następnego dnia i następnego nikt nie odbierał, a po tygodniu, dwóch słyszała już tylko: – Nie ma takiego numeru, nie ma takiego numeru.

Jedna ze wspólnych znajomych zapytana, czy wie, co to może oznaczać, stwierdziła ze spokojem: – Pewnie zmieniła operatora i numer, bo ma dosyć rozmów z różnymi takimi nekającymi ją.

Przeprosiła, że musi kończyć, ma mnóstwo pracy.

Chociaż ta znajomość z Helenką była dla niej zawsze taka raczej instytucjonalno-telefoniczna, przypomniawszy sobie, że kiedyś była u niej, a ściślej przed blokiem, w którym mieszkała, bo do mieszkania jej nie zaprosiła, ale dokumenty kazała przynieść pod ten adres. Czekwała o wyznaczonej godzinie na ławce przed klatką schodową. Dziwaczne to trochę było, ale dziwactwa w tym środowisku to prawie norma. Są nawet dobrze widziane.

Odnalazła ten budynek, klatkę schodową, kilka razy dzwoniła, wracała na ławkę, dzwoniła, ale nikt nie podszedł do domofonu.

Zadzwoniła do sąsiadów, zapytała:

– Czy może pani otworzyć, bo...

– Nie mogę, skąd mam wiedzieć kim pani jest.

Następna sąsiadka nie wiedziała, czy tam mieszka Helena S., kolejna też nie, kolejna, że nie zna żadnych sąsiadów, bo mieszka tu dopiero od

tygodnia, czwarta powiedziała, że nikt tam nie mieszka, kolejna, że mieszkała tu jakaś pani, ale często wyjeżdżała na długo, nawet na pół roku, a ostatnio jej nie widuje.

Przychodziła tam jeszcze kilka razy, wieczorem, widziała oświetlone okna na tym piętrze, ale do domofonu nikt nie podchodził.

Dzielnicy po wysłuchaniu jej wypowiedzi po kilku dniach zapewnił ją, że w tym mieszkaniu nic złego nikomu się nie stało, a więcej osobom postronnym nie może powiedzieć.

Instytucję, w której pracowała Helenka przed przejściem na emeryturę, poddano głębokiej restrukturyzacji, ludzie rozproszyli się. Czasami niektórych można było spotkać na ulicy, na przystanku, w sklepie.

Nic nie wiedzieli, pierwszy raz słyszeli, pamiętali, że jakieś tam problemy podobno miała, leczyła się, z głową to podobno coś miała, za kołnierz nie wylewała, ale fajna była, dała się lubić, chętnie by się spotkali, trzeba by się spotkać, powspominać.

Rozglądając się teraz po sali, nie dostrzegła nikogo z nich.

Byli też wspólni znajomi – niektórzy bardziej bliscy jej, niektórzy bardziej Helence – jej nawet bardzo bliscy, bo łączyło ich nie tylko miejsce pracy.

Z nimi kontakt był trudniejszy. Stawali się nagle tacy bardziej skłonni do komunikowania się niewerbalnego, prezentujący miny, postury, gesty, jak na szkoleniach z PR, albo jakieś indywidualne, ujawniające się w trudnych sytuacjach.

Hanka teraz nadyma policzki, wypina pierś, nie dostrzega nikogo, patrzy przed siebie, wygląda na współgrającą z fagocistą, rozgrzewającym się przed występem.

Bo orkiestra stroi instrumenty.

Zawsze lubiła tę swoistą kakofonię dźwięków – może najbardziej ze wszystkich części koncertu. Tak jak reakcje publiczności na wystawach – szczególnie tych określanych jako kontrowersyjne.

Hanka wtedy też nadymała się, mówiąc:

– Ja mam coś wiedzieć? Ja? Mnie nie interesuje jakaś tam Helenka, ja mam ważniejsze sprawy! Jestem ponad to!

Baśka siedzi obok jakiegoś faceta. Może to dlatego, a może z powodu wpatrzenia się we flecistę, wyjątkowo urodziwego, ćwiczącego swoją partię solową, samotny wśród innych muzyków, doprowadził ją do tego śmiechu. Ten jej śmiech – piskliwy – dla niektórych gorszy do zniesienia niż pocieranie styropianem po szybie.

Tego dnia zakręciła się jeszcze jak fryga i pobiegła do kogoś stojącego na schodach, prosto w jego ramiona, nie zdobywszy się na żaden artykułowany dźwięk, zapytana, czy wie, co się dzieje z Helenką.

Zosienka, była asystentka, chyba ją dostrzegła, bo minę miała taką jak zawsze, gdy musiała oznajmić, że pani dyrektor nie ma, nie może przyjąć, nie wie, kiedy będzie to możliwe; trzymając palec blisko przycisku, blisko tego przycisku, wiedząc, jeżeli naciśnie, zaraz pojawi się ochroniarz.

Kto teraz ją chronił? A tak, daleko, bo daleko od niej, był szef, mianowany na to stanowisko zaraz po odejściu Helenki. Wraz z małżonką. Czujną jak zawsze, wypatrującą, czy nie ma w pobliżu jakiejś bylej lub aktualnej kochanki męża.

Helenka też była o to posądzana. Nasłuchiwała się... kim jest. Wielokrotnie!

To coś o nim miało być w tych dokumentach? Coś wymagającego interwencji kogoś z wyższych szczebli, które miała jej pokazać tamtego dnia, a wcześniej zadzwonić.

Jest i on! Znany ekspert, biegły sądowy, specjalista od wszelkich zawiłości psychiki ludzkiej, autor niezliczonych publikacji. Siedzi w rogu sali, skryty za filarem. Wie, że: „od kogoś takiego jak on lepiej trzymać się z daleka, bo nie wiadomo czego może się w człowieku doszukać”. Nie chce więc doszukiwać się, rzucać się w oczy?

Helenka natomiast uwielbiała go, bywał na jej imieninach, był podobno zawsze honorowym gościem – sam albo z kolejną panią jego serca. Chełpiła się tym.

A Magda była zdenerwowana, bo otwierała i zamykała torebkę, wkłada rękę, jakby czegoś szukała, a było to tylko takie grzebanie, takie jej natręctwo, jak pocieranie nosa, kręcenie guzika, czy coś tam jeszcze innego.

Tempo zamykania i otwierania torebki pięknie współgrało z tym, co artysta wydobywał ze swojego fortepianu. Dlaczego? Kto to wie.

Kryśka zawsze na jej widok uciekała, kiedyś omalże nie wpadła pod samochód, gubiąc swoje szpilki, jak przystało na światową kobietę, na dwunastocentymetrowym obcasie.

Dorota mimo zasłuchania, teraz w dźwięki wiolonczeli, miała łagodny wyraz twarzy, pasujący – jak mawiali złośliwi – do jej, mimo tytułów, umysłowości gimnazjalistki. Miała jednak i inną, którą mogła, pokazując ją nagle, z zaskoczenia, przerazić.

Tak było i wtedy, gdy zaczęła krzyczeć: – Ona, ona powinna się cieszyć, że nie podałam jej do sądu za tamten tekst, za to jak spaprała, napisała po

swojemu mój tekst. Mądrala! Tylko tyle o niej wiem, i nic więcej nie chcę wiedzieć.

Teraz siedzi obok Maćka, z którym zapewne łączy ją teraz wielka przyjaźń, dopóki, też zapewne nie okaże się, że ją skrzywdził, i pokaże mu, co to jest furia licealistki.

A on zapewne wszędzie opowiada, co jej załatwił, bo on był człowiekiem, który załatwia, nawet kiedy to jemu ktoś coś załatwił.

Kto komu załatwił staż w USA też było przedmiotem sporu między nim a Helenką, a byli tam oboje. W końcu wtedy ta instytucja wysyłała tam każdego, kogo mogła, oczywiście ze swoich, a to otwierało potem wszystkie drzwi.

A swoją drogą, ciekawe, kto ich tak pousadzał. Czy to tak zupełnie przypadkowo tkwią pośród innych, obcych, jak rodzinny w cieście?

Może to Dorotka załatwiała bilety? Lubiła takie zadania, bo zawsze miała jakieś pomysły na tworzenie czegoś, poprzez, dzięki czemuś coś się tworzyło.

Teraz miała lekko uniesione brwi, rozchylone usta, opuszczone powieki, co nawet specjalistom od PR mogło utrudnić rozpoznanie jej emocji, no ale w końcu sama była specjalistką od inteligencji emocjonalnej.

Nagle ożywiła się, ułożyła sobie rysy twarzy tak, żeby można było odczytać to jako powagę, szacunek, dla czegoś ważnego.

Na scenę wkroczył dyrygent. Zapadła cisza. Po chwili dyrygent obrócił się w stronę publiczności, złożył głęboki ukłon i powiedział, że zanim wkroczymy w świat muzyki, poprosi o kilka słów organizatorów tego koncertu.

Na scenę wszedł najważniejszy z najważniejszych tu. Długo mówił o zasługach Helenki, o tym, że jak każdy musiała zmagać się ze swoimi demonami, co nie odbierało w żadnym stopniu znaczenia i wartości jej życia i pracy. Co widzieli wszyscy zaprzyjaźnieni z nią, otaczający ją czułą troską do ostatnich, trudnych chwil, ciężkiej choroby, w szpitalnych murach, która mimo swego okrucieństwa nie odebrała jej godności, nie wpłynęła na ocenę całego jej życia, wszystkich zasług.

Pragnął podziękować wszystkim, a szczególnie najbliższej rodzinie za serce, poświęcenie.

Wyciągnął ręce, to był taki gest zapraszający. Na scenę weszła jakaś kobieta.

W imieniu rodziny podziękowała za pamięć o drogiej jej siostrze, pomoc w zapewnieniu jej dobrej opieki, ciągle pytania o stan jej zdrowia.

To był ten głos tamtej kobiety – krzyczącej, że nie porozmawia już z Helenką.

Na chwilę, z szoku, straciła kontakt z rzeczywistością, słyszała tylko szum w uszach i bicie serca.

A potem, potem był już koncert, to artyści budzili emocje, zarządzali nim.

A kiedy się skończył, na wszystkich twarzach widać był spokój, wyciszenie, jak po przejściu gwałtownej burzy.

Nawet oklaski były takie... delikatne.

Wyszła z sali ostatnia; oszołomiona, zdumiona, tym, że tak koncertowo można było rozegrać sprawę Helenki.

KONIEC

Wiesława Oramus

Antoni Pieńkowski

Kłosa, słupy soli

Mój ojciec Zygmunt, potomek starego szlacheckiego rodu, od pokoleń rozsiałego po szlacheckich zaściankach w tak zwanych widłach Narwi i Biebrzy, był jednym z pierwszych polskich opozycjonistów. Oczywiście nikt w całej rodzinie najprawdopodobniej nawet nie znał takiego słowa, ale to wszystko, co czynił po wojnie mój wspański ojciec, miało wszelkie znamiona – używając obecnie stosowanej terminologii – typowej działalności opozycyjnej.

Ojciec wszelkimi możliwymi sposobami walczył z władzą ludową, rzecz jasna cały czas mając rządy robotniczo-chłopskie – najdelikatniej mówiąc, w głębokiej pogardzie. Panisko na prawie siedemnastu hektarach nijak do tej nowej władzy nie pasował. Rządzący popierali wiejską biedotę, roztaczali ochronne parasole nad bezrolnymi, a nawet wspierali tych, którym nijak nic w życiu nie wychodziło z bardzo prozaicznej przyczyny: piasku w rękawach.

Bez najmniejszej odrobiny przesady można powiedzieć, że z władzą ludową żył na bakier. I to już od pierwszych początków jej powstania, a właściwie zainstalowania się w naszym pięknym kraju. Jako właściciel ziemi nijak nie pasował do nowych – jak pisano – socjalistycznych realiów. Wspierał więc partyzantów kryjących się w okolicznych lasach. A ci dziękując za okazywaną pomoc, najczęściej żywnościową, bili się w piersi dłońmi zsiniałymi od mrozu, żegnali się raz po raz, zapewniali, że właściwa władza przyjedzie z daleka na białym koniu, a wtedy z powrotem będzie tak, jak było przed wojną.

Ale tymczasem nowa władza coraz bardziej zaciskała z pozoru niewidzialną obręcz nienawiści i wściekłości wobec takich jak mój ojciec. Straszyla, nękała, najeżdżała. A najchętniej wymierzała podatki i obowiązkowe dostawy tak wysokie, że gdyby nawet na jednej łodydze rosło dziesięć kłosów, to i tak plonów nie starczyłoby na wywiązanie się z wszelkich zobowiązań wobec państwa.

Takich jak mój ojciec szybko w pośpiechu okrzyknięto kułakami. Był to okrutny, straszny epitet. Kułak – jak mówiono w radio i pisano w gazetach – był zakałą władzy ludowej, wrogiem władzy budującej dla wszystkich raj na ziemi, przeklętym burżujem, niegodnym, aby chodzić po socjalistycznej

ziemi. W kułaku – a to było chyba najgorsze – dostrzegano sprzymierzenia zachodnich imperialistów. A takich wrogów władzy – podobno z nadania robotników i chłopów – chciano, i to jak najszybciej, zmieść z powierzchni ziemi, a nawet wypalić ogniem, tak, aby nawet jeden nie ocalał.

Rządzący – i to zaraz od pierwszych miesięcy – szybko zyskali dyspozycyjnych sprzymierzeńców, często bardzo gorliwych. Najczęściej byli to właściciele bardzo małych kawałków ziemi. Teraz oni okazali się bardzo potrzebni. Szczuli na kułaka, patrzyli na niego z nienawiścią, z pogardą. Chodzili po tak zwanych kułackich gospodarstwach, zabawiali się w agitowanie do spółdzielni produkcyjnych, przekonywali, że tylko wtedy będzie dużo żywności i każdy będzie mógł jeść tyle ile zechce. Jednym słowem, wspierali Polskę Ludową jak tylko potrafili.

Pewnego dnia – a było to w pierwszych tygodniach mroźnej zimy – ojciec wrócił z jarmarku rozpromieniony.

– Co cię tak rozbawiło? – zaciekała się matka.

– Chodzą plotki, że ten rząd pojedzie do Moskwy – ojciec uśmiechnął się tajemniczo. – Oj, słuchaj, ludzie głupstwa gadają... Kto raz dorwał się do korytka, to tak łatwo go nie opuści.

– Ale oni sami zasiedli do tego korytka... – przypominał ojciec.

– Oj, ty nie wierz w takie bajki... Ktoś ich posadził przy korytku...

– Podobno bardzo są z siebie dumni... – dodał ojciec.

– Ten, kto nosi głowę zbyt wysoko i sam siebie chwali, jest złym człowiekiem...

– Oj, co ty tam wiesz... To wszystko są tylko plotki. A władzy to oni nie oddadzą... – ojciec uśmiechnął się.

– Pożyjemy, zobaczymy... – matka pojednawczym tonem zakończyła dyskusję.

Po kilku tygodniach siarczystych mrozów i zwałów śniegu sięgających aż do parapetów, nadeszła z utęsknieniem oczekiwana wiosna.

Wszystko zazieleniło się, rwało się do życia. Rodzice z ochotą zabrali się do roboty w polu i zagrodzie. Cały czas mieli nadzieję, że rządzący pójdą po tak zwany rozum do głowy i obowiązki wobec państwa ustalą na normalnym poziomie. Ale nic takiego nie nastąpiło. Nienawiść do kułaka zamieniała się w rosnącą falę wściekłości, a ta przejawiała się w kolejną coraz bardziej perfidną litanię ordynarnych epitetów.

Któregoś dnia, na początku czerwca, odwiedziła nas sąsiadka.

– Ten mój na jesieni wywiozł z pola wszystkie kartofle na plan. A teraz nie mamy co włożyć do garnka... – łzy zaszkliły się w jej oczach.

– Antek, przynieś kosz kartofli z piwnicy – rozkazał ojciec.

Wkładałem do kosza ziemniaczane bulwy w ciemnościach piwnicy, mozolnie układając je w wysoką piramidę, aż po sam kabląk kosza, ale przy najmniejszym poruszeniu spadały z powrotem na pryzmę. Rozzłościło mnie to, kilka leżących obok ziemniaków wsunąłem do kieszeni, a kiedy wchodziłem do domu ostrożnie jeszcze raz ułożyłem je na wierzchołku kosza. Sąsiadka bardzo ucieszyła się, widząc pękaty koszyk okrągłych bulw. Ucałowała mnie z rozpędu w czoło, przytuliła do siebie, z rozrzewnieniem poklepała mnie po ramieniu, życząc, abym wyrósł na prawdziwego mężczyznę.

Ta scena z wczesnego dzieciństwa często stawała mi przed oczami przez całe minione życie, zwłaszcza wówczas, kiedy mocno doświadczał mnie tak zwany los.

Tedgo samego roku (akurat skończyłem pięć lat) zdarzyła się jeszcze jedna smutna historia.

Coraz częściej na podwórku pojawiali się przedstawiciele miejscowej władzy. Najczęściej byli to sąsiedzi albo mieszkańcy pobliskich wsi, którzy z racji posiadania niewielkich gospodarstw, stali się gorącymi wielbicielami nowego ustroju. Zdarzało się, że ojciec wracał z jarmarku, wjeżdżał na podwórko, a tuż za nim pojawiali się na sfatygowanych rowerach z nieodłącznym zeszytem w kratkę wciśniętym za cholewę gumowych butów komornicy, nazywani według nowego nazewnictwa sekwestраторami.

Tego dnia ojciec był bardzo oburzony ich niespodziewaną wizytą. Rzucił im pod nogi ciągle reperowaną uprzęż.

– Zabierajcie i to! Mam dosyć waszej ludowej Polski! – spurpurowiał z gniewu.

Obydwaj panowie zaniemówili, długo stali nieruchomo, patrzyli na czubki swoich gumowych butów, sprawiali wrażenie osobników, którzy zapomnieli nie tylko po co przyszli, ale nawet jakie mają imiona i nazwiska.

Kopalnia tematów

Tego roku nie pojechałem na pochód pierwszomajowy. Przyczyna była iście prozaiczna: od rana mocno przygrzewało słońce, poza tym wiosna była opóźniona, deszcze padały od trzech tygodni, a ziemia dookoła domu starannie skopana szpadlem niecierpliwie czekała na nasiona. Poranna krzątania w ogródku, robienie poletek pod różne uprawy, wyrównywanie

powierzchni, a wreszcie rzucanie prosto w mokrą głębę mikroskopijnych ziarenek marchwi, buraków, pietruszki, zaabsorbowały mnie tak mocno, że w pewnej chwili odruchowo wykonałem ręką w powietrzu gest rezygnacji: dzisiaj nigdzie nie jadę!

Po chwili jednak coś znieenacka mocno zakłóciło mój spokój, jakiś lęk zakiełkował gdzieś głęboko w mózgu, a po kilku minutach na dobre rozgościł się w każdej komórce mojego dosyć okazałego ciała. Staralem się go unicestwić, nawet przez moment byłem gotowy cisnąć w kąt szpadel, grabie, motyczkę i inne narzędzia, szybko wskoczyć w garnitur, założyć krawat na gumce, wsiąść w samochód i czym prędzej pędzić na miejsce pierwszomajowego pochodu, na którym miała dzisiaj się zebrać cała redakcyjna ferajna.

Zerknąłem na zegarek i zdębiałem: jeśli nawet pojadę, to i tak nie zdążę na zbiórkę wyznaczoną na godzinę dziesiątą. Jeśli dotrę pół godziny później, koleżanki i koledzy będą już licytować się, kto ma większe odciski na dłoniach od dźwigania transparentów, a do mnie w dodatku przyłgnie jeszcze opinia marudera. Tego bałem się niczym przysłowiowy diabeł święconej wody.

Pod wieczór z nieukrywaną dumą obszedłem cały ogród, świeża ziemia parowała, błyszczała w promieniach gasnącego słońca, chwilami zdawało mi się, że słyszę odgłosy pęknięcia nasion włożonych do spulchnionej gleby.

Następnego dnia, trochę z duszą na ramieniu, o całą godzinę wcześniej niż zwykle, przekroczyłem próg szklanego seledynowego gmachu w centrum stolicy.

W dwie godziny później rozdzwoniły się redakcyjne telefony. Współpracownicy z odległych województw i powiatów radosnym głosem informowali, że nadali już faksy ze sprawozdaniami z pierwszomajowych pochodów, które odbyły się wczoraj w ich miejscowościach.

– Panie redaktorze, u nas mimo ulewnego deszczu przyszły tłumy! – pełnym werwy głosem informowała korespondentka z Rzeszowa.

W Zielonej Górze przyszli tylko starsi, młodzież totalnie olała uroczystość – rubasznym śmiechem przeplatał rozmowę przedstawiciel redakcji w tym mieście.

– Przepraszam, ale trochę dzisiaj zasnę po wczorajszym dniu pełnym wrażeń i dopiero za pół godziny nadam relację – oschły, służbowy ton brzmiał w głosie pracownika gazety z dalekiego Szczecina.

Pocieszałem współpracowników miłym, dobrym słowem, dziękowałem za szybkie przekazanie informacji, a w momentach kiedy stojący

przede mną na biurku aparat milczał przez długie minuty, czułem strużkę potu ciekącą po własnych plecach.

Tego dnia bardzo często – aż za często – zerkałem na cyferblat zegarka. Wskazówki przesuwaly się bardzo powoli, leniwie, dzień pracy dłużył się w nieskończoność, bywały takie chwile, że byłem gotów w geście bezsilnej rozpaczycy energicznie przesunąć wskazówki do przodu, aby jak najszybciej wyjść na ulicę. Był to niewątpliwie najdłuższy dzień pracy w moim całym życiu, każda jego minuta mocno wbijała się w mózg, na trwale zapisywała się w kliszach pamięci. Kiedy po raz osiemdziesiąty piąty, a może i sto szósty zerknąłem na zegarek z nieukrywana euforią skonstatowałem fakt, że pozostało już tylko niecałe dwadzieścia minut do końca dnia pracy, czyli do godziny piętnastej.

Nieśmiało weszła do pokoju redakcyjna sekretarka, pani Krysia, położyła przede mną kolejny plik informacji z kilku województw o wczorajszym pierwszomajowym dniu, bezszelestnie wyszła na korytarz.

Z zapaląłem zabrałem się do szlifowania tych hurraoptymistycznych tekstów, skracałem je, stawiałem kropki, przecinki, rozdzielałem na akapity, wymyślałem tytuły. Wieści z terenu nadsyłałi bowiem często domorośli dziennikarze, niektórzy nieraz jednak pisywali tak pięknie, że aż drżała ręka zawodowego redaktora przy ich adiustacji. Byli na pewno zadowoleni i chyba dumni z faktu, że co pewien czas ujrzą swoje nazwisko w gazecie, że z niezwykłą skrupulatnością wymieniali ilu mężczyzn, ile kobiet, a nawet ile dzieci brało udział w pierwszomajowym przemarszu przez miasto. Ja oni to liczyl? – zastanawiałem się nieraz czytając te elaboraty, zapewne popełniane w pocie czoła. Zdarzało się, że ten ich zachwyty doprowadzał niejednego redaktora do szewskiej pasji, czego wymiernym efektem – w dodatku widocznym gołym okiem – było tak zwane robienie mapy z nadsyłanych tekstów. Na szczęście nie zdarzyło się mnie ani razu, aby któryś ze współpracowników chwycił za telefon i zrugął ostro redaktora w stolicy za nadmierną pracowitość.

Wieści z terenu były tego dnia napisane z takim zachwytem, że aż w pewnej chwili ogarnął mnie żal, że tych pochodów nie widziałem na własne oczy.

Przestałem nawet przez pewien czas uporczywie zerkać na zegarek. Znienacka zadzwieczęał telefon. Cicho, jakby przyjaźnie.

– Panie redaktorze, szef prosi pana – sekretarka szefa starała się mówić przymilnym, kokieterijnym głosem.

Po chwili na nieco drżących nogach wszedłem do obszernego gabinetu. Szef zerwał się na nogi, poczułem lekki uścisk jego masywnej dłoni,

spojrzałem na mięsistą twarz, okazałą posturę systematycznie zasilaną w składniki pokarmowe z wyśmienitych kiełbas kupowanych w niedawno otwartych komercyjnych sklepach mięsnych. Pulchne policzki naczelnego redaktora nagle zamieniły się w ciemnopurpurowy supeł mięśni.

– Dlaczego nie był pan na pochodzie? – pytanie padło nagle jak grom.

– Źle się czułem. Coś ostatnio boli mnie kręgosłup – wypaliłem, ale zatrwożonym głosem, czując że lekki rumieniec wykwitł na mojej twarzy.

– Kręgosłup? Hm.... Kręgosłup... A no tak, kręgosłup... Akurat pierwszego maja? Feralny dzień. Wszyscy idą w pochodzie, manifestują, że mają odpowiednio wyprofilowane ideologicznie kręgosłupy, a tu proszę, proszę... Początkującemu redaktorowi poważnej gazety akurat nawalił kręgosłup. Akurat pierwszego maja... – kpił z szyderczym uśmiechem.

Szef koniuszkami placów uderzał w blat biurka, a mnie wydawało się, że ciska w nie całkiem sporymi kamieniami.

Szperał oczami po mojej twarzy, spuścił trochę niżej, aż na moje buty, tak jakby na ich czubkach szukał śladów po tym, co robiłem wczorajszego dnia. Ale widocznie nie dostrzegł najmniejszych okrucich wilgotnej ziemi z mojego przydomowego ogródka. Po chwili uniósł się lekko na fotelu, ciężkim, jakby odrobinę bezradnym gestem położył ręce na blacie biurka, spojrzał mi prosto w oczy, chyba szukał w nich całej prawdy o dniu pierwszego maja. Wreszcie ciężko westchnął, zdjął swój przenikliwy wzrok z mojej mocno wystraszonej twarzy, poruszył ustami, chyba pragnął coś powiedzieć, ale nie wydobył z siebie ani jednego, nawet najkrótszego słowa.

– Dobra... To pogadaliśmy... A jak tam korespondencje z terenu? – błyskawicznie zmienił temat.

– Wszystkie już zesłałem do drukarni – odpowiedziałem tonem żołnierza, który codziennie rano melduje przełożonemu wykonanie rozkazu.

– O, to dobrze, czytelnicy czekają na kolejny numer gazety – błysnęła oczami. – Teren, trzeba ruszać w teren. Tam jest kopalnia tematów – zamruczał.

Z radością, wręcz niemożliwą do opisaną, cichutko wymknąłem się z obszernego gabinetu naczelnego redaktora, zamaszystym ruchem dłoni zsunąłem z biurka wszystkie papierzyska do szuflady, z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku niemalże tanecznym ruchem wybiegłem na tętniącą gwarem śródmiejską ulicę. Byłem tak szczęśliwy, że momentami wydawało mi się, że wszystkie kobiety idące z naprzeciwka patrzą z zachwytem na moją roześmianą twarz, podziwiają taneczny chód, a te najpiękniejsze

gotowe są na jedno moje kiwnięcie palcem ucałować mnie nawet z tak zwanej dubeltówki.

A za kilka dni okazało się, że szef za swoimi pulchnymi policzkami i również dobrze prezentującymi się innymi fragmentami ciała ma jeszcze coś, co jest niewidoczne nawet przy najbardziej uważnym patrzeniu w jego niebieskie oczy.

Którego dnia, bodajże trzeciego z kolei po pierwszomajowych manifestacjach, w obecności prawie całego zespołu redakcyjnego, rzucił półgębkiem, ot, tak jakby od niechcenia, w kierunku sekretarza redakcji: – Panie Florianie, proszę, niech pan pamięta... Jeżeli ktoś nie był na pochodzie, nie życzę sobie ujrzeć napisanego przez niego tekstu w gazecie... I to nawet przez trzy miesiące. Nawet gdyby był to tekst genialny... Proszę pamiętać o tym, panie Florianie...

Pan Florian ze zrozumieniem pokiwał głową, szybko usiadł za biurkiem i niezwłocznie przystąpił do czytania i segregowania tekstów napisanych do kolejnego numeru gazety.

Gruszki przez całe lato

Przyszywany dziadek Piotr (ojciec pierwszej, nieżyjącej żony mojego ojca) bierze mnie za dłoń, prowadzi do sadu.

Najbliżej domu, w odległości nie większej niż sześć metrów, rośnie olbrzymia grusza. Jest to nadzwyczajne drzewo: od pierwszych dni lipca aż do końca września zrywamy z niego dorodne smakowite owoce. Najpierw są grusze lipcówki, nieduże z lekko zażółconą skórką, miękkie, soczyste, bardzo smaczne.

Ale te gruszki są zaledwie na dwóch gałęziach. Na sąsiednich wiszą też podobnie wyglądające owoce. Nieraz z ciekawości zrywam któryś z nich, wbijam zęby w ich twardą skórę, szybko odrywam od ust i ze złością cisnę skąd popadnie. Kolejnego dnia, a już zwłaszcza wtedy, kiedy zrywamy ostatnie lipcówki, rośnie moja ciekawość i próbuję owoców z prawie wszystkich gałęzi. Są one obficie obsypane podłużnymi owocami, uginają się aż do ziemi, sięgam po nie z drewnianego stołka, albo z podskoku. Przykucam do ziemi, naprężam mięśnie, jak piłka podskakuję do góry, chwytam za którąś z gałęzi, trzymam z całej siły i przyciągam do ziemi. Ale scenariusz się powtarza, owoce są kwaśne, cierpkie, twarz wykrzywia się w nieartykułowanym grymasie, ręka wyciąga się na całą długość

i nagryziona gruszka ze świstem przelatuje przez liście sąsiednich drzew i ląduje gdzieś daleko na trawie.

Mimo to apetyt na pałaszowanie kruchych i słodkich gruszek rósł z każdym dniem. Nogi same podskakiwały w górę, a ręka wyciągała się wysoko, coraz wyżej. Zakazany owoc, a intuicja szeptała na ucho, że jest on już na pewno dojrzały, wisiał wysoko i za żadne skarby nie pozwalał się przygiąć do ziemi. Pewnego dnia wymyśliłem na to niezawodny sposób. Chwytałem bosak wiszący pod dachem stodoły, naprężyłem wszystkie mięśnie nóg i rąk, przynosiłem go do gruszkowego drzewa. Długi, dosyć masywny kij, zakończony wyklepanym przez kowala zagiętym ostrzem, nie pozwalał mi się jednak podnieść do góry.

Był za ciężki, ja z kolei – najzwyczajniej w świecie – byłem za mały, za słaby.

Po kilku próbach udało mi się koniec bosaka, i to ten ze szpikulcem na końcu, oprzeć o jedną z najgrubszych gałęzi. Byłem dumny ze swojego wyczynu, jeden rzut oczu na wzniesiony do góry kłoc drewna dodawał sił. Tego dnia był to jednak koniec moich wyczynów. Podnosiłem jeszcze kilka razy ten sprzęt do ewentualnego gaszenia pożarów, a taki był wtedy w każdym gospodarstwie, ale rezultat moich wysiłków był bardziej niż mizerny. – Spróbuję jutro, z samego rana – postanowiłem.

I rano udało mi się dosięgnąć drągiem z zagiętym szpikulcem do kolejnego, znacznie wyższego konaru. Do brązowych gruszek wiszących niedaleko czubka drzewa i tak było jednak jeszcze dosyć daleko. Tego dnia nie marnotrawiłem już zapasów sił do dalszego podnoszenia całkiem ciężkiego drąga. Byłem pewny, że uda mi się to następnego ranka, kiedy mój młody organizm wręcz rozsadzać będą siły vitalne.

Po trzech kolejnych pracowitych porankach szpikuliec bosaka zaczępił o miejsce moich westchnień – solidną gałąź obsypaną brązowymi gruszkami. Szarpnąłem raz, drugi, trzeci, czwarty... Całą gruszą zatrzęsło, ale na ziemię nie spadł nawet jeden owoc. Targnąłem jeszcze raz z całej siły, drąg przesunął się, z łoskotem spadła cała chmara liści. Rzuciłem się na ziemię, przeczesywałem bujną trawę palcami, obmacywałem każdy liść, ale ani jedna gruszka nie spadła z drzewa.

Czułem się pokonany.

Grusza pięła się dumnie prosto w niebo. Kiedy kierowałem oczy, aż na jej sam wierzchołek, odnosiłem wrażenie, że urosła przez ostatnie kilka dni i teraz z jeszcze wyższego wierzchołka patrzy na mnie z góry i naigrywa się z moich heroicznych, ale i tak bezowocnych wysiłków.

Poskarżę się na ciebie gruszo... Powiem o tym wszystkim dziadkowi Piotrowi – zbawcza myśl niespodziewanie zaświtała mi w głowie.

I oto za kilka dni rano obydwaj idziemy do sadu. Jest bardzo wcześnie, wokół cisza, spokój rozlewa się po okolicznych polach.

Kukulka odzywa się w pobliskim lesie.

Mój kompan chwyta się za kieszeń, po raz kolejny przypomina mi, że kukulce nie można dać się okukać. Jeśli nie ma się grosza w kieszeni, trzeba chociaż jak najszybciej zacisnąć palce nawet na pustej kieszeni. Jeśli się tego nie robi, trzeba czuć się okukanym, a to przynosi przykre konsekwencje: zagości bieda, pieniądze nie będą trzymały się kieszeni, na dom i rodzinę może spaść niezliczona ilość nieszczęść.

Przybrany dziadek mówi te życiowe prawdy mentorskim tonem. Od czasu do czasu na krótko zawiesza głos, czoło mu się marszczy, co jest oznaką, że nad czymś głęboko rozmyśla. Wreszcie zatrzymuje się wpół kroku, patrzy mi prosto w twarz, unosi do góry prawą dłoń, kiwa placem, mówi: – Pamiętaj o tym! Przez całe życie.

Z ochotą potakuję głową, czynię to tym chętniej, że kukulka odleciała już daleko.

– Powiedz, dziadku, jak to się stało, że gruszka rodzi owoce o różnych smakach?

Staruszek cieszy się jak małe dziecko, mocno ściska moją małą dłoń.

– Tamten staruszek, kiedy zaszczeplił na drzewie klony różnych odmian gruszek, powiedział, że to, co życie przynosi nam w darze, trzeba rozmnażać, pomnażać, aby dawało to jeszcze więcej radości – w głosie dziadka zabrzmiał głos kaznodziei.

– I ty pomnażaj to, czym obdarzy cię życie. Pamiętaj! – rozkazujący ton zabrzmiał w jego głosie. Po chwili wahania dodał: – Jak będziesz pomnażał dary życia, inni będą ci zazdrościć. Będą i tacy, którzy cię za to będą nienawidzić. Ale ty rób swoje... Pomnażaj to, co życie przyniesie ci w hojnym darze. Będziesz tak robił? – zaciekał się.

– Będę! – odpowiedziałem głosem łamiącym się ze wzruszenia.

Jak na prawdziwych mężczyzn przystało, mocno uściśliśmy sobie prawe dłonie.

Staliśmy pod wysoką gruszą, na jej gałęziach zieleniły się dorodne gruszki, a na jednej z nich, mocno przygiętej do ziemi pod ciężarem owoców, czekały na nas pyszne cukrówki, pierwsze dojrzałe gruszki tegorocznego lata.

Przyszywany dziadek Piotr co roku, już w pierwszych słonecznych dniach czerwca skoro świt, chodzi do gruszy, staje przy jej najniższej gałęzi, ostrożnie rozgarnia liście, dotyka owoców, głaszcze je, nachyla się, przygląda się im dokładnie, szuka pierwszych oznak zażółcenia. Aż wreszcie któregoś dnia, po dwóch, a nawet trzech tygodniach, triumfalnie wraca do domu, a właściwie wbiega, trzaska drzwiami, wyjmując z kieszeni kilka żółtych gruszek, kładzie je na stole.

– Moja gruszka już obdarzyła nas owocami! – obwieszcza donośnym głosem, w którym mocno czuje się triumf okraszony dumą.

Bierze z kredensu czysty talerz, chwyta za swój mocno wyszczerbiony scyzoryk, zdejmując z owoców skórkę pachnącą wszystkimi woniami lata, kroi owoce na części, bierze talerz do ręki, chodzi po domu, częstuje wszystkich. O, jakie pyszne! I jakie słodkie! Ho, ho, dzisiaj szesnasty czerwca, a my już mamy pierwsze gruszki! Mlaskamy, chwalimy, chrupimy smakowite kawałki. Dziadek Piotr nie spuszcza oczu z naszych twarzy, wypręża się, jego twarz nabiera rumieńców, bije duma nawet z każdej zmarszczki na czole.

– Idę jeszcze raz po gruszki – zrywa się na nogi, znika za drzwiami.

Cały dzień mija szybko, jakby gdzieś pędził na oślep, przed siebie. Dziadek chodzi z dumnie wypiętą piersią jak żołnierz idący na wartę, jego kroki rytmicznie dudnią po domu, często potrząsa głową, odrzuca bujne siwe włosy opadające mu na czoło, czuje się bohaterem. Ojciec chodzi po podwórku energicznie, chyba przypomniał mu się czas, kiedy był bardzo młody, cieszył go najmniejszy drobiazg, mówi, że skoro dojrzały już pierwsze gruszki, to najwyższa pora rozpocząć przygotowania do zniw. Zdejmując kosę z drzewa, stawia między nogami słupek z wbitą pośrodku babką służącą do klepania kos, rytmiczne stukanie młotka o stępione ostrze niesie się daleko. Matka krząta się przy kuchni, tak jak każdego dnia, co pewien czas zerka na kolejny stos gruszek ułożonych na talerzu stojącym pośrodku stołu, bruzda przebiega przez jej czoło, zamyśla się, mówi – Gruszki dojrzały, jesień blisko. Po tych słowach niewidzialny powiew melancholii roznosi się po całym domu, odnosi się wrażenie, że rozgascza się we wszystkich kątach, zadomawia się, skutecznie wypiera z nich igrające intensywnym blaskiem promienie słońca.

O zmroku dziadek Piotr wreszcie siada wygodnie na krześle, nogę na nogę zakłada zdecydowanym ruchem, kładzie dłonie na prawym kolanie, mruży oczy, marszczy czoło.

– Teraz będę już codziennie każdego dnia z samego rana przynosił gruszki. Na różnych gałęziach są wszczepione inne odmiany. Będą konferencje, lukasówki, bergamoty... A i jeszcze jakaś inna odmiana... Ale jej nazwy już nie pamiętam... Bardzo późna, jesienna...

Opowiada, że w trzecim roku po wojnie mieszkał u nas przez cały miesiąc pewien człowiek z miasta. Ukrywał się, mówił, że wcześniej mieszkał w Łomży, ale chyba nigdy nie wyjawiał swojego prawdziwego imienia i nazwiska. Prosił, aby mówić do niego panie Krzysiu. Chodził po okolicy o świcie i po zmierzchu, spacerował po lesie, siadywał na pniach po wykarczowanych olszynch nad strumieniem. Starał się, aby nigdy nie spotkać się z kimś, sprawiał wrażenie człowieka czymś bardzo przestraszonego. Potem pojechał ze mną w nocy na jarmark. Kiedy odchodził, powiedział, że dziękuje za gościnę i za jakiś czas czymś się odwzajemni. Pojawił się dopiero za rok, powiedział, że umie szczepić drzewa owocowe, przywiózł ze sobą wiotkie pędy, no i zaszczepił kilka takich pędów na tej młodej gruszcze na brzegu sadu.

– O, to był uczciwy człowiek – ocenia ojciec.

– Podziękował za odwagę – dodaje matka.

Dziadek Piotr zamyśla się, marszczy czoło, patrzy na świeżo wyszorowane deski podłogi, przenosi wzrok od sęka do sęka, wzdryga się, schyla się niżej, czegoś szuka oczami, penetruje wzrokiem kolejne deski. Zapada długie milczenie, nikt nie ma odwagi zakłócić tej sentymentalnej ciszy, bo każdy z nas: matka, ojciec, ja – doskonale wiemy, że nasz sędziwy lokator jest do reszty pochłonięty rozpamiętywaniem czasu, który minął bezpowrotnie. Pochyla się jeszcze bardziej, chowa głowę w ramiona, kierujemy oczy na niego, zatroskani o to, aby zbyt nie rozrzewnił się, bo wtedy – a to zdarzyło się już kilka razy – z jego ust wydobędzie się łkanie, a z oczu popłyną łzy. Boimy się, aby tak się nie stało, bo będzie to widocznym znakiem, że stan zdrowia najstarszego mieszkańca naszego domu pogarsza się, a to może w każdej chwili przynieść dla nas kolejne traumatyczne przeżycia.

Ale dziadek Piotr znienacka podrzuca głowę do góry, zrywa się na nogi, prostuje się, wypina pierś, poprawia włosy, obciąża marynarkę.

– Czas spać... Kiedy tylko zapieją pierwsze koguty... pójde po gruszki... – oznajmia triumfalnym głosem.

Antoni Pieńkowski

Alicja Patey-Grabowska

Pożółkła fotografia

Czy ta mała dziewczynka w krótkiej do kolan sukience w groszki obramowanej przy szyi okrągłym kołnierzykiem bebe, białych pończoskach, czarnych półbucikach z klamerkami po bokach, ciemnych włosach przyszytych na pazia z równo przyciętą grzywką zasłaniającą czoło i ogromną kokardą na czubku głowy, czy ta mała dziewczynka o pyzatej buzi i dużych, bystrych oczach spoglądających prosto w obiektyw, czy ta mała dziewczynka na pożółklej fotografii – to ja? – myślała Wanda trzymając w drżącej dłoni zdjęcie wyjęte z albumu w skórzanej oprawie, który dostała niegdyś od nieżyjącej już kuzynki.

Przymyka oczy i widzi tę małą dziewczynkę chwytającą kurczowo rękaw matki. Obok babcia podpierająca się laską. Mama na plecach dźwiga tobołek tak jak wszystkie kobiety objuczone torbami. I dzieci, dużo dzieci, na rękach kobiet, tupiących obok, mężczyzn mało... I tłum, tłum...

Skąd się wzięli ci ludzie, skoro wszystkie domy płoną – i te zburzone, i te podpalone miotaczami ognia. Skąd wyrosli? Z piwnic? Ze zgliszcz?

Idą i idą, ulicą Podwale, Krakowskim Przedmieściem i dalej, ponaglani gardłowym krzykiem: „Schnell, schnell...”, ujadaniem wilczurów, tych potworów rzucających się na ludzi, szarpiących ubrania, kąsających nogi ostrymi jak brzytwa zębami.

Przechodzi obok leżącej, przepołowionej kolumny króla Zygmunta. Jego twarz z bródką szpiczastą zwróconą do nieba jakby przepełniona grozą, widokiem niepojętym, on, zwycięzca, leży upokorzony, spowity dymem i płaczem swojego ludu – ale ona tak wtedy nie myślała. Spoglądała z zacięciem na twarz, której dawniej nie mogła dostrzec z chodnika, bo sięgała prawie chmur. Zadzierzała głowę, mrużyła oczy, z ramion matki będzie wyżej, może zobaczy, przyjrzy się królowi, który trzyma w ręku krzyż – ale nic z tego.

Teraz może nachylić się, dotknąć jego twarzy.

– Schnell, schnell! – słyhać krzyk.

– Wando, nie zatrzymuj się. Nie stawaj.

Mama pociąga ją za rękę. Idą, idą – wśród ognia, trzasku, huku.

I czarna plama. Co dalej?

Wielka hala. Betonowa podłoga. Tłum ludzi. Krzyk. Gwar. Płacz dzieci.
– Usiądźmy przy ścianie – mówi mama do babci.

Betonowa podłoga zimna. Ciało przenika dreszcz. Jest głodna, złąkniona. Usta spieczone.

Mama dotyka jej czoła.

– Boże, chyba jesteś chora, córeczko?

– Czy jest tu jakiś lekarz? Pielęgniarka?

To obóz w Pruszkowie. Duląg 121.

I znowu w pamięci czarna plama.

Rauss, rauss, schnell – krzyki. Ujadanie psów.

Tory kolejowe. Do którego pociągu iść? Do tego z lewej? Z prawej?

Tłumek popycha. Płacz dzieci. Nawoływanie kobiet.

Większość kieruje się w lewą stronę. Wybierają ten pociąg, bo towarowe wagony zakryte. Będzie cieplej. Bezpieczniej.

Mama się waha.

– Do którego pociągu? – pyta babcię.

– Opatrzność wskaże – mówi babcia.

Mama odwraca się w lewą stronę. Pociąga małą Wandę za rękę. W tym momencie podbiega niemiecka pielęgniarka. Wysoka blondyna z opaską czerwonego krzyża na rękawie fartucha.

– Nein – mówi.

– Warum? – pyta mama.

Pielęgniarka popycha babcię, mamę i Wandę trzymającą się kurczowo dłoni matki, w prawą stronę.

Już nie można się cofnąć. Tłum napiera.

Ktoś pomaga babci wdrapać się do wagonu. Wrzuca laskę. Mama podsadza córeczkę. Jest już mama. Dużo kobiet z dziećmi. Wszyscy siedzą ściśnięci na podłodze wagonu. Nad nimi rozśłonecznione, błękitne niebo. Krążą ptaki.

Gwar. Płacz. Krzyk. Turkot pociągu. Jadą. Dokąd?

Teraz, z perspektywy czasu, Wanda wie, że zostały uratowane. I to przez Niemkę. Pociąg stojący na torach po lewej stronie pojechał do Oświęcimia, do obozu zagłady. Wanda z mamą i babcią w Polskę. W głąb Generalnego Gubernatorstwa. A konkretnie w rejon świętokrzyski.

I przesuwają się klatki pamięci. Jak w filmie.

Połykująca tafla strumyka. Trzciny. Tatarak.

Kobiety w zapaskach, w kusych spódnicach, z nogami błyszczącymi bielą, zanurzonymi do pół łydki w wodzie, tłuką kijankami bieliznę.

Woda rozpryskuje się setkami migocących w słońcu kropel, jak rój motyli – pomyślała.

Wianuszek dzieci, na ogół bosych, pyzaty, umorusanych, otacza ją zwartym kręgiem.

*Ta Dorotka, ta malusia, ta malusia,
Tańcowała dokolusia, dokolusia.
Tańcowała ranną rosą, ranną rosą
I tupiała nóżką bosą, nóżką bosą –*

śpiewała, klaszcząc w dłonie i stukając obutymi w drewniane chodaki stopami.

Dzieci przypatrywały się jej ciekawie.

Albo wymyślała bajki, na przykład o księżniczce Filindanie z warszawskiej wieży.

Aby ulokować się bliżej Wandy (Warszawianki – jak ją dzieci nazywały), zająć pierwsze miejsce w kręgu, przynosiły jako zapłatę w kieszeniach lub w wiklinowych koszyczkach jajka, a nawet osełki masła.

Dostała też kurę, którą po zakończeniu wojny – wbrew protestom mamy, zabrała w klatce do Warszawy.

I tak mała Wanda zarabiała na życie jako artystka, baśniarka, tancerka.

– Więc ta dziewczyna z pożółkłej fotografii to ja? – myślała zdziwiona, wkładając zdjęcie z powrotem do albumu w skórzanych okładkach.

Ta dziewczynka, która tyle przeszła w swoim krótkim życiu – to ja?

Alicja Patey-Grabowska

*Autorka jako małe dziecko przeżyła powstanie warszawskie
i obóz Dulag 121 w Pruszkowie*

Krzysztof Rudziński

Wuj Tadeusz¹

Odwiedzał nas z reguły latem, kiedy bawiliśmy na letnisku w Zalesiu Dolnym. Przychodził z odległego o dwa kilometry Piaseczna, gdzie mieszkał z rodziną na pierwszym piętrze własnego domu w centrum, przy zbiegu ulic Kościuszki i Sienkiewicza – rzec można – w strategicznym punkcie, kontrolującym życie miasteczka na rozstaju dróg.

Z balkonu zawieszonego nad sklepioną – na szerokość platformy konnej – bramą, widziało się na ukos w perspektywie ulicy Kościuszki, w odległości kilkuset metrów za cmentarzem, początek odchodzącego stamtąd traktu do Góry Kalwarii, przeciętego w tym miejscu torami kolejki wąskotorowej. Gdy patrzyło się z tego balkonu na rozjazd dróg przed domem, lewa jego strona flankowała tę część ulicy Kościuszki, wiodącą ku Warszawie, prawa zaś ulicę Sienkiewicza, odchodzącą na południe w kierunku Zalesia Dolnego. Wysoki, drewniany krzyż na trójkątnym skwerku na środku tego rozjazdu wywyższał jeszcze jego śródmiejską instancję, którą przed drugą wojną światową sankcjonowała dodatkowo usytuowana opodal stacja benzynowa.

Teraz już jej nie było, a miejsce zyskało, pozbywszy się niezdrowych oparów węglowodorowych.

Wuj Tadeusz wżenił się był w to miejsce i ten dom, poślubiwszy córkę rodzonej siostry swojego dziadka ze strony ojca, do której męża należała część tej kamienicy, zasiedlonej zresztą gęsto przez jego krewnych i powinowatych. Nie był więc, *sensu stricto*, spokrewniony z nami, ale nazywaliśmy go wszyscy wujkiem. Szczupły i postawny zarazem, musiał być za młodu bardzo przystojnym mężczyzną, o południowej urodzie, noszącej, widoczne już na pierwszy rzut oka, rysy biblijnego narodu wybranego.

Nie wiedzieliśmy wiele o jego rodzicach, krążyła jednak fama o wprost legendarnej urodzie jego matki. Pomimo fizycznego podobieństwa do synów Izraela, przetrwał jakoś okupację niemiecką, choć łączyła go z tym wyobraźniem nie tylko fizjonomia, ale i znajomość rzeczy. Wuj władał bowiem biegle żargonem, którego się był nauczył w dzieciństwie po piaseczyńskich

1 Opowiadanie z tomu *Nadgryzanie Gryzonii*.

podwórkach, bawiąc się z dziećmi potomków Abrahama, a co wykorzystywał w młodości przy okazji różnych zakupów, uskutecznianych zresztą z wieloma sukcesami na warszawskich Nalewkach i tym podobnym, stołecznych okolicach. Wypracował bowiem nadzwyczaj pewny sposób korzystnego cenowo kupowania w tamtejszych sklepach. Do legendy przeszła historia zakupu wytwornego garnituru na jego własny ślub.

Upatrzywszy sobie stosowne ubranie na wystawie jednego ze sklepów tej handlowo czarodziejskiej dzielnicy Warszawy, udał się tam wcześniej rano w poniedziałek, tak, aby być na pewno pierwszym klientem. Znał on bowiem ten stary kupiecki zabobon, nie pozwalający na wypuszczenie ze sklepu z pustymi rękoma pierwszego klienta nowego tygodnia i wykorzystywał go do jak najtańszych granic.

Nie mógł on stosować tej wypróbowanej a zbawiennej metody na terenie wielkiego miasta Piaseczna, gdyż tam był powszechnie znany, za to Warszawa otwierała mu szeroko ramiona dla doprowadzenia do mistrzostwa tej jego handlowej dyplomacji.

Zaczynała się wtedy toczyć – rozdzielona ładą kontuaru jak stolikiem szachowym – gra pozycyjna, rozwijająca się jak królewski gambit wybranej z wielu partii sztuki negocjacyjnej, której hipotetyczne brzmienie pozwolił sobie tutaj – w ujmującym rzecz skrócie – przedstawić. Po uprzejmym powitaniu stron i wstępnym rozeznaniu aspiracji klienta przez samego pryncypała – upewnieniu się, że chodzi mu nie o jakiś tam pierwszy lepszy garnitur, z tych, dajmy na to, drugorzędowych (bo przecież taki pan nie mógł nosić drugorzędowego, on potrzebował tego całkowicie i wyłącznie pierwszorzędowego, co więcej najwytworniejszego z wybranych z samej wystawy, co to miał w dodatku kamizelek gratis) – podejmowano wątek cenowy, otwarty z obydwu stron jak rozdziawione możliwie jak najszerzej, ostrza krawieckich nożyc.

Po długotrwałym targowaniu się, podczas którego obydwie umawiające się strony fingowały kilkakrotnie odstępianie od interesu, co ze strony wujka wyglądało na definitywne opuszczenie sklepu, z ostentacyjnie wyrażanym zamiarem udania się do konkurencji naprzeciwko. Przeciwno, a nawet wbrew rozsądkowi (wszak był to pierwszy klient rozpoczynającego się tygodnia, którego nieszczęściem byłoby wypuścić bez dokonanego zakupu), zgodzono się na zapłatę kilka razy mniejszą od wyjściowej.

Rozpoczęło się pakowanie garnituru, w trakcie którego padło w kierunku subiekta ze strony szefa poufne polecenie wycofania z kompletu kamizelki i ukrycia jej pod ładą. – Nie wiedzieli o wujkowej znajomości

jidisz. Ten zaś, jakby nigdy nic, „przypomniał sobie”, że w cenie garnituru z wystawy było jeszcze odprasowanie kantów – gratis i kategorycznie zażądał wykonania usługi. Dopiero podniósł się krzyk i narzekanie, ale wujek pozostał nieugięty, grożąc odstąpieniem od ubitego już, jak się zdawało, interesu. Nie dopuszczono do tego, zgadzając się ostatecznie, wśród szemrania i utyskiwań, na odprasowanie tych kantów.

Kiedy otwarto paczkę – wuj z kamienną twarzą ciągnął grę dalej, zamieniając ją w pokera i sprawdzając karty – a gdzie moja kamizelka?

– Co, nie ma kamizelek? – podskoczył, udając filistyna, pryncypał i wyciągając spod lady rzeczoną część całości, rzucił się z pięściami w kierunku subiekta, który czym prędzej uciekł na zaplecze.

– Ty złodzieju! – wrzasnął za nim szef – ja ci pokażę, i przepraszając klienta, cały w ukłonach, sam już chciał odprasowywać wspomniane kanty.

Ale wuj Tadeusz nie dał mu dojść do głosu. Udając obrażonego, uiścił należność i zabierając garnitur tym razem już z kamizelką, zakończył grę, rzucając na odchodnym: Rezygnuję z pańskich kantów, jeden mi wystarczy w zupełności – żegnam! – I zadowolony opuścił sklep jak nie przymierzając szczygieł na wiosnę.

Lubiłem słuchać tych jego opowieści, chłonąc jednocześnie i zapisując w pamięci ten charakterystyczny akcent mowy, towarzyszącą mu ezoteryczną mimikę, pełną wieloznacznych przymrużeń i łypnięć oczu, cmoknięć warg i wzroku wznoszonego ku niebu – tej całej dobrze przyprawionej i soczystej oracji; wplatanych przemilczeń i zawiesznień głosu, otwierających wciąż nowe niespodziewane możliwości i drogi twórczej kontynuacji, dołączającej do tego repertuaru jeszcze mowę rąk i palców obydwu dłoni i każdej z osobna razem wziętych.

– Uwielbiałem ten teatr wielkich gestów, całą tę grę niedopowiedzeń, zdań zawieszonych w powietrzu i po chwili podejmowanych z tą uroczystą dystynkcją, znających się na rzeczy, którą odnalazłem po kantorach tych czarodziejskich handli cynamonowych rozsianych na kartach dziejów Rzeczypospolitej Obojga Narodów z uwzględnieniem, w każdym dobrym handlowym punkcie – tego trzeciego.

Wuj Tadeusz prawie nigdy nie odwiedzał nas sam, i nie chodzi o jego syna Janusza, czy córkę Teresę, których razem z kuzynostwem z kamienicy przyprowadzał *per pedes apostolorum*. Przynosił on bowiem zawsze, poza całym swym bogatym jestestwem, jeszcze i to wszystko, co nazbierało się mimochodem po drodze na tych dwóch kilometrach od jego domu w Piasecznie do naszego w Zalesiu Dolnym. Bo wuj bez wyjątku znał wszystkich

po drodze teraz, i w przeszłości – zarówno Flintów, czy Goldbergów, jak Dąbrowskich, czy Starosów żyjących przykładowie nad Perełką, w której jeszcze były raki i pijawki do upuszczania krwi. Czasem może nawet bardziej nie z nazwiska – bo dziewięciu samych tylko Poncyliuszów i Rowińskich było rzeźnikami przy samej jednej tylko ulicy Kościuszki – a z przydomków osobistych, więc każdego z miejscowych: *Białego Łba*, *Trupka*, czy *Trumienkę* musiał pozdrowić i z nim porozmawiać, i wziąć na siebie jego życie i wszystkie kłopoty jego krewnych i znajomych, i wszystkie te sprawy wydłużały te dwa kilometry o przecznice odchodzące licznie w bok po drodze. A jeśli były domy zaistniałe od frontu ulicy, to wymagające jeszcze więcej wyrzeczenia się siebie na rzecz tych wszystkich solennie podtrzymywanych konwersacji, których nie wypadało przerywać, co ja mówię – po prostu nie na miejscu było się śpieszyć.

Wuj pracował swego czasu w Warszawie w sklepie sprzedającym telewizory, w okresie, gdy te magiczne okienka w swoich początkach nie były jeszcze dobrem powszechnego użytku. Jego charyzmatyczna swada i czar osobisty, poparte bogatym repertuarem gestów – dyplomacja nabyta pod rygorem życiowej praktyki – musiały oddawać sklepowi nieocenione usługi we wzroście obrotów, bo klienci, a zwłaszcza klientki, nie potrafili się opierać długo tej jego promocyjnej elokwencji. Kiedy wuj odwiedzał nas na lotnisku – zwykle bez zapowiedzi – twarz jego odzwierciedlała oczekiwane wieści ze świata, przynosiła jednak stamtąd zarazem jakiś nieokreślony i czasami nawet głęboki smutek – dystynkcje doświadczeń i gorzkiej wiedzy, gromadzące się na niej przez lata, pod wpływem tych wszystkich rozmów z ludźmi, których był pełen, a które się w nim kończyły, jak widać tragicznie i bez odpływu.

I dlatego, choć jego opowieści rozweselały nas częstokroć niemal do łez, to nieraz na odchodnym pozostawiał nas bez siebie bardziej smutnych niż przed jego przyjściem.

Zapadła mi głęboko w serce jedna z takich historii, którą przyniósł w pogodny, jasny dzień lata 1961 roku tuż przed naszym wyjazdem na wczasy nad morzem do Międzyzdrojów. Znałem to miejsce, o którym mówił z dawniejszych moich wypraw odkrywczych po okolicy, podejmowanych niejednokrotnie w towarzystwie dzieci z sąsiedztwa. Był to sosnowy lasek na piaszczystej wydmie położony zaledwie o dwieście metrów na wschód od naszego ogrodu – przedwojenny kirkut piaseczyński, podczas okupacji niemieckiej prawie doszczętnie zdewastowany, na którego trenie, wśród porzucanych macew, my, dzieci, zbieraliśmy grzyby. Oglądaliśmy przy

tym poprzecyłane i leżące na ziemi kamienne bloki z piaskowca z intrygującymi nas ornamentami niezrozumiałych i tajemniczych napisów nagrobnych.

Ścieżką biegnącą na północnych obrzeżach tego lasu chodziłem często z bańką po mleko do gospodarstwa państwa Płońskich i bojąc się przechodzić tym pustkowiem obok cmentarza, wyśpiewywałem na całe gardło byle co, dodając sobie odwagi.

Intrygowały mnie te nieme „runy”, z których każda musiała przecież opowiadać jakąś wyjątkową historię czyjegoś życia, dawno minionej bezpowrotnie republiki marzeń – dzieje niejednej minionej Gryzonii.

Niedługo przed wojną przy drodze wiodącej z Piaseczna ku kirkutowi, był wuj świadkiem niecodziennego pogrzebu piaseczyńskiego rabina. Na czele tłumnego orszaku członków gminy, pośród lamentów rozdzielanych szat i zawodzenia płaczek, szedł na swój własny pogrzeb rzeczony mąż, prowadzony pod ręce w swej drodze przez otaczających go ciasno synów, uczniów i współwyznawców. Szedł te dwa kilometry z Piaseczna aż doszedł na miejsce i zasiadł w całunie, czekając odtąd na głos trąby bożej.

Ci, co później wracali stamtąd, cały ten orszak żywych, nie mieli jego szczęścia i w kilka lat później dosięgła ich ludobójcza zagłada. Nikt ich nie prowadził w kondukcje żałobnym. Nie mieli najczęściej żadnego pogrzebu.

A jednak i te przedwojenne pomniki dotknął wkrótce równie niszczycielski i bezwzględny los. Oczami dziecka widziałem jeszcze to miejsce zrujnowane, niemniej przypominające cmentarz. Ale kilka lat później przez otaczające tereny komunistyczne władze wytyczyły ulice, przy których wzniesiono nowe domy. Teren cmentarza zeszczipał do niewielkich rozmiarów pomnika pamięci. Większość macew zniknęła, wsiąkła w teren – wyparowała. Powziąłem podejrzenie co do ich dalszego losu pod niejednym adresem nieznanym sprawców – jak to zwykle bywało za Gomułki. Zapytałem więc wujka wprost, czy podziela mój pogląd, czy nie? – Nie potwierdził ani nie zaprzeczył, ale wyczułem, że niejedno wiedział. Twarz jego spoważniała, jakby chciała się rozejść chyłkiem, zanim zdołał ją przywołać do opamiętania; oczy uciekły w bok, jakby szukając punktu oparcia do przeczekania tej chwili, w której ktoś odkrył znaną mu tajemnicę. A której brzemień niósł dotąd sam jeden, nie spodziewając się znikąd pomocy.

Opowiedział mi wówczas historię spisaną na jednej z tych macew, dziś już nie do odczytania – sentencję tego piaseczyńskiego rabina, który zwykł ją wypowiadać, ilekroć pytano go, co sądzi o ludzkiej naturze.

(– Zwróć uwagę – podkreślił to z naciskiem wuj Tadeusz – że zwłaszcza jeśli chodzi o ten wybór i wielorzędowość wątku rzeczy, musiał on mieć jakąś wspólnotę majątkową, czy interesu, z tym nalewkowskim sprzedawcą garniturów – albo vice versa – cytuję z pamięci – a więc bez cudzysłowu).

– Jak wiadomo, pycha ludzka leży u podstaw wszystkich grzechów, z niej rodzi się każda pazerność i barbarzyństwo. Dlatego, w gruncie rzeczy, – wszyscy ludzie są do siebie podobni – wszyscy są próżni jak beczki po winie, – z tą różnicą, że większość po pospolitym, a tylko o niektórych powiedzieć można, że po wybranym – i w pierwszorzędnym gatunku.

Krzysztof Rudziński

Jan Strękowski

Kryminałki

Ma pan orzech?

- Ma pan zegarek?
 - Proszę?
 - Czy ma pan zegarek? No, która to może być godzina?
 - Spiesz się panu? Tu czas płynie inaczej. Przyjdzie się przyzwyczaić...
 - Nie powie mi pan?
 - Najpierw pan mi coś powie... Pan jest tu gościem.
 - Tak... przymusowym.
 - Jak większość naszych gości. Co się pan tak kręci? Krzesło niewygodne?
 - Krzesło jak krzesło... Która to może być godzina?
 - Godzina jak godzina. Za wczesna na spanie za późna na wstawanie...
- Ale akurat bardzo odpowiednia na rozmowę...
- Wie pan... ja tam bym wołał...
 - Kiedy indziej?
 - No...
 - I gdzie indziej?
 - Czyta pan w moich myślach...
 - To mój zawód poniekąd... Ale póki co, myśli jeszcze nie zapisujemy.
- Byłoby to znacznym ułatwieniem w naszej pracy...
- Osobiście jestem za tym...
 - Za czym pan jest?
 - No, żeby wam w policji też było łatwiej, bo co to za życie, służba w świętek i piątek...
 - Dzisiaj jest piątek...
 - No właśnie, a jutro świętek, jeśli sobotę za takowy uznać...
 - Uznajemy... Świętek jest jutro... I świętek był dwa tygodnie temu.
- Wtedy właśnie wpłynęła do nas pierwsza skarga...
- I co pan z nią zrobił?

– Odnotowałem i wprowadziłem do dokumentacji... Ale potem były następne i to nie tylko w świętek, bo i w piątek, a nawet i w inne dni tygodnia...

– Wszystkie na mnie?

– To właśnie spróbujemy za chwilę ustalić.

– Zajmie to nam chwilę?

– Co pan taki w gorącej wodzie kąpany? Wszystko zależy od pana, jak będzie pan zeznawał sprawnie, jak będzie pan z nami współpracował, zamkniemy sprawę szybko i...

– I mnie też...

– Czuje się pan winny?

– Ja?

– No przecież nie ja!

– W zasadzie... jestem czysty jak łąza. To znaczy, chciałem powiedzieć, że działałem w stanie wyższej konieczności... Wie pan na pewno, że to zwalnia od odpowiedzialności...

– Ciekawa teoria. Ale przejdźmy do praktycznej strony tego, co pan nazywa działaniem w stanie wyższej konieczności. Pięć napadów, straszenie, groźby karalne, dwukrotne wyrwanie torebki i samowolne jej przeszukanie, naruszenie nietykalności osobistej poprzez opróżnienie kieszeni... nie pańskich, cudzych. Nie mówiąc o wykroczeniach, jak niszczenie trawnika poprzez rozkopywanie go na znacznej powierzchni

– Patykiem, też mi rozkopywanie... Próbowałem tylko znaleźć zgubę. Wie pan, one mają mały rozumek, zakopią, zapomną gdzie. I robią się podejrzliwe...

– Niszczeniem trawnika zajmie się straż miejska... My jesteśmy od poważnych przestępstw...

– To ja... ja... jestem poważnym... przestępcą? Przecież go jej nie ukradłem. A nawet pomagałem szukać!

– Mam panu przeczytać numery artykułów KK, które pan naruszył?

– Może lepiej nie! Wie pan, ciarki mnie przechodzą, kiedy słyszę numer taki to a taki... zagrożony karą taką to a taką...

– Każdego przestępcę przechodzą... szkoda, że po fakcie.

– Powiedziałem już, że działałem w stanie wyższej konieczności. To tłumaczy wszystko. Trudno myśleć o sankcjach, kiedy człowiek czuje obowiązek...

– Pan taki obowiązkowy?

– No, nie zawsze... Prawdę mówiąc, to nigdy nie byłem zbyt obowiązkowy... Sam jestem zaskoczony... Pozytywnie.

– Chyba negatywnie?

– Pozytywnie, proszę pana. Po raz pierwszy w życiu poczułem, że robię coś dobrego, coś pożytecznego. No prawie... Jak byłem mały, była taka akcja, Niewidzialna Ręka, węgiel przynieść sąsiadce i postawić pod drzwi, wytrzeć dywan, naprawić kran, kiedy nikogo nie ma w mieszkaniu...

– Rozumiem? Czyli już wtedy łamał pan prawo?

– Wtedy ludzie sobie ufali, rzadko kto zamykał mieszkanie...

– Przestępstwo jest przestępstwem, intencje się nie liczą...

– To pan się myli. Oni byli szczęśliwi, kiedy wracali i znajdowali odciśnięty ślad niewidzialnej ręki. Nikt nie poszedł na... milicję... Bo wtedy była milicja. Ale jakby i poszedł... wyobraża pan sobie, żeby za dobry uczynek kogoś ciągnano?

– Ach! To w tym celu napadł pan panią Janinę K., pensjonariuszkę sanatorium kardiologicznego? Starszą osobę, którą taki napad mógł przyprawić o zawał serca?

– Przemiała starszą panią... Nie miała mi wcale tego napadu za złe. A kiedy się dowiedziała, o co mi chodzi, nawet mnie pochwaliła, mówiąc, pozwoli pan, że zacytuję: „pan mi wyglądał dosyć szemrano, a tu proszę, miłe zaskoczenie, jak to nie można człowieka osądzać po wyglądzie”. Czy ja naprawdę wyglądałam tak... groźnie?

– Dla starszej pani... Ale to jej siostrzenica złożyła skargę. Dba o swoją ciocię dziewczyna... Kiedy się dowiedziało, co ją spotkało...

– A co ją mogło spotkać?

– Raczej kto... Pan!

– Przecież przeprosiłem...

– Ale wcześniej coś pan sobie przywłaszczył...

– Sobie? Ja dla siebie nigdy... nawet tyle... Zresztą, to pan się na tym zna, taki fant drobny nie podchodzi pod żadne paragrafy...

– Gdyby nie to, że przestępstwa się powtórzyły. Na dodatek wciągnął pan inne osoby do swego procederu...

– Zaraz wciągnął... Pan Stasiu mieszka ze mną... To recepcja go przydzieliła do mojego pokoju, a nie ja... A pan Zenek to sąsiad z przeciwka, też taką lokalizację dostał... Wie pan, za jedynek trzeba byłoby porządnie dopłacić. Kogo na to stać? Z tej cieniutkiej emeryturki?

– Chwileczkę, mam tu zeznanie pewnej pani, powiedzmy, że jada posiłki przy sąsiednim stoliku. Otóż ona zeznała, że w poprzednią sobotę,

kiedy tu obok był targ, kupił pan cały worek orzechów włoskich... Leży pan na pieniądzach, szanowny emerycie.

– Zaraz leżę. Wysuplałem, co miałem... I rozdałem potrzebującym...

– Proszę mi opisać tych potrzebujących.

– Przecież pan komendant wie.

– Może i wiem, ale miło będzie posłuchać...

– Komu miło to miło... ale jak pan chce? Najpierw była jedna. Wieczorem, po kolacji wyszedłem tak jakoś, sam... A tu wychodzi na alejkę i prosi. A ja, wstyd się przyznać, ale miałem puste kieszenie! A potem okazało się, że jest ich więcej. Mieszkają w dziuplach, budkach dla szpaków, niektóre przybiegają gdzieś z daleka. Nie wszystkie są takie ufne jak ta pierwsza...

– To ta, która pana podejrzewała o kradzież? Też mi ufność!

– Wie pan. Ja ją rozumiem. Im ciągle ktoś coś odbiera, a to sroka, a to kawka, a to sójka... To i człowieka mogą podejrzewać. Tym bardziej... widziałem jak taki bałwan rzuca kamień i oszukuje biedne stworzenie.

– O co pana podejrzewała?

– No przecież pan komisarz wie. Że ukradłem jej orzech, a ona przecież go sama zgubiła. No, ale jak wytłumaczyć takiemu stworzeniu... Staralem się jej pomóc go znaleźć, bo akurat miałem puste kieszenie. Jakbym znalazł...

– Przestałaby pana podejrzewać o kradzież? Zależało panu na nieposzlakowanej opinii. I popełnił pan prawdziwe przestępstwo.

– Panie komisarzu, a gdybym jej ukradł orzech, jedyne jej pożywienie, to to byłoby co? Nie przestępstwo?

– Nie mam tego w KK.

– Pan bez przerwy z tym KK. Chce mnie pan znowu przestraszyć?

– To pan straszy ludzi spokojnie wypoczywających w parku. Na wczasach, na leczeniu... Przyjedzie człowiek odpocząć, podleczyć się, na ławeczce usiądzie, pogapić się na przyrodę, pokarmić ptaszki czy inne zwierzątka chciałby... choćby te rude... A tu niespodzianka! Pan ze swoją szajką! Panie, to jest uzdrowisko, nie zamek Frankenstein!

– Ja straszę? Że pytam o orzechy? No, zdarza się, w pośpiechu, że człowiek zapomni o tych... grzecznościach i wali prosto z mostu. Siła wyższa! Tu są inni co straszą. Za nich byście się wzięli. Parę dni temu sąsiadka z sąsiedniego pawilonu to tak krzyczała, że aż przy lodach było słyhać. Na cały park!

– To pan ją tak przestraszył?

– Niech pan komisarz nie żartuje. Jakiś tam podobno się pod krzakiem negliżował...

– No dobra, wróćmy do naszych baranów.

– Pan znowu o tych...

– Baranach.

– No więc spytałem tą panią czy ma orzech, może zbyt obcesowo, ale okoliczności były nadzwyczajne. Mówiłem już panu. Chciałem się oczyścić z podejrzeń. No i szkoda mi było... wie pan kogo. Zaufała mi, a ja ją zawiodłem. Jak typowy egzemplarz gatunku ludzkiego.

– Czyli w imię ratowania dobrego imienia ludzkości dokonał pan napadu na starszą panią. Rozbebeszył jej torebkę, a potem zabrał zawartość? Chciał się pan oczyścić, a wpakował się pan po uszy.

– Nie wziąłem dla siebie.

– A potem była recydywa i stworzenie gangu.

– Mówiłem już, pan Stasiu, kuracjusz, co to ledwie o kuli, pan Zenek niewiele lepiej... To ma być gang?

– Ale radziliście sobie nieźle. Napady, straszenie, niedozwolone przeszukiwanie torebek, a nawet kieszeni...

– Panie komisarzu, może jutro byśmy wrócili do tej rozmowy? Późno się jakoś zrobiło?

– Spiesz się pan gdzieś?

– Nie no... ale wie pan... one zaraz pójdą spać.

– Wybiera się pan na podryw? No tak, życie kuracjusza... Kto?

– Jak to kto? Wiewiórki!

* * *

– Ma pan orzech?

– A, to pan? Przyszedł mnie pan komisarz skontrolować?

– Zaraz skontrolować. Zaraziłem się od pana.

– Panie komisarzu, pierwsza zasada: nie prosić, ale mieć własne. Od kąd mnie pan przytknął, zawsze o tym pamiętam!

– Jakbym sam miał, to bym nie pytał! Nie da mi pan? Chce się pan na mnie odegrać?

– Dam. Nawet dwa. Tak mnie pan urządziłeś, człowiek teraz zaobraczkowany, gorzej niż pies przy budzie, wstyd, wstyd. Każdy krok śledzony, tu nie wolno, tam nie wolno... A do tego...

– Nie ma pan więcej?

– Mam.

– To dawaj pan, bo sroka ją przegoni! I zostanie o suchym pysku.

– Już daję. Człowiek teraz ma z tego tyle przyjemności, że poda przez kogoś... Jak akurat ktoś się trafi. Jak pan komisarz. Jak jest pogoda, to jeszcze, ale jak pada, to czekaj człowieku... albo łam prawo. Taki to los... przestępcy, panie komisarzu. Pomyślałby kto! Zakaz zbliżania się na odległość mniejszą niż 15 metrów! Jakbym ja maltretował żonę albo groził strzelbą sąsiadowi! To rozumiem! Ale one? To prawda, co piszą panie komisarzu. Nie ma już prawdziwych sądów w Polsce...

– Sąd orzekł panu zakaz zbliżania się? Do kogo?

– Jak to do kogo? Do nich! Do wiewiórek!

Jan Strękowski

Andrzej W. Wodziński

Honor albo życie

*Tylko głupcy samowolę nazywają wolnością.**Tacyt*

Na dancingu w Adrii w stolicy Polski jesienią tysiąc dziewięćset trzydziestego czwartego roku tańczył ze swoją wybranką Zosią Stefan Krzywy, pseudonim Ryj. Złośliwi koledzy mówili o nim „Krzywy Ryj” lub nazywali go Ginem. Dlaczego? Ano dlatego, że zjawiał się natychmiast tam, wyrastał po prostu jakby spod ziemi, tam gdzie otwierano butelkę z gorzałą. To nie była jednak do końca prawda, Stefan zjawiał się po prostu często w miejscach, gdzie na ogół zawsze pito alkohol, a że ktoś czasami mu postawił, to była już sprawa fundatora i obdarowanego. Zresztą Stefan też fundował innym jak miał pieniądze i chęci, czyli samo życie.

Stefan pytany przez ludzi go nieznających, jaki ma zawód? Odpowiadał z rozbawieniem, że to nowy zawód, a on jest manipulatorem. Stefanowi kiedyś dopisało szczęście, bo raz wygrał na wyścigach konnych bardzo duże, wręcz wielkie pieniądze. Postanowił więc wreszcie raz zabawić się na całego i zarazem kulturalnie, czyli na poziomie. Kupił sobie dwa świetne garnitury u znanego krawca Zaremby z dodatkami i kilka par butów w sławnej szewskiej firmie Hiszpański. Nabył także swojej narzeczonej Zosi dwie piękne suknie z dodatkami galanteryjnymi i złoty pierścionek zaręczynowy z brylantem. Zaprosił ją również do eleganckiej, wytwornej, stołecznej restauracji „Adria”. Oboje bawili się tam w piątkowy wieczór, pili dobre alkohole, nie wyłączając wysoko gatunkowego szampana.

Ale *ad rem*. Stefan Krzywy „Ryj”, będąc już w stanie wskazującym na lekkie spożycie i tańcząc ze swoją partnerką uroczą Zosią zupełnie przypadkowo potrafił tańczącego obok na parkiecie porucznika Waldemara Buca-Pożarskiego. Było to tym bardziej możliwe i prawdopodobne albowiem mozaikowy parkiet restauracji „Adria” powoli kręcił się mechanicznie dookoła. Można więc było łatwo, w dodatku będąc jeszcze po kilku koniakach, przewrócić się, zatoczyć lub napatoczyć się komuś albo wpaść przypadkiem na tańczącą obok parę.

Każdy średnio rozgarnięty człowiek to rozumie. Lecz porucznik Buc-Pożarski nie był umysłowym orłem. Nawet mądrym wróblem. Gdyż

po przypadkowym potrąceniu na parkiecie dancingu wyjął wizytówkę i wręczając ją Stefanowi Krzywemu „Ryjowi”, wielce zbulwersowany wręcz srodze oburzony, oświadczył:

– Jestem porucznik Waldemar Buc-Pożarski z dwunastego pułku ułanów wołyńskich i za potrącenie mnie w tańcu, a więc zbezczeszczenie munduru oficera polskiego, wyzywam pana na pojedynek. Ja jako poszkodowany wybieram szablę. Proponuję panu walkę jutro rano o godzinie piątej w lasku na Bielanach-Młocinach. Czy ma pan szablę w domu? – zapytał jeszcze z troską i nie słysząc odpowiedzi, zaraz oświadczył na końcu stanowczym tonem – jeśli nie ma pan szabli, to mój ordynans lub adiutant dostarczy ją panu jutro przed pojedynkiem.

Stefan Krzywy „Ryj” odruchowo, ba, wręcz bezwiednie przyjął wizytówkę Buca-Pożarskiego, bo zawsze przyjmował wszystko, co mu ktoś podarowywał i nagle trzeźwiejąc, odrzekł:

– Szablę w domu oczywiście mam i dziękuję panu, panie poruczniku za okazaną mi pomoc w sprawie honorowej. Oczywiście będę chciał sprawić panu satysfakcję honorową zgodnie z kodeksem Bożewicza. – Po tej deklaracji poważnie skłonił się, ujął uroczą Zosię pod ramię i oddalił z parkietu dancingu do swojego stolika.

Siedząc już przy stoliku, obejrzał uważnie jeszcze raz wizytówkę porucznika Buca-Pożarskiego i pomyślał – żyję już ponad trzydzieści lat na tym zwariowanym świecie, ale takiego skończonego idioty jeszcze nie spotkałem w życiu. On myśli, że ja się zerwę z łóżka o trzeciej rano, kiedy już teraz jest prawie północ, a będę wtedy w łóżku ze słodką Zosią, skombinuję zaraz jakąś zardzewiałą szablę i będę się z nim bił, nie wiadomo o co, gdzieś na dalekich Młocinach. Ciekawe, czym bym miał do tego bielańskiego lasu z mojej ulicy Czerniakowskiej dotrzeć, chyba nie na piechotę albo czym dojechać, dorożką, taksówką, a może konno, a nie mam przecież konia ani nawet osła. Za to prawdziwy osioł wyzwał mnie na pojedynek! Na warszawskie Młociny to ja mogę pojechać w niedzielę w południe tramwajem, albo popłynąć Wisłą parostatkem z dziewczyną, potańczyć tam z nią na dechach, napić się dobrego piwa i zjeść golonkę, a potem poleżeć z nią na kocu na trawie w krzakach. No, debil, kompletny debil. Z rozmyślań wyrwało go pytanie milej Zosi.

– Stefan, co ten porucznik od ciebie chciał, czy on cię gdzieś na warszawskie Bielany zaprosił?

– Tak, Zosiu – odrzekł Stefan – ale nie wiem, czy tam pójde, czy przyjmę owo zaproszenie, bo jestem w tym czasie bardzo zajęty. Tobą jestem zajęty!

To ciekawe, że ten wariat nie zażądał ode mnie także wizytówki, wszak nie wie, u licha, kim jestem? Przecież gdyby był normalny, to by chociaż spytał, kim jestem? Rozmyślał Stefan i wypił jednym haustem angielską wódkę. Kątem oka zauważył jednak, że porucznik Buc-Pożarski zszedł z parkietu dancingu ze swoją partnerką, zapłacił rachunek kelnerowi i wyszedł z restauracji. Widocznie musi przygotować się do jutrzejszego pojedynku – pomyślał Stefan i roześmiał się. Myśli ten buc, że ja też zaraz polecę do swojego domu, wyostrzę tam starą swoją szablę, jakiś złom z wojen napoleońskich, napiszę testament, polecę do jakiegoś wielebnego do spowiedzi, a jutro rano dam mu się zarznąć, zaszlachtować jak wieprzek przed Bożym Narodzeniem na kiełbasy świąteczne. Niedoczekanie tego kretyna, stwierdził w myślach Stefan i zamówił butelkę znakomitego szampana.

Lecz to nie był dobry dzień dla Stefana, bo aż trudno uwierzyć, ale zła passa, niefart pojedynkowy dalej go prześladował. Po wypiciu kilku lampek szampana Stefan poczuł, że musi oddać dług naturze, w tym celu udał się więc do toalety, przedtem przepaszając za chwilową nieobecność uroczą Zosię.

Wracając lekki z cichej klozetki, napotkał obok szatni starą znajomą z innego lokalu, z Pawie Oko, śliczną, fertyczną fordanserkę Hankę Kordonkę-Lolę. Właśnie zmierzała do szatni, a Stefan po serdecznym powitaniu, kilku całuskach w usta, poklepał ją kilka razy po przyjacielsku lekko po pupie. O, nieszczęsny! O, nieszczęsny po trzykroć!

Nie wiedział, że Lola – Hanka Kordonówna przestała być już fordanserką, lecz stała się oficjalną narzeczoną hrabiego Ignacego Łajzy-Pyszkiewicza. Została już przedstawiona oficjalnie przez hrabiego Ignacego rodzinie hrabiowskiej Pyszkiewiczów w jego rodzowym gnieździe w pałacu w Świstakach. Pomimo mezaliansu, związanego z jej pochodzeniem społecznym, albowiem jej ojciec był tylko skromnym aptekarzem, została przyjęta do klanu rodowego przez tolerancyjną i postępową arystokratyczną rodzinę. O tym wszystkim nie mógł wiedzieć Stefan, bo była to pewnego rodzaju tajemnica, a poza tym Loli dawno nie widział i nie miał pojęcia o jej sytuacji towarzysko-osobistej. Lola jakiś czas temu była nawet dziewczyną Stefana, ale pewnego rodzaju niezgodność charakterów, a właściwie zgodność wielce rozrywkowych charakterów tejże pary, spowodował rozpad związku.

Nie przeszkodziło to im jednakże w utrzymywaniu przyjaznych obustronnych stosunków i serdeczności, jaką żywili do siebie Lola i Stefan. Ślub Loli i hrabiego Ignacego zaplanowano za miesiąc w katedrze wawelskiej

i Lola szła już suknią ślubną, kazała także pilnie wydrukować wizytówki z informacją: *Hanna hrabina Pyszkiewicz – artystka kabaretowa*.

Dlaczego dopisała do tytułu hrabiowskiego – artystka kabaretowa?

Ano, dlatego, że Lola miała wielkie ambicje artystyczne i chciała, tak jak na przykład Zula Pogorzelska czy Mira Zimińska śpiewać i tańczyć na scenach kabaretowych i teatralnych, a mariaż z hrabią Ignacym Łajza-Pyszkiewiczem miał być tylko przepustką, kolejnym szczeblem na drabinie artystycznej do jej przyszłej scenicznej kariery.

Nie wiedziała biedna, że od tej fatalnej chwili stała się tancerką na cyrkowej linii życia. Bardzo to brzmi koturnowo, pompatycznie i banalnie, ale tak w istocie stało się.

Stan przerażenia, jaki malował się na twarzy Loli po kordialnym klepieniu jej w pupę przez Stefana, uzmysłowił mu, że coś niedobrego się dzieje. I rzeczywiście niedobrze się działo. Za plecami Stefana stał bowiem Ignacy hrabia Łajza-Pyszkiewicz, który widział całą scenę przywitania dawnych kochanków. Nie mógł więc nie zareagować, podszedł do Stefana i chciał go otwartą ręką spoliczkować, lecz nie zdążył, bo zasłoniła go cała sobą Lola. No i stało się, mający refleks szachisty, ciamajdowaty, ale rozwścieczony hrabia Ignacy uderzył w twarz swoją narzeczoną Hannę Kordonkę-Lolę.

Tego było za wiele nawet dla łagodnego Stefana. Odsunął lekko na bok dawną kochankę i z całej pięści walnął w szczękę hrabiego Ignacego, a chwilę potem z nogi butem kopnął arystokratę w przyrodzenie. Hrabia zachwiał się, zawył z bólu i zalany krwią na twarzy, upadł na podłogę. Leżąc na podłodze zaczął cierpiętniczo skomleć i głośno żalić się:

– Wybił mi zęby ten łobuz i pozbawił męskości! Charczał hrabia Ignacy i krztusił się krwią oraz śliną. Dwaj kelnerzy wraz z szatniarzem podbiegli szybko do hrabiego, podnieśli go z podłogi i posadzili na krzesle. Arystokratę karmazyna krwawiącego na twarzy, czerwoną jednak, a nie niebieską krwią, umyło lnianą serwetką restauracyjną zwilżoną wodą, a chwilę potem hrabia, sepleniąc z powodu raptownej utraty kilku zębów, rzekł:

– Nie wiem, kim pan jest. Ale w obronie czci mojej narzeczonej Hanny wyzywam pana na pojedynek jutro rano. Jako znieważony wybieram jako broń pojedynek pistolety. Proszę, oto moja wizytówka i poproszę o pańską oraz o wyznaczenie pory i miejsca walki.

Stefan drugi raz tego wieczora wytrzeźwiał i okazał niebывały refleks. Przyjął z godnością wizytówkę hrabiego, przeczytał szybko z kim ma do czynienia i z kieszonki marynarki garnituru wyjął i podał hrabiemu

wizytówkę porucznika Waldemara Buca-Pożarskiego, którą otrzymał niecałą godzinę temu od również obrażonego na niego wojskowego.

– Proponuję, panie hrabio, pojedynek jutro rano o piątej na warszawskich Bielanych w Młocinach – powiedział spokojnie i poważnie Stefan, skłonił głowę w stronę Loli i arystokraty, a potem z godnością poszedł do sali restauracyjnej Adrii, gdzie czekała na niego uroczą Zosia.

Usiadł przy stoliku i patrząc na promienną Zosię, z ciężkim sercem pomyślał: ja chyba śnię, to nie może być naprawdę, chyba trafiłem na jakiś zjazd zidiociałych typów spod ciemnej gwiazdy honoru, bez poczucia humoru.

Następnego dnia obudził się koło południa w łóżku w objęciach rozkosznej Zosi i humor mu powrócił. Lecz nie na długo, po południu kupując w kiosku papierosy, zobaczył pierwszą stronę znanej popołudniówki warszawskiej z wydrukowanym na czerwono wielkimi literami i tytułem: „BUC ZABIŁ W POJEDYNKU ŁAJZĘ!”.

Tknięty złym przecuciem, kupił natychmiast gazetę i przeczytał w niej, że porucznik WP ułan Waldemar Buc-Pożarski zabił Ignacego hrabiego Łajza-Pyszkiewicza w pojedynku o piękną kobietę, artystkę kabaretową Hannę Kordonkę-Lolę.

Gdyby głupota umiała latać, toby latała, pomyślał Stefan i zaraz poszedł do najbliższego baru restauracyjnego „Pod Dwójką” na Marszałkowskiej na setę, lunetę, galaretę. W barze spotkał kolegę z wyścigów konnych redaktora „Kuriera Codziennego” – Andrzeja Boleszczyca, który w gazecie pisywał sprawozdania sądowe, opisując sprawy obyczajowe, pyskówki, ale i zabójstwa na tle rabunkowym i seksualnym. Był zawsze bardzo dobrze poinformowany. Redaktor ów był zawsze na czasie, w jądrze wydarzeń, gdyż miał swoich informatorów w policji, ale i w świecie przestępczym i sądowym.

– To, Stefan, było tak – opowiadał redaktor „Kuriera” po wypiciu kilku kieliszków wódki „Baczewskiego”, zafundowanych mu przez wyraźnie przygnębionego Stefana. – Tych dwóch durniów zostało urażonych na honorze wczoraj w „Adrii” przez jakiegoś cwanego nygusa, którego w odstępach godzinnych wyzwali na pojedynek. Wyznaczyli mu miejsce pojedynku i wręczyli swoje wizytówki, a ten spryciarz na wszystkie warunki pojedynku się zgodził, tylko że nie dał żadnemu z nich swojej karty, ale powręczał im nie swoje wizytówki, lecz ich wizytówki na krzyż. Tym znaczy obrażonym dał ich wizytówki, ale swojej żadnej i pozostał incognito.

Gdyby to nie byli idioci, to by wypili po kielichu i zaczęli szukać tego drania, który ich obraził, aby otrzymać od niego tą ich satysfakcję honorową.

Ale nie, tych dwóch honornych nad wyraz kretynów zaczęło się między sobą kłócić i licytować o to, kto został przez tego Wielkiego Nieobecnego bez Honoru faceta bardziej obrażony. Od słowa do słowa, jeden drugiego spoliczkował i postanowili, że będą do siebie strzelać. Jak postanowili, tak uczynili.

Jako że porucznik Buc był młodszy i lepszy w strzelaniu od hrabiego, to go zastrzelił jak nie przymierzając zająca na polowaniu. Koniec, kropka!

Powiem ci jeszcze szczerze, Stefan, że podobno w tej sprawie cholernie wściekł się „Dziadek”, nasz umiłowany marszałek Piłsudski. On poznał tego hrabiego Pyszkiewicza, choć to nie był jakiś orzeł polski, to jednak z patriotycznej rodziny z tradycjami niepodległościowymi. Naczelnik znał i lubił jego matkę hrabinę Laurę, która podobno stawiała mu pasjanse i w swoim pałacu w Świstakach przed „Cudem nad Wisłą”, w 1920 r. Wywróżyła mu wówczas, że zwycięży i pogoni bolszewików za Kijów i dalej.

Słyszałem, że na polecenie marszałka ułana porucznika Buc-Pożarskiego aresztowano, postawią go przed sądem dyscyplinarnym, mają go też zdegradować i wsadzić za zabójstwo hrabiego do więzienia.

W Krakowie, Stefan, mawiają: Nie trza głową o mur tłuc, kto jest buc, to będzie buc.

A tak na marginesie, ta Hanna Kordonka-Lola to śpiewaczka ze złe dobranym repertuarem życiowym i artystycznym z nie swoim emploi. To, co ona uprawia, to raczej łacińskie *emptio spei* – kupno nadziei, losu na loterii. Czarno widzę jej dalszą karierę estradową i piosenkarską. Bo jest pełna pychy, a pycha idzie o krok przed upadkiem.

Stefan roześmiał się słuchając redaktora Boleszczycza, którego po ludzku lubił, ale nie aż do tego stopnia, aby mu podpowiedzieć, że tym łobuzem, który wywołał całe to zamieszanie pojedynkowe, był siedzący przed nim człowiek, czyli on. Poza tym, znając dziennikarza „Kuriera Codziennego”, wiedział, że ten jutro lub nawet dziś opublikuje rewelacje na jego temat, a wtedy byłby całkowicie skończony towarzysko, obywatelsko i finansowo.

Było mu oczywiście smutno. Ba! Wręcz duchowo i etycznie nieznośnie w duszy, że w pewnym stopniu i sensie przyczynił się do śmierci hrabiego Ignacego.

Ten facet, myślał Stefan, choć arystokrata i z pewnością wykształcony człowiek, zachowywał się tak, jak pan młody, który zaraz po ślubie rozstał się z nową żoną, bo zauważył pryszcz na jej twarzy, mimo że widział i wiedział, że Panna Młoda jest cała przyszczata. Lub tak samo jak inny młody żonkoś, który z panienką żył płciowo kilka lat przed ślubem i nagle był zdziwiony w noc poślubną, że jego wybranka nie jest już dziewczcą.

A co do *noblesse oblige* i niebieskiej krwi to też bez przesady, każdy orze jak może... już niejedna pica zjadła szlachcica.

Wszyscy ludzie mają czerwoną krew, a więc nawet pod mikroskopem szlachectwa nie widać. To gadanie o tej niebieskiej krwi, to gruba przesada. Mamy tylko różne grupy krwi, geny oraz różnych rodziców, różne zdrowie i otrzymujemy odmienne wychowanie, a potem mamy różne doświadczenia życiowe i jesteśmy albo szlachetnymi ludźmi, albo łajdakami. Prosić tylko codziennie dobrego Pana Boga, aby być zdrowym na ciele i umyśle, być dobrym dla ludzi jak chleb i więcej nic, a najważniejsze żeby nikt przez nas nie płakał.

Hrabia Ignacy to był prawdziwy elegant, subtelny, wytworny, miał wszystkie zalety serca i ducha, gorzej było niestety z umysłem. A żona? Ludzie mówią tak, że ładna miska jeść nie da. Ale jeść na przykład schabowego, ostrygi czy pasztety z dziczyzny z truflami na byle jakim talerzu, to w ogóle nie smakuje! Zresztą hrabiego, co by tu nie mówić stać było nie tylko na piękny, porcelanowy talerz, ale i na wykwintne dania na tymże talerzu. Z ponurych rozmyślań wyrwał Stefana kolejny toast wzniesiony przez redaktora Boleszczyca.

– Stefcu, wypijmy za honor i zdrowie naszego marszałka! Słyszałem, że tego porucznika ułanów Buca-Pożarskiego broni tylko adiutant naszego wodza, generał Wieniawa.

Pamiętam, jak po jednej z bitew I wojny światowej żołnierze I Brygady Legionów Polskich wzięli do niewoli carskiego oficera. Przepytyujący go późniejszy generał WP Bolesław Wieniawa-Długoszowski został zapytany przez Rosjanina, o co właściwie walczą polscy legioniści. Wieniawa odpowiedział:

– My walczymy o wolność. A wy, o co?

Na to Rosjanin:

– A my walczymy o honor!

– Widocznie, każdy walczy o to, czego mu brakuje – skwitował Wieniawa.

– Wszystkiego tego to bardzo ładnie się słucha – zauważył Stefan po wypiciu toastu za honor i zdrowie marszałka, ale to zdarzenie miało miejsce w innych realiach historycznych, było w innym czasowym kontekście. Cienia i wolności nie przydepczesz butem.

Andrzej W. Wodziński

Piotr Wojciechowski

Miękkie serce

Luba przechyliła się, aby zajrzeć na ekran smartfona Rocha. Po błękitnym polu ganiały się ludziki strzelające z automatów, a nad nimi przelatywały rakiety. Przelatywały i wybuchały.

Wyprzedziła ich ciężarówka, bryzgnęła błotem pośniegowym spod kół, przez moment zero widoczności. Potem wycieraczki przetarły szybę.

– Mamo, ktoś macha! – dobiegło z tylnego siedzenia.

Luba zwolniła, kiedy śnieg zakleił jej widok, więc teraz mogła się zatrzymać blisko machającego. Bała się podwozić obcych, ale przy takiej pogodzie nie można było zostawić człowieka na szosie. – Głupstwo robię – przemknęło jej przez głowę.

Młody w wojskowej kurtce podbiegł do auta. Był z gołą głową, śnieżna czapka topniała na krótko przystrzyżonych włosach, woda ciekła po chłopcęj twarzy.

Okazało się, że autobus nie przyjechał, a młody musiał złapać pociąg w Herbach. Bo do matki. Luba pomyślała, że nałoży kilometr, żadna sprawa. A jakaś matka przywita się wcześniej z synem.

– Rochu, tam ręcznik papierowy w schowku. Daj panu, niech chociaż włosy i buzię wytrze.

Zerknęła na lusterko wsteczne i ruszyła. Na tylnym siedzeniu sześciolatnia Zochna spoglądała z ciekawością na pasażera. Wycierał się. Luba spytała, skąd jedzie. Z niedaleka, poligonu, z jednostki.

Ujechali kawałek, kiedy poczuła, że Zochna odpięła pas bezpieczeństwa, przechyliła się przez oparcie i coś szepcze do ucha.

– Co? Przypnij się zaraz! Co?

– Mamo, dlaczego pan żołnierz płacze?

– Pan płacze? – spytała Luba.

– Ależ nie – ochryple zaprzeczył żołnierz. I płakał, wycierając sobie oczy papierowym ręcznikiem.

– To ja się tu muszę napić herbaty – zadecydowała Luba, skręcając na stację benzynową.

– Dla mnie kola – odezwał się Roch, niezmiennie pochylony nad swoją grą. Nie oderwał wzroku od ludzików i rakiet przez cały czas przy stole kafejki. Nawet nie wiadomo, co do niego dotarło z opowieści żołnierza.

– Ja do matki jadę – wyznał wojak, łapczywie jedząc żurek. – Przyznam się, że złamałem przysięgę. Przysięgałem matce, że się nie zgłoszę na misję zagraniczną. Matka tylko mnie ma jednego, boi się.

Luba pytała delikatnie i okazało się wszystko. Zochna słuchała z oczami okrągłymi ze zdziwienia. Pysio miała umazane kremem z ciastka, a uszy czerwone z emocji.

Wojak zgłosił się tam, gdzie strzelają, gdzie na minach giną ludzie. Pojedzie dla pieniędzy. Przegrał w karty, musi spłacić. Na dwa lata. Za pierwszy rok spłaci dług karcianym koleżkom, za drugi rok mamie kupi blaszany dach na chałupę.

– A jak ci na imię?

– Florian.

– Powiem ci, Florku, że pojedziesz do mamy następnym pośpiesznym. Albo jeszcze następnym. Teraz zawiozę cię do mojego taty. Powiesz mu, jak jest. Może coś poradzi.

– Co tu można poradzić? Podpisałem, dostałem przydział. Widzi pani buty? To już na wyjazd dostałem.

Zochna zanurkowała pod stół, aby zobaczyć żółte buty na wyjazd.

Wrócili do auta. Ledwie wjechała na drogę, uświadomiła sobie, że palnęła głupstwo, że mąż rzuci jakiś urywek zdania o odpowiedzialności, a potem zapadnie we wściekle milczenie. Będzie miał rację w stu procentach. Przypomniało się jej z dawnych czasów coś, co mogłoby ją usprawiedliwić, gdyby ktoś widział jej świat dwunastoletni. Kiedy ojciec znikł z ich życia, matka dostała komandirówkę do Winnicy. Pojechali we troje, Luba, Dymitr i mama. Tam Luba poznała Gretę i Trudę – siostry, Niemki i katoliczki. Mieszkali z rodziną Fiszerów drzwi w drzwi, w ceglany domu w Krasnokozackim Zaułku, o krok od placu Honty. Ojciec sióstr był instruktorem strzeleckim w klubie sportowym „Nywa”, a matka, tak jak matka Luby – nauczycielką w szkole krawieckiej. Greta miała czternaście lat i była wodzem trójki, Truda, młodsza i mniejsza od Luby, była u nich blazenkiem. We trzy wypuszczały się „do kawalerów”, wystarczyło przejść kładkę nad kanałkiem i znaleźć dziury w płotach przy szosie do Pohrebyszcza, a dochodziło się do ogrodzeń jednostki wojskowej. Tam było boisko siatkówki, blisko płotu z siatki i drutu kolczastego. Widziały, kiedy na boisko przyjdą ich rycerze, bajeczni witezie. Walili w piłkę rozebrani do pasa, opaleni, wspaniali. Klęli, kłócili się, żartowali, w słońcu popołudnia ich mokre od potu torsy grały węzłami mięśni. Nie wiedzieli nic o dziewczynkach, które już ich znały po imieniu, odróżniały ogolonych

na pałę szeregowych od krótko przyszytych podoficerów. Wybierały ukochanków. Greta miała prawo wybierać pierwsza, Truda oczywiście wybierała ostatnia i obydwie starsze dziewczyny bezlitośnie wyśmiewały się z jej wybrańców.

A cała gra polegała na tym, że ukryte za kolczastymi krzakami, za wybijającymi kępami pokrzyw, wszystkie trzy szeptały słowa zachwyty, zachęty, czułości, prześcigając się w tym kulcie wybrańców.

– Ach, patrz! Mój jak ściął! Jak wyskoczył! Kochany, cudny!

– A mój, słodki, malinowy! Odbił! Oleg, on ich wszystkich paluszkami powyraca!

– Hrycia nie wyróci! Król, Tarzan!

– Durna ty, Truda! Tarzan to małpa!

Zabawa trwała prawie do pierwszych śniegów. A potem w oczywisty sposób poszła w zapomnienie, utonęła w kłopotach, radościach, zajęciach. Przyszedł w końcu tamten wieczór, kiedy Lubę obudził szept matki. Przez uchylone drzwi widziała, jak matka pochyla się nad siedzącym na kuchennym taborecie człowiekiem, obmywa mu pokrwawioną głowę. Poznała, to był szeregowiec, wybrańiec rudej Trudy. Nie rozumiała rozmowy w kuchni, widziała tylko, jak matka daje żołnierzowi cywilne ubranie, zimowe buty ojca, jak pakuje chleb i słoik słoniny do ulubionego plecaka Dimy, zachowanego jeszcze ze Lwowa, tam Dima był w drużynie „płastunów”.

Kiedy matka wyprawiła żołnierza i wróciła do kuchni, zastała tam Lubę.

– Dlaczego, mamo? Dlaczego buty tatowe i wszystko dałaś?

– Trzeba czasem dać. Pamiętaj to Luba. Jak ktoś przed śmiercią ucieka, trzeba.

– I po polsku z nim rozmawiałaś?

– To Polak.

– A my?

– My też Polacy. Ale cicho o tym, Luba. Jak chcesz mieć spokojne życie, cicho o tym.

– A tato Polak?

– Czort wie, kto on, gdzie poszedł. On nie wróci. Pomódł się, idź spać.

Pokłoniły się ikonom i nie pamiętały. Dima się ani słowem nie upomniał o plecak, nigdy.

Teraz na pustym wąskim asfalcie prowadziła ostrożnie i wspominała z bólem. Żołnierz usnął obok niej.

Obudziła go, gdy dojechali. Dom Luby był z jednej strony tartaku w Ratajach-Polance, a dom jej ojca – z drugiej. Tartak, pośrodku, był własnością ojca, a Luby mąż pracował jako księgowy w tym tartaku.

Luba zawiozła żołnierza, przedstawiła ojcu. Chwilę później zatrzymała auto przed swoim domkiem. Czas było kończyć obiad, aby zdążyć, nim mąż wróci z pracy.

Zochna wyszła wyprowadzić psa. A Roch nie poszedł do siebie, tylko pochylony nad grą internetową, stał w kuchni przy oknie i zerkał na matkę.

– Wstyd mi za to twoje miękkie serce – odezwał się w końcu. I wyjął słuchawkę z ucha. Jedną, drugą zostawił. – Niepotrzebnie ciągle do dziadka posyłasz różne ludzkie biedy. Wydaje ci się, że jak dziadek ma z tartaku pieniądze, to poradzi na wszystko.

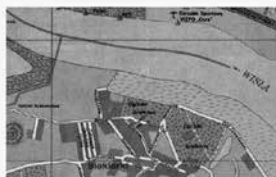
– Czasem poradzi – odpowiedziała Luba i dołała oliwy do kwaszonej kapusty.

– A teraz nie poradzi. I nie powinien. Jak ten żołnierz nie pojedzie, to na jego miejsce pojedzie inny żołnierz. I on, ten w zastępstwie, też ma matkę, co się boi. Czy ty telewizji nie oglądasz? Wojny są zawsze. A polscy żołnierze w tylu miejscach. I w Polsce czołgi produkujemy, amunicję, wszystko. Co tu podskoczy dziadek ze swoimi pieniędzmi?

– Roch! Jak ty o dziadku...? I powiem ci, synu przemądrzały. Ty masz teraz piętnaście lat. A za dziesięć lat może być tak, że ty będziesz w sytuacji jak pan Florek. Gry cię wciągają, sama widzę. Tam strzelasz na niby, ale przyzwyczajasz się, nie? Będziesz musiał do takich Florków strzelać. No i oni do ciebie. To i ja mogę się bać jak jego matka. Czy o tym pomyślałeś może?

– Ja o tym myślę bez przerwy – odpowiedział Roch i wetknął słuchawkę do ucha. To był sygnał, że chce skończyć rozmowę. Po ekranie jego smartfona biegały ludziki i strzelały. Rakiety nad ich głowami wybuchały co pewien czas.

Piotr Wojciechowski



**Piotr Wojciechowski
PRZEBIERAŃCY
I PRZECHODNIE
opowiadania warszawskie**



Opowiadanie pochodzi ze zbioru
Przebiekańcy i przechodnie,
wyd. Biblioteka Słów (imprint Biblioteki Analiz),
Warszawa 2019, ISBN 978-83-952611-5-2, stron 272.

Zbigniew Zbikowski

Mała literatura

(fragment powieści *Strażnik z Beauregard*)

– Następny!

Potężny głos co chwila wybucha i niesie się korytarzem jak niekończąca się letnia burza po upalnych dniach. Oddalająca się i nawracająca, z każdym kręgiem coraz bliższa, coraz bardziej gotowa splunąć ogniem na drewniane zabudowania. Pierzyny powiązane, zdekompletowana zastawa w starych tekturowych walizkach, połatane ubrania w lnianych workach, na wypadek, gdyby przyszło uciekać przed nawałnicą płomieni. Świece w oknach, ludzie na kolanach. Tak zawsze robili na Ukrainie, tak robią tutaj, w kazachskim stepie, w swych glinianych domach. Kazachowie z sąsiedztwa naśmiewają się, eh, wy, dokąd uciekniecie? Kismet. Przed losem nie ma ucieczki, wszędzie was dopadnie.

– Następny!

Piorun uderzył tuż przy uchu. Teraz jego kolej. Zwykle drzwi kołchozowej świetlicy stają się granicą światów, wrotami między kręgami przeznaczenia. Nie ma czasu na zdumienie, że to się dzieje naprawdę. Szybciej, szybciej, popędza członek komisji wojskowej z głosem Szalapina. Taśma stemplująca nowych czerwonoarmistów nie może mieć przestojów. Pięć kroków do stołu, za którym siedzi trzech w obcych w mundurach. Czuć samogon, ludzki pot i mazidło do butów. Najsilniej błyszczą dobrze wypastowane kamasze siedzącego w środku oficera w stopniu kapitana. Z boku, przy oddzielnym stoliku, chudy lekarz z kitem narzuconym na ramiona i grubawa pielęgniarka z plikiem dokumentów przyciśniętych do obfitej piersi.

Chciałby podać rozpiskę, z powodu której tu się znalazł, ale nie wie, komu ją podać. Żołnierz po prawej daje mu dwoma palcami znak, aby wręczył wezwanie właśnie jemu.

– Nazwisko?

Rudawy blondyn z kapitańskimi epoletami, zadający dziś to pytanie po raz dwieście trzydziesty czwarty, wspiera zmęczoną głowę na trzech palcach. Nie patrzy na poborowego, tylko w rozłożoną na stole gazetę.

– Kowalk. Iwan Aleksandrowicz.

Oficer kiwa głową, stukając jednocześnie ołówkiem. Poznał setki najdziwniejszych nazwisk. Kowalk to Kowalk. Nic mu do tego.

Sekretarz ma wrażenie, że czegoś nie dosłyszał. Zerka na rozpiskę.

– Kowalko?

– Nie, Kowalk.

Taśma pracuje. Dociekanie, dlaczego Kowalk, niczym jakiś ptasi korpus pozbawiony ogona, żołnierz bez godła, drogowskaz bez strzałki, a nie zwyczajnie, jak człowiek: Kowalko, Kowalczuk, Kowalkow, Kowalik czy nawet Kowalski, może być poczytane za opóźnianie produkcji, sabotaż. Pal licha, niech mu będzie Kowalk – ktoś jak nikt, kto może być każdym. Sekretarz zapisuje.

– Urodzony?

– Ósmego maja tysiąc dziewięćset dwudziestego pierwszego.

– Miejsce urodzenia?

– Lwów.

Stukanie ołówkiem ustaje. Kapitan bez podnoszenia głowy powoli unosi przekrwione gałki oczne i spogląda przez krzaczaste brwi. Po raz pierwszy ogarnia spojrzeniem sylwetkę wychudłego niewysokiego młodziana z jasną grzywą włosów opadających na czoło. Ma jedną sekundę na zadanie dziesięciu pytań, których nie wolno mu zadać. Lwów, powiadasz? A co też twoja mać robiła we Lwowie w dwudziestym roku? Kim ona jest? A ten Aleksander, co cię zrobił w sierpniu dwudziestego roku, jakiego pochodzenia? Ukraińskiego? Rosyjskiego? Polskiego? A ty sam, kto? Ten azjatycki rys w oku to po jakich przodkach, ha? Skąd się wziąłeś w Kazachstanie? Wywieziony z innymi spod Żytomierza i porzucony w stepie? Czy może inaczej – ojca przenieśli urzędowo w trzydziestym szóstym za jakieś niedopatrzanie w pracy do miasta Kokczetaw? A w końcu jakie to ma znaczenie! Jutro dostaniesz karabin do ręki albo i nie, za tydzień, z karabinem czy z gołymi rękoma pójdziesz w bój, być może pierwszy i ostatni raz.

– Narodowość?

Znaczy co? Moja ojczyzna to Sowiecki Sojuz, ale nie ma takiej narodowości. Ma powiedzieć, że polska, bo gdy wydał pierwszy krzyk, wydobywszy się z brzucha matki i straciwszy z nią kontakt przez przeciętą pępowinę, w mieście akurat powiewały flagi białe-czerwone? Czy ukraińska, bo na sowieckiej Ukrainie spędził wygłodniałe do bólu dzieciństwo i wczesną kartoflaną młodość? Bo jeśli liczy się język, to w domu mówiło się po domowemu, ni to po rosyjsku, ni po ukraińsku, często też jakieś polskie słowo wpadło. To jaka będzie narodowość? Przecież nie kazachska. W ich

wsi pod Kokczetawem mieszkają trzy rodziny kazachskie, a ukraińskich trzydzieści. Plus trzydzieści polskich i tyle samo niemieckich. Ukraińcy mieszkają się z Niemcami, Polacy z Ukraińcami. Czort znajet, jakiej kto jest narodowości.

– Rosyjska – oświadcza z półsekundowym opóźnieniem.

W szkole mówił po rosyjsku, w urzędzie po rosyjsku, czytał rosyjskie książki i śpiewał rosyjskie pieśni masowe. Być rosyjskiej narodowości teraz najbezpieczniej.

Kapitan patrzy na niego przenikliwie, dla wyostrzenia obrazu mrużąc oczy.

– Zapisać – mówi do sekretarza, który na moment zawiesił pióro nad odpowiednią rubryką. – I do lekarza.

Sekretarz zapisuje, podaje papier i wskazuje głową stolik medyczny.

Przechodzi pięć kroków na prawo. Lekarz wyciąga rękę, bierze dokumentację i rzuca na nią okiem.

– Nazwisko!

– Kowalk. Iwan Aleksandrowicz.

– Rozbierać się.

Stoi w wypłowiałych szortach, niegdyś dumnie zwanych błękitnymi, i w zszarzałym bezrękawniku. Co ma zdjąć? Ściąga podkoszulek.

– To też. – Doktor lekceważąco pokazuje majtki.

Pielęgniarka patrzy obojętnie. Widziała tę scenę setki razy. On nie-
pewnie pozwala szortom zsunąć się z bioder i odruchowo krzyżuje dłonie na podbrzuszu.

– Opuścić! – krzyczy lekarz. – Odwrócić się!

Opuszcza ręce i natychmiast obraca się na pięcie. Czuje pomieszenie wstydu, upokorzenia i podniecenia.

– Przodem! – słyszy polecenie.

Odwracając się, natyka się na łagodne spojrzenie pielęgniarki. Jej oczy kają mu się uspokoić. Wiesz, chłopcze, ilu synków takich jak ty przemaszerowało przed moimi oczami? Białych i śniadych, chuderlawych i umięśnionych, gładkoskórych i obrośniętych, z naprężonymi i skurczonymi, pomarszczonych i obrzezanych? Wiesz, ilu z nich widziałam wkrótce bez rąk i nóg, z bebechami na wierzchu, zakrwawionych, ogłuchłych, oślepionych? Ilu dotykałam zimnych, zniekształconych, z wypływającym z czaszki mózgiem, z otwartym sercem, z nogą wyrwaną aż po miejsce, które teraz próbujesz zasłonić? Zapomnij o wstydzie, zapomnij o wszystkim, co słyszałeś o dumie. Jeśli twoja dusza tkwi wciąż w poprzednim kręgu, za tymi

drzwiami, jeśli jeszcze tęskni i płacze, zanurzona w pożegnalnym wieczorze przy wódce i akordeonie, to ciało należy już nieodwołalnie do kręgu krwi i prochu nieugiętej Krasnej Armii, przychodzącej po nie jak po swoje w kazachski step i syberyjską tajgę.

– Skarży się na coś? – pyta lekarz.

O co pyta? Czy dobrze się czuje? Czy nie choruje? Czy chce ofiarnie i bez słowa skargi służyć Stalinowi i ojczyźnie, gotów oddać za niego i za nią, bo on i ona to jedno, jak oblubieniec i oblubienica, swe młode życie? Kręci przecząco głową.

– Zrób skłon – pada polecenie.

Sięga palcami rąk do stóp.

– Teraz przysiad.

Wyciąga dłonie przed siebie, jak na gimnastyce, przysiada i zaraz sprężycie się podnosi.

– Zdrów – orzeka lekarz, zwracając się do pielęgniarki.

Ta coś zapisuje w odpowiednich rubrykach i przenosi kartę do stołu, przy którym siedzi kapitan z sekretarzem i tym trzecim, nic niemówiącym. Oni pochylają się nad papierem i kiwają głowami.

– Zdolny – stwierdza kapitan.

– Zgadzam się – potwierdza sekretarz.

– Zgadzam się – mruczy ten trzeci basem.

Chłopak już stoi przed stołem, w szortach i podkoszulku.

– Strzelać umiesz?

– Melduję, że umiem.

Nagle truchleje. A może to źle, że umie? Lepiej powiedzieć, że nie umie? Bo gdzie się nauczył i kto go nauczył? Za późno. Przewodniczący komisji musi w sekundę podjąć decyzję. Przydzielić mu karabin, czy też w pierwszy bój pójdzie z gołymi rękoma, w nadziei, że jego uzbrojony towarzysz pierwszy padnie, a wtedy będzie mógł zabrać jego broń. Teraz wszystko staje się ważne. Jego wzrost, głos, akcent, deklaracja narodowościowa i to, że urodził się we Lwowie, choć nie zdążył zobaczyć miasta na swoje dziecięce oczy, bo jeszcze jako niemowlę zabrali go stamtąd pod Żytomierz, gdzie mieszkała rodzina matki. Może należało wspomnieć, że ten Lwów to przypadek, mimo że nikogo to nie obchodziło, bo cóż może znaczyć miejsce urodzenia dla martwego czerwonoarmisty poległego w pierwszym boju? A jeśli dla tego oficera w wyglansowanych butach ta jedna sylaba zaklęta w cztery litery wywołuje przyjemny błysk w umyśle i drgnienie w sercu,

i dzięki temu zrobi w papierach malutki sekretny znaczek, przez który nie pošłą go do ataku w pierwszej linii?

– Odmaszerować! – pada zza stołu rozkaz.

Iwan Kowalk salutuje.

– Tak jest, towarzyszu kapitanie! – melduje i odchodzi.

Kiedy jest już przy drzwiach, oficer pochyla się ku sekretarzowi i poleca:

– Karabin.

– Kiedy już nie mamy.

– Znajdźcie.

Sekretarz wpatruje się w listę. Przesuwa palec coraz wyżej, potem go ślini i przewraca kartkę. Zatrzymuje się przy nic niemówiącym mu nazwisku jakiegoś Mamedowa. Zamazuje małą literę „k” w rubryce „zdolny” i stawia taki sam znak w papierach Kowalka.

– Charaszo – stwierdza kapitan.

Siedzący po jego prawej stronie podoficer już jest przy drzwiach, za którymi zniknął Iwan. Otwiera je i głosem jak grzmot woła:

– Następny!

Zbigniew Zbikowski

Przekłady Alicji Patey-Grabowskiej

Walter Neumann

Zukunft

Wie der Wind
die Tannen bewegt.

Schwarz von den Dächern
wehen die Fahnen

Wie der Himmel regungslos
über den Bergen steht.

Wie sie Alle
das Ende ahnen.

Abendgang

Am klaren Himmel Schwam des Mondes Schatten,
indes das Abendrot noch über Berg stand.
Und aus den Talern Siegen Nebel
und zogen Schleier übers Land.

Du hieltest inne, sprachst: Nun Schlingt
das Zwielflicht schon sein düsteres Band
um unsre Welt. Wie ist mir bange
vor soviel Totenstille, drohend, unerkant.

Der Sonne Widerschein erlosch, die Baume
verschlossen sich zu einen dichtet Wand
Wir gingen weiter, und des Mondstrahis Kalte
Schmitt unsre Spuren aus dem harten Sand.

Przyszłość

Jak wiatr
porusza jodłami.

Czarno z dachów
powiewają flagi.

Jak niebo nieruchomo
stoi nad górami.

Jak wszyscy
koniec przeczuwają.

Wieczorna przechadzka

Na czystym niebie płynął księżyc cień
podczas gdy zorza wieczorna jeszcze nad górą.
A z dolin podnosiły się już mgły
i pokryły cały kraj.

Zatrzymałaś się, powiedziałaś: Teraz mrok
owija już swoją mroczną wstęgą
nasz świat. Tak się boję
śmiertelnej ciszy, mroźnej, niepoznanej.

Odblask słońca zgasł, drzewa
zamknęły się w gęstą ścianę.
Poszliśmy dalej, a chłód księżycowego promienia
wyciął z twardego piasku nasze ślady.

Walter Neumann ur. w 1926 r. w Rydze. Po wojnie zamieszkał nad Jeziorem Bodeńskim, m.in. w Bielefeld. Autor kilkunastu tomików poezji, artykułów, esejów. Członek niemieckiego Pen Clubu. Wyróżniony wieloma nagrodami literackimi, między innymi prestiżową nagrodą Andreas-Gryphiusa i Eichendorfa. W roku 2018 wyszła jego książka *Dziennik młodego Niemca* w tłumaczeniu Lilianny Lewandowskiej. Obydwa wiersze pochodzą z książki pt. *Botschaften der Liebe* (Orędzie miłości) wydanej w 2001 r.

Przełożyła i notą opatrzyła Alicja Patey-Grabowska

Przekłady Anny Bańkowskiej

Rupert Brooke (1887-1915)

Żołnierz

Jeżeli legnę, to pomyślcie sobie,
że skrawek pola na obcej rubieży
jest już na zawsze Anglią. Tam to bowiem
pod żyzną ziemią proch ukryty leży.

Proch tego, kogo Anglia kiedyś sformowała,
kto jej ścieżki ukochał i kwiaty na łące,
Z ciała Anglii zrodzony, jej powietrze wdychał,
obmyły go jej wody, pieściło jej słońce.

Pomyślcie, że to serce, co zła się wyzbyło,
wciąż bije i bić będzie poprzez całą wieczność.
Że to, co z Anglii wzięło, odda innej glebie –

te widoki i dźwięki, sny szczęsne i miłe,
śmiej przyjaciół serdecznych i wielką łagodność,
z pokoju serc zrodzoną pod angielskim niebem.

Mówiłem, doskonale cię kocham

Mówiłem, doskonale cię kocham; tak nie jest.
Nie dla morza wśród łądów długie, rącze fale.
Na bogów, głupców – ciebie – spada zagrożenie,
Mnie owa gorzka słodycz nie nęci zaś wcale.
Miłość wzbija się z ziemi w ekstazie ku słońcu,
Miłość z nieba do piekła spada jak szatani.
Lecz są jeszcze pośrodku ludzie w mgle błędzący,
Co łakną cieniów, bliskości. Ci nie wiedzą sami,
Czy w ogóle kochają, a jeśli – to kogóż:

Damę ze starej pieśni, błaznicę w przebraniu,
Fantomy, a może swą własną twarz w mroku,
Dla miłości Miłości? Przez samotność serca?
Rozkosz ni ból nie dla nich. Wątpią, tęsknią srodze
I nie kochają w ogóle. Z tych ja się wywodzę.

Przełożyła Anna Bańkowska

Przekład Katarzyny Boruń-Jagodzińskiej

Rudolf Dilong (1905-1986)

Ze zbioru „Pod krzyżem”

(Fragmenty poetyckich rozważań pasyjnych „Pod krížom”, 1967)

(...)

Jesteśmy poranieni, bolą nas już kraje.
Jestem wygnańcem, który żyje z krwawienia,
a krwawi także w pieśni mojej Bóg;
tylko w złudzeniach moich jestem sam,
ale ty, we mnie odnowiony Chryste,
na nowo ochraniasz mnie prawdą,
że idę z tobą w twoich rękach,
na których są wszystkie rany na Ziemi.

To było tylko spojrzenie na nasz świat,
a to nie jest nasz świat,
to był most, gdzie się płaci myto, co widzieliśmy,
już więcej tego nie widzimy,
i tego, czego chcieliśmy, nie tracimy;
pod nogami pali się nam ziemia,
kraj z nami ginie,
tylko twoje stopy, Chrystusie na krzyżu,
gwoździami trzymają ziemię.

Muszę zarabiać na życie w imię Boga,
spójrzcie, oto mam chleb i nadzieję;
biedni się rozśpiewają jeszcze,
gdy zakwitną drzewa wiśni;
kiedy jest susza, bez deszczu,
płaczemy przed tobą, o, Boże,
kiedy lata nie są dobre,
szepczemy, że jesteś z nami;
nawet na swój pogrzeb potrzebujemy cię, Boże,
pod akacjami odpoczniemy na cmentarzu.

Powiedz nam, gdzie uciec, skoro przyjdiesz wszędzie!
 i każde nasze zmęczenie i każdy nasz pot pojawi się
 na twoim czole; w twoim ziarnie
 jest nasze ziarno; wszystkie modzele
 są na twojej dłoni, każdy krzyk w twoim głosie;
 a kiedy anioł zbliża się do ciebie z kielichem,
 wszyscy patrzemy na twoje palce.

Powiedz nam, że czas nie jest naszym czasem,
 kiedy wieki są już w tańcu płomieni,
 a chleb nam zgorzkniał w chwili, kiedy przyszła
 era atomów a płot wokół naszego domu
 jest katafalkiem, teraz zegar bije
 i nasz dzień pada po kropli
 do grobu, jesteśmy we władzy śmierci,
 chyba że Golgota nas ocali,
 chyba że Longinus zawoła:
 On zaprawdę jest Synem Bożym!

(...)

Pierwszy upadek

Upada po raz pierwszy. Wąskie uliczki
 są za ciasne dla krzyża, cień skazanego
 skręcił się na ziemi. To ludzka rzecz słabnąć,
 nadal jest droga naprzód, wstaniemy
 i pójdziemy. Krzyż należy do człowieka, upadek
 do Ciebie, ziemia jest twarda. Ktokolwiek z nas
 zniszczy w ciele skrytkę nieba,
 zniekształci to żywe tabernakulum.
 Jakiemukolwiek grzechowi się poddamy,
 my, zgasły słaby głos, my, zabłąkany pył,
 płonący w orbitach snu
 i padający na błyszczące gwiazdy,
 my, uderzeni o ziemię.
 Pielgrzymie, na Ziemi grzech jest, a nie w gwiazdach,
 Tylko tutaj uderzenie nas boli.

(...)

Kogo szukacie?

Jezusa z Nazaretu,
wiemy, który to!

A przecież nie wiecie,
nie umiecie odnaleźć Boga.
Dlatego to za mało
schwytać Nazarejczyka
i pomyśleć sobie, że Bóg
poblądł
przy pocałunku za grosz.

Rudolf Dilong (ur. 1 sierpnia 1905, Trzciana, Słowacja, zm. 7 kwietnia 1986, Pittsburgh, Pensylwania, Stany Zjednoczone) – słowacki poeta, publicysta, redaktor czasopism literackich, ksiądz katolicki, franciszkanin. W dzieciństwie wczesnie stracił matkę, żył w biedzie, źle traktowany przez macochę. W latach 30. i 40. należał do słowackiego ruchu tzw. Katolickiej Moderny, która uwolniła poezję o orientacji katolickiej od teologiczno-moralizatorskiego utylitaryzmu. Z jednej strony eksperymentował z językiem, tworzył literackie mistyfikacje, z drugiej strony nieraz z patosem poruszał tematykę patriotyczną. Działalność na polu literatury i twórczość Dilonga spotykała się ze skrajnymi ocenami środowiska literackiego oraz władz kościelnych. W 1941 roku jako kapelan został wysłany na front wschodni. Od 1945 roku przebywał na emigracji we Włoszech, w Argentynie i w końcu od 1965 r. w USA. Współpracował z antykomunistycznym Radiem Barcelona.

*Z języka słowackiego przełożyła i notą opatrzyła
Katarzyna Boruń-Jagodzińska*

Przekłady Andrzeja Marka Grabowskiego

Jarosław Haszek

Wiersze wojenne¹

W sierpniu 1915 roku trwała kontrofensywa państw centralnych, które po stratach doznanych na początku wojny przesuwali się coraz bardziej na wschód, wypierając Rosjan z zajętych w 1914 roku terenów.

Jarosław Haszek, jako żołnierz austriacki, wraz ze swoją kompanią przebywał na Wołyniu, gdzie pod koniec lipca uczestniczył w niezwykle krwawej i tragicznej bitwie o Sokal. Pierwszego sierpnia zdziesiątkowana kompania została przeniesiona do rezerwy w miejscowości Żdżary. Dwa tygodnie spędzone we względnie spokojnym były dla wycieńczonych fizycznie i psychicznie żołnierzy pobyt w raju.

Właśnie w Żdżarach Jarosław Haszek, dla zabicia czasu i ku rozrywce kolegów, a być może przede wszystkim po to, by nie myśleć o okropnej sytuacji w jakiej się znalazł, zaczął pisać rymowane utwory.

Trzeba tu przypomnieć, że jego debiutem literackim był wydany w 1903 roku, wraz z przyjacielem Ładysławem Hajkiem Domażlickim, zbiorek wierszy *Majowe okrzyki*.

Powiedzmy sobie szczerze, dzięki „poetyckiej” twórczości Haszeka nie miał szans dofrunąć na Parnas, toteż szczęśliwie się złożyło, że z pisania wierszowanych utworów szybko zrezygnował na rzecz prozy.

Jednak „wiersze”, pisane z charakterystyczną dla autora gorzką ironią, stanowią niezwykle ciekawy dokument pobytu Haszka na froncie oraz są interesującym uzupełnieniem *Przygód dobrego wojaka Szwejka podczas wojny światowej*.

¹ Tytuł pochodzi od tłumacza.

Płacz kaprała*

Różne są tytuły, które można zdobyć:
zostać radcą dworu, w ministerstwie siedzieć,
albo srebrną gwiazdką mundur przyozdobić,
by z pychą – jestem fraitem – móc sobie powiedzieć.

Lecz taka promocja często mylić może,
bo ileż to kapral musi znosić cierpień,
nie masz wszak wyzwiska na tym świecie bożym,
którym by ten biedak nie dostał po gębę.

Każdy chce osiągnąć pożądany skutek,
zwracając frajtrowi bez przerwy uwagę,
że z domu wariatów on zapewne uciekł,
a szarża uszczęśliwia zwykłego łamagę.

Wyzwiska bez przerwy dokoła się mnożą
i wszyscy na ciebie chętnie patrzą z góry,
bez przerwy słyszysz, żeś bydlątkiem bożym...
Twój awans ma doprawdy kolor dość ponury

Gdy kapral gdzieś idzie, różne słyszy krzyki,
całej zoologii nauczyć się może,
traktują go jakby głupi był i dziki,
rzadko kwiaty ścielą się na jego drodze.

Wszystkiemu jest winien, wszystkich strasznie złości,
każdy myśli, że może na niego narzekać,
dla głupoty frajtra nikt nie ma litości,
awans to nie żarty – to wszystko cię czeka.

Nieraz rzucą za tobą skrytobójczy kamień,
z pogardą ktoś splunie, gdy z dała cię widzi,
o, godności zapomnij, powiedz, chłopie – amen,
kapral między ludzi już chodzić się wstydzi.

Nikommu już nigdy nie spojrzysz na usta,

wiesz, ile jadu, może spłynąć stamtąd,
w najlepszym razie to obelga pusta,
która często, niestety, nie mija się z prawdą.

* Jarosław Haszek po bitwie o Sokal, w czasie której wziął trzystu (!) jeńców, został mianowany kapralem. Wzięcie do niewoli tylu żołnierzy wynikało nie tyle z odwagi i waleczności Haszka, co z pragnienia Rosjan, by dostać się do niewoli. Paradoksalnie, autor w swojej twórczości wielokrotnie dawał wyraz swojej niechęci do kaprali oraz jak pisał, „wszelkiego kapralstwa”.

Woenny poemat o wszach

Wy*, małe zwierzątka, które w dzień i w nocy,
nas – dzielnych bohaterów wciąż niepokoiacie,
na pastwę Wam wydani, bez żadnej pomocy,
mundury przeszukujemy walcząc o życie...

Należy się Wam w dziejach miejsce honorowe,
wszak to Wy nigdy strażom nie dajecie spać,
ich czujność zwiększacie, istoty wyjątkowe
i za ten wysiłek swą miłość chcę Wam dać!

Tulicie nas, wierne, i w okrutne boje
bez chwili oddechu porywacie nas,
weszki malutkie – pociechy Wy moje,
czy ktoś przed Wami nie trząśł się choć raz?

Wy rozpraszać długie, nudne chwile,
gdy cichnie nieco groźny hałas dział,
dzięki za zabawę, którą nas raczycie,
a której głupi cywil nigdy wszak nie znał.

Gdy koszulę ktoś zdejmie w bożej bojaźni,
by szew każdy przeszukać, gdzie kryjówki Wasze,

już pytania się mnożą jak nagusy w łaźni,
pytania proste: „Ty już masz je także?”

Nieszczery hipokryci, szukacie ich skrycie
cichymi nocami, gdy usypia kraj,
straszenie bojaźliwi, gdy weszki ujrzenie
tniecie paznokciami żywota ich maj.

Inni całkiem jawnie – nie wstyd im nagości,
szybko zrzucą bluzy i zdejmują spodnie,
podrapiają plecy, brzuch i przyległości,
wszak tak honorowo jest i najwygodniej.

Na oczach wszystkich bez wstydu wszy biją,
tam, gdzie je znajdą – i młode, i stare,
a gdy ujrzą te, które jeszcze żyją
bezwzględny paluchem dobiją tych parę.

Nie znają miłości, nie znają litości,
rodziców zabijają, mordują sierotki,
rano, w południe, w zmierzchu szarości,
siarką wypalają białe zarodki.

Lecz wszystko na marne – nowe rzędy rosną,
i już suną atakiem po całym ciełe,
więc smutną prawdę, chłopie, poznasz prostą,
stracone masz święta, przegrane niedziele,

a po wielu latach, w miłym wnucząt kręgu,
dziadek o bitwie nad Bugiem powie straszne rzeczy,
o bitwie z wrogami co w gaciach się lęgną
i nie zapomni przy tym podrapać się w plecy.

* Haszek, zwracając się do wszy, za każdym razem używa wielkiej litery.

List*

Z tej obcej ziemi, przyjmij list ode mnie,
z dalekich krajów spoza gór i lasów,
czas na Wołyniu dłuży się niezmiennie,
poetą zostałem, dla zabicia czasu.

Nastąpi cisza, nie grzmia dzisiaj działa,
znów atak Rosjan odparliśmy wczoraj,
papierosa trzeciego spokojnie zapalam
i list do Ciebie piszę tego wieczora.

Wrześniowy dzień, jakich wiele jesienią
każe opadać żółciejącym listkom,
kartki w kalendarzu wielokroć się zmieniają,
zanim ujrzę Twą postać sercu tak bliską,

Każda wiadomość dla mnie jest tak miła,
więc spełnij, proszę, to życzenie moje,
by ten, którego nadzieja dawno opuściła,
dostał list, a w nim ciepłe słowa Twoje**.

Płonie wieczór zorzą, schowało się słońce,
a rosyjskie wojsko nadal ustępuje,
jutro znów zaczniemy nasz armatni koncert,
pozdrow wszystkich, ja już się odmeldowuję...

Twój

* Jarosław Haszek zostawił w Pradze żonę Jarmilę i urodzonego w 1912 roku syna Rysia. Co prawda był z żoną w separacji, jednak najwidoczniej tragiczne przeżycia wojenne skierowały jego myśli w stronę opuszczonej rodziny.

** Tłumacz z bólem serca przytacza w tym miejscu dokładny rym znajdujący się w oryginale.

Pieśni o latrynie

Jest pewna rzecz, która ważną rolę
odgrywa w wielkim wojennym zamęcie,
gdy wzrok zatrzymasz na odkrytym dole
ten widok nie zniknie już z twojej pamięci.

Prościutki dołek, krótki albo dłuższy,
który kopła pracowita ręka,
aby wiernie służył żołnierskiej tłuszczy
umieszczona nad nim jest solidna żerdka.

Na tej gałęzi, jak przed odlotem
jesienią ptactwo siada na drucie,
ujrzysz skupioną pewną wspólnotę,
lecz inny jest powód tych dziwacznych uciech.

Druh obok druha przycupnie na chwilę,
wszak człowiek to jest społeczne stworzenie.
Już wnet szczęśliwy, lekki jak motylek,
spokojnie z żerdki unosi siedzenie.

Jeden krótko, inny długo tam siedzi,
zależnie od wielu okoliczności,
ten się uśmiecha, a drugi się wstydzi,
a zatem nie ma w nim ni krzty radości.

Ktoś milczy z twardym uporem na twarzy,
boleśnie przy tym obliczem kręci,
inny zaś gwizdże w bojowej ekstazie,
jednak nikogo tym nie zachęci.

A ów milcząco, z miną filozofa
i spokojem stoika rzymskiego,
by poznać prawdę przed niczym się nie cofa,
patrzy do tyłu na swoje dzieło.

Wielu to robi w pędzie niesłyszczanym,
by już po chwili przybiec tam z powrotem,
inny znów siedzi jak zamurowany,
na myśl, że wstać trzeba, oblewa się potem.

Jeszcze ktoś ze znanstwem kolegów krytykuje,
wszak w cenie zawsze jest dobra rada,
lecz sprzeczki i niesnaski często wywołuje,
z powodu tego, co do dołu wpada.

Gdy wreszcie jama zapełni się całą,
zamiast niej zostanie wykopana nowa,
szybko poświęci ją wystrzał z działa
i cała historia zacznie się od nowa.

I pszczoła zatańczy tam, i much roje,
dół chrząszcze ożywią, młode i stare,
nowe dla nich powstaną życiodajne źródło,
a najwięcej zyska znany żuk gnojarek.

Jego dzieci czas latryn będą wspominać,
jak żniwa przebogie, z wielką ochotą
i zaczną tę erę z wdzięcznością nazywać
czarodziejską, bajkową żuków erą złotą.

A na latrynach, już najbliższą wiosną
groch liście wypuści i kwiat jak marzenie,
fasoli strąki dorodne urosną,
zaś duszę poety wypełni natchnienie.

W rezerwie

Wozy z amunicją pędziły w kurzu pola,
grzmiały obok nas salwy dział,
a pieśń szrapneli wyła dookoła
i haubic koncert wokół brzmiał.

To nie działało nam na nerwy
tam, gdzie posłano nas do rezerwy:

Sierżant rachuby Vaniek* spokojnie sobie śpi,
a gdy się budzi, ze zdziwieniem pyta:
Czy mi się zdaje, że to bitwa grzmi?

A Krejczy, choć szrapnele walą w dali,
spokojnie papieroska pali,
zaś trębacz w krzakach sobie bzyka
pieniądze chowa do portfeli.
Najstraszniejsze jednak w czas wojennej słoty
są Franty Straszlipki** stare anegdoty.

* Sierżant rachuby Jan Vaniek, postać znana ze stron *Przygód dobrego wojaka Szwejka*.

** Franciszek Straszlipka, służący nadporucznika Łukasza. Według wielu historyków to on był pierwowzorem postaci dobrego wojaka Szwejka.

*Przekład z języka czeskiego i przypisy
Andrzej Marek Grabowski*

Przekład Gabrieli Kurylewicz

William Shakespeare

Jak wam się podoba, II, 7, Monolog Jakuba

Cały świat jest sceną,
a mężczyźni, kobiety tylko aktorami.
Mają swoje zejścia i swoje wejścia
i każdy, kiedy pora, gra wiele ról
w siedmiu aktach życia. Wpierw dziecko –
wierci się i ślini w ramionach niani.
Potem uczeń, rano jasny, wyspany,
niesie tornister i jak ślimak pełźnie
do obrzydłej szkoły. Później kochanek,
którego westchnienia grzeją jak piec,
i który z płaczem śpiewa o brwiach kochanki.
Później żołnierz z gębą pełną przekleństw,
z wąsami jak lampart, zazdrosny o honor,
w kłótni prędko, nagły, dla pustej sławy
wkroczyłby nawet w gardło armaty.
Później tłusty sędzia, kapłanami karmiony,
z okiem surowym, brodą modnie ciętą,
zongluje mądrościami, nowościami,
i tak rolę swoją gra. Akt szósty odmiana:
wchodzi starzec w kapciach, wychudły,
w okularach, przy boku sakiewka,
jego pończochy, z czasów młodości, jeszcze
w dobrym stanie, wiszą za luźne na cieniutkich
łydkach, a głos dawniej niski, męski
znowu jest wysoki i słychać w nim
piski i gwizdki. Akt ostatni, kończący
tę dziwną pełną zdarzeń opowieść – to
drugie zdziecinienie, zapaść umysłu,
gdy się traci zęby, oczy, smak, wszystko.

2020

As you like it, II, 7, Jaques

All the world's a stage,
And all the men and women merely players.
They have their exits and their entrances,
And one man in his time plays many parts,
His acts being seven ages. At first, the infant,
Mewling and puking in the nurse's arms.
Then the whining schoolboy, with his satchel
And shining morning face, creeping like snail
Unwillingly to school. And then the lover,
Sighing like furnace, with the woeful ballad
Made to his mistress' eyebrow. Then, a soldier,
Full of strange oaths, and bearded like a pard,
Jealous in honour, sudden and quick in quarrel,
Seeking the bubble reputation
Even in the cannon's mouth. And then the justice,
In fair round belly with good capon lined,
With eyes severe and beard of formal cut,
Full of wise saws and modern instances;
And so he plays his part. The sixth age shifts
Into the lean and slippered pantaloon,
With spectacles on nose and pouch on side,
His youthful hose, well saved, a world too wide
His shrunk shank, and his big, mainly voice,
Turning again toward childish treble, pipes
And whistles in his sound. Last scene of all,
That ends this strange, eventful history,
Is second childishness and mere oblivion,
Sans teeth, sans eyes, sans taste, sans everything.

Przekłady Krystyny Rodowskiej

Pierre Nepveu

Scena

autostrada przecina
pejzaż stawia opór
z całą mocą swych gór
zrytych przez tłumy
drapieżniki czyhają
w ostatniej dzikiej dolinie

w pobliżu jeziora za zakrętem
dzieci się obrzucają
puszkami po piwie
na plaży skazanej na śmierć

pędzimy do utraty tchu
gdzieś między czasami

Odnowa

Wszystkiego od nowa się uczyć. Zawsze.
Ziemia którą skopałeś
w głębi siebie znów staje się błotem
i deszczem, a twój oddech dobyty
z gardła i z gąszczu drzew
świszczy z siłą wiatru: przemijać, zapomnieć.
Zabrakło kartek, słów nie ma
by wyrzucić na brzeg milczenia
twoje najbardziej radykalne zdania.
I wciąż ten klekot przysłówków,
biżuteria zużytych epitetów.
Zaczynasz od nowa w trawie,

układasz się do snu w jej szeleście
 wśród pracowitych mrówek,
 wśród jej brzęczenia, przebudzeń
 mówisz: trawa jest dreszczem,
 myślisz o ziemi
 w której wnętrzu uwijają się korzenie,
 a ty im zazdrościsz.

Podziemny śpiew

Nic nie zastąpi powrotu do zdrowia,
 nawet uśmiech człowieka,
 gdy odzyska siły i swoje pole,
 nawet wzruszenie, które w nim budzi równina,
 ostrzegająca go przed porywem wiatru,
 gdy ten nadciąga z oddali, gdzie wioski mają duszę,
 nawet las, nabrzmiały od mikroklimatów,
 co uśmierza w swym wilgotnym uścisku ludzką rozpacz;
 nic nie zastąpi powrotu,
 wszystko jest dziwne, jakby to było wczoraj,
 a do Pana tych miejsc
 pod niebem rześkim, obmytym przez burzę,
 dochodzi tylko łkanie podziemnego źródła.

Duchy

Lotnisko opustoszało, podmuchy powietrza
 umykają przed szperaniem w bagażach a Panu Granic
 śnią się rzędy wybebeszonych walizek
 i mózgów z których parują toksyny.
 Czasem pod wieczór przetoczy się jeszcze
 ukryta kamera, fantom bez papierów
 oddali się, gwizdząc nieznaną melodię,
 przez świetlik wychodzący na gwiazdy
 ujrzę korowód duchów (jeśli otrzymam
 dar widzenia) niczym lot wśród nocy,

zawieszony między północą a południem,
i moje własne myśli dochrapia się nieba,
by doczekać świtu.

Ziemiańin

Nie doświadczyłem zaprzeczonych żywotów,
lecz wyobrażam sobie wieśniaka,
pochylonego nad ziemią w chwili, gdy z niej odczytuje
mity tego świata, sam na sam
z wiatrem i własną encyklopedią
ptaków i kwiatów,
niosącego w sobie powieść kryminalną
o zmarłej żonie i synu,
przybitym do krzyża w pełnym blasku
swojej miejskiej pasji, czyżby
ten mężczyzna w kombinezonie, gdzieś w kwietniu,
idący niepewnie w ciepełko próchnicy,
przeczuwający woń siana
i lucerny przy szemrzącym strumieniu,
który zadaje kłam wszelkim nieszczęściom,
był mną?

Ślady

Linie – gdy znika samolot – są mało czytelne
na niebie, żyjemy uczepieni podłoża,
tam, gdzie dusza oddaje głos ciała
i nawet ziemia staje się przyjaciółką
zdradliwą, po której stąpamy niepewnie,
ale raptem wszystko się otwiera,
gdy przez okno wpada rześkie powietrze,
widziadło świata owiewa oddechem
stół nagle rozległy jak równina,
ostatni mieszkańcy opuścili domy,
a wtedy niebo sprane ustępuje miejsca

naszym śladom jeszcze wciąż niewyraźnym,
jakby wyczutym z wszelkiej ubocznej myśli
i to już byłoby coś na kształt lotu, gdyby
na drodze nam nie stanęło drzewo
co zasłania horyzont ulica co więzi
i złe psy które ujadają na umór

Pierre Nepveu (ur. 1946) – poeta, eseista i powieściopisarz, wykładowca na wydziale literatur frankofońskich na Uniwersytecie w Montrealu. Autor wielu książek eseistycznych na temat literatury quebeckiej, współautor obszernej antologii *Poezja Québecu: od narodzin do współczesności*. Opublikował kilkanaście zbiorów wierszy. Jest laureatem wielu prestiżowych nagród, m.in. głównej nagrody na Międzynarodowym Festiwalu Poezji w Trois-Rivieres w 2003 r. W twórczości poetyckiej Nepveu, zwłaszcza tej z ostatnich zbiorów, dominuje krytyczna refleksja nad cywilizacją i jej degradującym wpływem na środowisko naturalne i na samego człowieka, który zatracza pamięć o własnych korzeniach.

Przełożyła i notą opatrzyła Krystyna Rodowska

10 kwietnia 2020 roku zmarł nasz Kolega



Stanisław Murzański

prozaik, publicysta, malarz

Żegnamy Go z żalem

Stowarzyszenie Pisarzy Polskich

13 kwietnia 2020 roku zmarł nasz Kolega



Janusz Wasylkowski

pisarz, założyciel i dyrektor Instytutu Lwowskiego,
redaktor naczelny Rocznika Lwowskiego,
Kustosz Pamięci Narodowej, odznaczony Gloria Artis

Cześć Jego pamięci

Stowarzyszenie Pisarzy Polskich

27 kwietnia 2020 zmarła nasza Koleżanka



Barbara Rosiek

poetka, pisarka,
autorka "Pamiętnika narkomanki"
odznaczona medalem Gloria Artis

Cześć Jej pamięci

Stowarzyszenie Pisarzy Polskich

MASKARADA

Zatańczą kolumnady w muzeach ojczystych —
Szambelanowie strojni — księżne przeźroczyste...

Księżyc wpłynie przez okna — może ukraiński?...
I wrócą emigranci ze Stasiem Leszczyńskim.

Perfumy woń marmurów po salach rozleją,
Zapachną kandelabry lampkami oleju.

Poeta romantyczny cień upnie firanek —
A sufity przesuną gwiazdzisty firmament.

Może szabla zaszczęknie — może szyszak spadnie?
Może przyjdą z poselstwem francuscy notable.

Arcybiskup przysięże jakoweś tam pakta —
A słowo zgrzytnie — veto — w gablotkowych aktach.

I cienie znów pobłądzą — zaszemrzą marmury —
Aż północ tajemnicza trzykroć jęknie kurem.

I papaczą wyskoczy watażka Chmielnicki —
I porwie z sali księżyc — księżyc ukraiński.

1940